

Пол/п
S-996

Jurij Szczerbak



KWARANTANNA



KWARANTANNA



WARSZAWA

Jurij Szerbak

KWARANTANNA

**Przełożył z ukraińskiego
ST. EDWARD BURY**

Instytut Wydawniczy · PAX · 1968

Tytuł oryginału
„JAK NA WIJNI”

Okładkę projektowała
MARIA FEDOROWICZ

— Są zarażeni — rzucił Biłan.

Mówił wolno, z trudem rozwierając zęby. Cedził krótkie zdania w zapotniałą słuchawkę, aż do bólu przyciskając ją do ucha, jakby w obawie, że jego bezbarwny głos zagubi się w nieskończonej płatańninie przewodów, łączących go z Moskwą.

Moskwa przyjmowała jego relacje beznamiętnie; rozmowa toczyła się w oschłej manierze śledztwa, kiedy ani przesłuchujący, ani przesłuchiwany niczemu się nie dziwią: przywykli już.

— Tak — potwierdził Biłan. — Awaria w komorze zarażania.*

I jeszcze raz spokojnie rzucił w słuchawkę:

— Są zarażeni.

Położył rękę na szkle pokrywającym blat biurka.

— Tak. Rozumiem... Zastosowano wszelkie środki... Nie... Mamy nadzieję...

Odjął dłoń, pozostawiając na szkle zamazany ślad pięciu palców.

Słuchawka milczała. Biłan spojrział smętnie za okno. Z gabinetu widać było portiernię i postrzępioną zielonorudą kotarę kasztanów, rosnących na skraju urwiska. Na dnie jaru kłębiły się tumany mgły. Mignęła sylwetka laborantki w przezroczy-

* Pomieszczenie, w którym dokonuje się sztucznego zarażania zwierząt doświadczalnych

stym różowym deszczowcu. Biegła, omijając kałuże deszczu. Pośliznęła się, omal nie upadła.

Słuchawka znów ożyła.

— Tak — ocknął się Biłan. — Wirus Jossera.

Drzewa na skraju jaru kołysały się jak wodorosty w akwarium. Biegące po przewodach słowa Biłana obrastały szumem i trzaskiem jak magnes rzucony w żelazne opiłki i zatrzymywały się w białej słuchawce na drugim końcu przewodów ściszone i sepleniące.

— Choroba Jossera! — krzyknął Biłan. — Halo! Bardzo źle was słyszę!

Z portierni wyszedł kuśtykając stary wartownik. W słotne dni naciągał kalosz na skrzypiącą protezę. Na dziedziniec wjechał samochód sanitarny — kremowe pudło obryzgane błotem.

— Okres inkubacyjny* — powtórzył pytanie Biłan. — Zdaniem Bałandina dwa dni... Z całą pewnością... Dobra.

Wartownik zamknął bramę, która pogrążyła się we mgle. Na tle kałuż znowu mignął różowy płaszczyk. Dziewczyna przeskoczyła lekko przez klomb i zniknęła za rogiem głównego gmachu. „Co za kózka!” — westchnął Biłan.

— Pięcioro — odpowiedział machinalnie, wzruszając ramionami.

Już od pół godziny rysował tę cyfrę. Na arkuszu papieru, który leżał przed nim, pasła się trzoda piątek: piątki o zwyrodniałych, niskich czołach, piątki syte i opasłe, piątki chude i wynędzniałe, piątki kanciaste i piątki spiralnie skręcone jak zegarowe sprężyny.

— Czterech lekarzy... Tak... I jedna laborantka.

Ze słuchawki sączyły się słowa skąpe, chłodne.

*Okres od momentu zakażenia do wystąpienia pierwszych objawów choroby

Biłana znużyła ta rozmowa: zachciało mu się nagle zamknąć oczy (co też uczynił: opuścił na chwilę powieki i uciskał palcami gałki oczne, usiłując odegnać zmęczenie) i zasnąć natychmiast, tu, w dyrektorskim gabinecie, nie wstając z niezgrabnego krzesła z twardymi oparciami na łokcie, przysuniętego do biurka, na którym stał kalendarz — obrotowa szkatułka z nierdzewnej stali — oraz przybory do pisania — marmurowa płyta nagrobna, pod szkłem zaś leżał stary prospekt periodyku „Geografia medyczna” z obcojęzycznymi streszczeniami artykułów naukowych.

Biłan dotknął marmuru: żółtawa w fioletowo-czarne cętki bryła skupiała na sobie całą wilgoć nie opalanego gabinetu. Powiódł chłodną dłońią po twarzy i wyczuł ślady po ospie.

— Słyszysz mnie pan? Proszę zapisać. Bałandin... Nie tak, akcent na „ła”, a nie na „din”. Bałandin, Doroszenko, Machow, Łozicki, Riżnyk... Oczywiście. Komisja wszczęła już dochodzenie... Tak, komunikuję... Oczywiście.

Odczekał, aż w Moskwie odłożą słuchawkę. Potem wstał i podszedł do okna. W rozjaśnionym powietrzu ruda kępa kasztanów na skraju urwiska jakby zgęstniała, odcinając się ostro od fioletowego nieba.

I

Deszcz zaczął padać jeszcze wieczorem, a potem lało bez przerwy przez całą noc. Nie był to krótki jak oddech dziecka wiosenny deszczyk, lecz długotrwała, nekająca ulewa. Żółte gliniaste potoki

pływały obok laboratorium Bałandina aż tam, gdzie pieniała się i wyskakiwała wesoło z betonowych brzegów zawsze ciepła, nie zamarzająca, brudna, zasilana ściekami rzeczka Łybid; snuły się nad nią opary.

Pusto było o tej porze na Dnieprze: ani rybaków na bielejących mierzejach, ani spacerowiczów na granitowym wybrzeżu. Próżne kutry pasażerskie jak złowione ryby były przycumowane do skrzypiących bonów *, na których mokły czarne obarżanki opon samochodowych. Wionęło od rzeki pustkowiem i spokojem, chociaż koparka wydobywała z Dnieprowego dna tony ziarnistego piasku, chociaż ciągnęły w górę, do Desny, barki naładowane szarym połyskliwym żwirem.

Żółta lodowata woda tworzyła na nabrzeżu płytkie kałuże, u brzegu przebijało przez wodę piaszczyste sfałdowane dno rzeki. Nawet przez strugi deszczu widać stąd było wyraźnie miasto: od wielkiej dzwonnicy Peczerskiej Ławry poprzez wygięty masyw gmachu Rady Ministrów, strzelistą sylwetkę hotelu „Moskwa”, aż po błękitne baniaste wieże cerkwi Świętego Andrzeja; architektura epok, wcielona w kamień wizja proroka, który kiedyś rzekł uczniom swoim: „Czy widzicie, o bracia, góry owe? Jako światłość na te góry, spłynie na was błogosławieństwo Boże; będziecie mieli gród ogromny i cerkwi wiele Bóg wam wznieść pozwoli... I wszedł prorok na górę ona, błogosławił ją, postawił krzyż, pomodlił się do Boga, i zszedł z góry onej, i skierował się tam, gdzie Kijów miał być” **.

* Pływające przystanie

** Cytat z kroniki Nestora (1056 — 1114)

Miasto przykryte ciemnymi chmurami, smagane ostrym wichrem, wystygło, poszarzało, zbladło; jeszcze gdzieś płonęły ciemną purpurą liście kanny, ale dla wszelkich wyzywających, bujnych barw przyszedł kres. Minęła moda cętkowanych „hawajskich” koszul, zwariowanych króciutkich twistowych spódniczek, liliowych i pomarańczowych koszulek sportowych, nie połyskiwały już na tyłkach nastolatków blaszki, którymi usiane były gęsto granatowe farmerki, szyte u krawca Mendelсона w zakładzie przy ulicy Saksagańskiego.

Balandin włożył czarne palto z rapaportu, przyproszone siwym nalotem. Machow naciągnął szewiotowy, nie brudzący się, praktyczny płaszcz z paskiem, niezastąpiony w podróży. Lila Riznyk wyjęła z szafy wytarty na rękawach czerwony płaszczyk uszyty jeszcze w czasie jej studiów w szkole felczerskiej; Doroszenko włożyła nowe palto, kupione w sklepie konfekcyjnym (model 31, artykuł 504, cena 82 ruble 56 kopiejek), morskiego koloru, o prostym kroju, nie podlegającym kapryśnym wahaniom mody. Łozicki przyszedł do pracy w ciemnym ortalionowym płaszczu przeciwdeszczowym, rozciętym po bokach.

Pod mostem kolejowym czekał na Łozickiego Ordyncew. Sterczące na zboczach badyle chwastów, czarne od węglowego pyłu i sztywne jak drut, zrudziały teraz, obmyte deszczem; tu i ówdzie błyskał świeżą bielą krwawnik.

Plac przed dworcem towarowym zapchany był szczelnie ciężarówkami o lśniących w deszczu kabinach; stojące na ciężarówkach skrzynie wyglądały jak wagony towarowe.

Ordyncew pomachał ręką. Igor przeskoczył przez mętnożółtawy potok wdzierający się na

chodnik. „Nieźle jeszcze skaczą — pomyślał z zadowoleniem, oglądając się. — Można wytrzymać.” Ordyncew czekał na niego pod mostem, w pobliżu którego zatrzymywały się pociągi kolei elektrycznej, jadące do Darnicy i Browarów. Ludzie potracali go w tłoku, bo właśnie w pobliskiej fabryce zaczynała się pierwsza zmiana. Tłum spieszenie przeciskał się z peronu do wyjścia. W górze wisało płaskie niebo, poprzecinane wzdłuż i wszerz liniami przewodów. Pociąg elektryczny odszedł i semafony zapłonęły czerwonym światłem.

Ordyncew stał w zniszczonej welwetowej marynarce i wymiętej, rozchełstanej koszuli, odsłaniającej bladą pierś; na nogach miał jasnobrażowe sandały z przypominającego ceratę sztucznego tworzywa. Jajowaty kształt czaszki, łysina posuwająca się od wysokiego czoła, jasny nie golony zarost. W rękę trzymał paczkę książek.

— Siemasz, staruszk! — tchnął parą w zakłopotanym uśmiechu.

„Już gotów — pomyślał Igor. — Zaprawił się, bydlak, od samego rana.”

— Słyszałeś? — spytał w podnieceniu Ordyncew. — Dopiero wczoraj się dowiedziałem. Wyszła dziesięciotomowa historia malarstwa włoskiego.

— I co, kupiłeś?

— Nie, zamówiłem — Ordyncew podciągnął spodnie. — Wydana w Dreźnie. Verlag der Kunst. A mówili, że wyda Seemann. W każdym tomie sto kolorowych reprodukcji.

„Jego dzieci głodują... Dobrze wiem, że głodują. Ma ich podobno aż czworo.”

— Widziałem wydanie Seemannowskie — powiedział Igor. — Co za fantastyczne operowanie

kolorem! Wziąć chociażby takiego Toulouse-Lautreca. Zwariować można!

— O, to wielcy mistrzowie — potwierdził Ordyncew. — Kolor to oni czują!

Miał małe, sprytne oczka; Igorowi zdawało się czasami, że kryje się w nich coś więcej niż prosta chytrość pijacka: w tych szalonych piwnych oczach Igor dostrzegał niekiedy czujną trwogę, jak gdyby na Ordyncewa spadło długo oczekiwane szczęście; nie chciał, by inni się o tym dowiedzieli, w bezradnym lęku, że może je utracić.

— A kto napisał tę historię? Niemcy?

— Nie — odpowiedział Ordyncew. — Jakiś włoski profesor... Zapomniałem jego nazwisko. A wiesz — na twarzy Ordyncewa pojawił się na chwilę i szybko zgasł jakiś zakłopotany dziecięcy uśmiech — wiesz, mam już jeden tom. Włoski manieryzm. Kupiłem. Po znajomości.

Przeskoczyli przez kałużę. Igor spojrział na nogi Ordyncewa; bawełniane skarpetki były mokre i brudne. Na skrzyżowaniu zatrzymali się przepuszczając cementowóz — niezgrabną cysternę, pokrytą twardą skorupą cementu. Potem poszli wolno pod górę wąską, krętą, nie zabudowaną uliczką: Po jednej stronie stał wysoki parkan ze świeżych desek, po drugiej — niższe, również drewniane, butwiejące już ogrodzenie, za którym ciągnął się wąwóz.

— Dostałem wczoraj Van Gogha — powiedział Ordyncew. — Czesi wydali. Jak chcesz wiedzieć, to mi się to wydanie nie podoba. Mam lepszych Vang Goghów.

— Ilu ich masz?

— Pięciu. Skira, Seemann, Korwin, Henschelverlag i Sztuka. To ostatnie polskie. Za Skirę dałem dwadzieścia pięć rubli.

— Zupełnie już zgłupiałeś — zauważył Igor.

— Tym razem przebaczam ci, młody człowieku — uśmiechnął się Ordyncew. — Jesteś obrzydliwy materialista. Sztuka, podobnie jak żarcie, pochłania dużo forsy.

— Żora! — zawołał ktoś za nimi.

Igor i Ordyncew odwrócili się.

Ordyncew pracował w oddziale wirusologicznym. Ojciec jego, Wiktor Wikentijowicz Ordyncew, wysoki kościsty mężczyzna, podobny w latach młodości — jak go zapewniali — do Błoka, po studiach malarskich w Petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych wyjechał do Zgierza, małego miasteczka w łódzkim powiecie piotrkowskiej guberni w Królestwie Polskim, wchodzącym w skład Rosji carskiej. W miejscowym gimnazjum Wiktor Ordyncew dawał lekcje malarstwa i rysunku. Nikt nie wiedział, dlaczego obrał sobie to właśnie niepokojące miasteczko; podobno stała za tym jakaś Polka, którą poznał w Petersburgu, nie wiadomo jednak, ile w tym było prawdy. Latem 1914 roku wyjechał na wakacje do brata w Kremienczuku. Tamtejszy „Głos Naddnieprzański”, czasopismo społeczno-literackie i polityczno-gospodarcze, powiadomił PT Prenumeratorów i Czytelników o pobycie w mieście „znanego w artystycznych kołach Łodzi i Warszawy artysty malarza p. Ordyncewa, którego dzieła, żywymy nadzieję, będą eksponowane w najbliższym czasie również i w naszym mieście”.

Ordyncew malował nagie dziewczęta na brzegach jezior, gdzie rosły przedziwne, nieziemskie kwiaty. Na jego obrazach dziewczyny grały w serso, rozczesywały mokre włosy albo patrzyły w zadumie na igrające na falach jezior światło. Robił to po mistrzowsku: dodawał do bieli nieco

szmaragdowej zieleni, a niekiedy odrobinę kraplaku*, co dawało znakomite efekty świetlne.

W Kremienczuku panowały tego lata uciążliwe upały. Pod koniec wakacji Ordyncew zachorował na tyfus brzuszny. Wiadomość o powszechnej mobilizacji zastała go w zakaźnym baraku miejskiego szpitala. Wszystkie jego obrazy pozostały w domu. Było ich dwadzieścia trzy (w tym portrety młodej dziewczyny o twarzy dziecka, która ledwo się obudziła). Jednak ofensywa dziewiątej armii niemieckiej i pierwszej armii austro-węgierskiej, która rozpoczęła się 29 października 1914 roku w rejonie Łodzi, fatalnie zaciążyła na losach artystycznego dorobku Ordyncewa: dom, w którym Wiktor Wikentijowicz zajmował dwa pokoje, został doszczętnie zrujnowany przez pociski.

W 1920 roku urodził się Żora. Ordyncew mieszkał wtedy w Kijowie, wykładał w instytucie budowlanym rysunek i geometrię wykreślną. W 1934 roku uzbierało się już kilka nowych obrazów, zaniósł więc je na wystawę. „Potrzebna jest nam tematyka kołchozowa” — wyjaśnili.

Ordyncew nie malował już wówczas nagich dziewcząt. Pociągały go pejzaże (stóg siana na brzegu Dniepru, w dali niebieskawo mający prawy brzeg ze złotą kroplą ławrskiej dzwonnicy).

W jesieni 1941, kiedy od detonacji drżały domy na Kreszczatiku — Ordyncewowie mieszkali wówczas przy ulicy Karola Marksa — zastukali do nich Niemcy. „Panowie — powiedział Wiktor Wikentijowicz — w czasach swojej młodości byłem w Monachium.” „O, ja” — pokiwali głowami żołnierze. „Panowie, jakże tak? Bardzo lubię Hermanna... Hansa Hermanna... No i Mentzla, oczy-

* Substancja o barwie lekko fioletowej

wiecie... Pozwólcie zabrać z sobą chociaż kilka obrazów.” „Nasza armia gwarantuje całość pańskich płócien” — odpowiedział jasnooki rumiany oficer. „Jakże to? Zrozumcie! Mnie kiedyś wystawiali w Kunstverein.” „Gut, gut” — potakiwali hitlerowcy.

Wiktor Ordyncew powrócił do Kijowa w grudniu 1943 roku. Był w walonkach i wojskowym płaszczu podpasanym podartym szalikiem, z kijem w ręku. Wąska wydeptana w śniegu ścieżka zawiodła go na Kreszczatik. Skręcił w prawo, przedarł się obok spalonego cyrku i zatrzymał się na dziedzińcu. Podniósł głowę i długo wpatrywał się w obnażone w pionowym przekroju pięter poskręcane i zwisające belki. Z góry sypały się na niego kłujące igiełki śniegu i krakanie wron.

Wiktor Wikentijowicz zszedł do piwnicy i zaczął grzebać w rupieciach, które zwały się tu razem z balkonem i kawałkami dachu. Było kilka szkieletów pianin; lustrzanoczarne skrzynie spłonęły, ogień strawił też małe młoteczki pokryte delikatnym filcem, pozostały jedynie szkielety — metalowe ramy z miedzianymi i stalowymi strunami, jak prymitywne harfy. Wiktor Wikentijowicz trącił struny zapalniczką. W piwnicy zatrzępotały zetłone, żałosne dźwięki. Przez oszroniałe struny szła ukośna blizna. Zasy py nawianego śniegu w piwnicy wyglądały jak sterty szkła.

Wiktor Ordyncew wyszedł na ulicę.

Przed wojną namalował trzydzieści pięć obrazów, wśród których były również portrety syna — brzydkiego wyrostka o dużej głowie, w kusym szarym ubraniu, z książką w ręku. Po wojnie Ordyncew namalował cztery obrazy; były to znowu nagie dziewczyny, nie swawoliły teraz jednak, lecz siedziały zamysłone na martwych, jakby wy-

palonych brzegach jezior. Wiktor Wikentijowicz malował ziemię sadzą zmieszaną z ochrą. Woda na jego obrazach była ciężka i nieprzejrzysta; białe farby były bardzo drogie, a szmaragdowej zieleni w ogóle nie można było po wojnie dostać.

W 1946 roku Wiktor Ordyncew zmarł na nowotwór w mózgu. Bardzo długo się męczył. Przed śmiercią prosił Żorę, by urządził pośmiertną wystawę jego malarstwa. Wyjawiał synowi, że najlepsze jego obrazy można znaleźć w Zgierzu u pani Krystyny Wolankiewicz, mieszkającej przy ulicy Czarnieckiego 28.

W ciągu trzech lat jego ukochany, jedyny syn Żora sprzedał na wódkę obrazy ojca, ogółem za czterysta pięćdziesiąt rubli, znajomemu malarzowi, którego skusiły solidne ramy i naciągnięte na nich grube workowe płótno.

— Żora! — zawołała doganiając ich Asia Zeldycz, pracownica oddziału wirusologicznego; przypominała cesarza asyryjskiego, któremu świeżo zgolono brodę. — Jak temperatura?

Igor ze zdziwieniem spojrział na Ordyncewa.

— Nie mierzyłem — mruknął podciągając jedną ręką spodnie. — I nie mam zamiaru. Odczep się... Wpadnij do mnie — zwrócił się do Igora. — Jesteś mi potrzebny... Pokażę ci Van Gogha.

— Dobra — odpowiedział Igor. — Jak skończę doświadczenie. O drugiej. Odpowiada ci?

— Owszem. A co z Bałandinem? Wrócił już z urlopu?

— Jeszcze w poniedziałek. Energia aż go rozpiera. Zabiera się do podźwignięcia nauki na niespotykane wyżyny.

— Więc wpadnij — powiedział Ordyncew. — Mieszkam teraz pod trójką. Obok Asi. No to bywaj.

Weszli na portiernię. Ordyncew nie zdejmując numerka przemknął się przez wartownię i szybko, prawie biegiem ruszył błotnistą ścieżką pod górę do gmachu zajmowanego przez oddział mikrobiologii.

— Co się z nim dzieje? — spytał Igor.

— Niech pan posłucha — zaczęła przejmującym szeptem Asia, unosząc wymownie łuki pysznych brwi. — Ordyncew to geniusz. Kiedyś sami to zrozumiecie. Stoї teraz u progu wielkiego odkrycia. Zrobili mu wczoraj zastrzyk. Sama nalegałam. Mam przyjaciółkę w przychodni przeciwalkoholowej. Specjalny zastrzyk, temperatura czterdzieści stopni i zupełny wstręt do wódki. Jasne?

— Wstręt?

— Trzeba człowieka ratować — znów uniosła brwi Asia. — Nie spał całą noc. Męczy się, że nie daj Boże. Dzwoniłam w nocy. Temperatura czterdzieści i sześć kresiek, cały płonął. A ma słabe serce. Jak wróci do picia — to koniec. Żadne serce nie wytrzyma. Biłan nie może na niego patrzeć. Żora przepadnie. Zupełnie się wykończy. Niepotrzebnie i głupio. Żona od niego odeszła. Zabrała dzieci i poszła. Żeby chociaż dociągnął do doktoratu.

— Co to za odkrycie? — spytał Igor, przyglądając ręką włosy.

— Dokładnie nie wiem — odrzekła Asia. — Wiem tylko, że ma to jakiś związek z interferencją. Pracuje dniami i nocami. Nie wysuwa nosa spoza laboratorium. Nie wiadomo, czym to się skończy. Schowaliśmy wszystek spirytus, no to dobrał się do eteru.

— Zostawcie go w spokoju — poradził Igor. — On, kiedy wypije, nawet muchy nie skrzywdzi.

Nikommu nie przeszkadza. Pracuje sobie i w porządku.

— Jak panu nie wstyd? — oburzyła się Asia. — Łatwo panu mówić. Nic pan nie wie. Kiedy wypije, robi się z niego zwyczajny łajdak. Kryjemy go, jak możemy. Przed Biłanem. Ale to łajdak, zdolny po pijanemu do każdej podłości. Tylko niech to zostanie między nami. Ukradł naszej preparatorce trzy ruble. Z kieszeni fartucha. Słyszał pan coś podobnego? Dla niej to kapitał. Zabrał jej ostatnie pieniądze. A o tym jego wyjeździe na delegację do Czernichowa słyszał pan? Też pan nie słyszał? Cóż, kiedy bez niego przepadniemy. Wszystkie badania wezmą w łeb. Bez niego ani rusz.

— Szkoda Żory — powiedział Igor. — Zapędzicie go do grobu tymi swoimi specjalnymi zastrzykami. Niech pani uważa, bo wkrótce trzeba oddać pracę.

Igor poszedł do swego laboratorium.

Laboratorium Bałandina mieściło się na zboczu góry, z dala od budynków instytutu. Budynek główny oraz biochemia i mikrobiologia rozsiadły się na górze. Niżej stały budynki gospodarcze, warsztaty mechaniczne i stolarskie, dalej ciągnęły się podwórza instytutu; przechowywało się tu siano dla koni ze stajni immunologicznej, tu w zakurzonej trawie leżały zsypana potłuczonych ampułek, lśniących w słoneczne dni ostrym, diamentowym blaskiem. Obok, w najdalszym zakątku, jakieś sto metrów od laboratorium, zgodnie z decyzją miejscowego komitetu urządzono olbrzymie krematorium dla spalania martwych zwierząt doświadczalnych. Tu zawsze walały się trupy kudłatych królików o brudnej sierści oraz świnek morskich; zginęły w imię nauki, na ołtarzu dziwnej,

potężnej bogini, której na imię Dysertacja i przed którą biją pokłony tysiące ludzi.

Bałandin urządził swe laboratorium w oddzielnym, przysadzistym i niezgrabnym, ale pojemnym murowanym budyneczku. Kiedyś mieściła się tu stacja przeciwdżumowa dla południowo-zachodnich rejonów kraju. Cementową podłogę wyścielono linoleum, ale i tak było tu ciągle zimno. Nie było natomiast nigdy myszy ani szczurów. Po ścianach domu pięło się dzikie wino, przed wejściem Bałandin i Doroszenko urządzili kwietnik, posadzili jabłoń i śliwę, samo zaś wejście Łozicki upiększył znalezionymi na śmietniku dwiema cementowymi wazami. Rosły w nich astry. Ich białe, jakby wycięte z kredowego papieru, bezwonne płatki symbolizowały w mniemaniu Bałandina sterylny świat laboratorium — nieosiągalnie jasny, zdyscyplinowany, nieomylny świat jego fantazji.

Laboratorium posiadało własne wiwarium i własne krematorium — stary piec, w którym przez cały dzień palił się błękitny gazowy płomień; spalano w nim zwłoki zwierząt, bruliony artykułów Bałandina, listy miłosne do Łozickiego od licznych dziewcząt, niepotrzebne już cząstki mózgu przesyłane do doświadczeń wirusologicznych, odpadki laboratoryjne, zatłuszczony papier śniadaniowy, tampony z waty nasyczone chlora-miną i inne rupiecie. W kotle umieszczonym w zasmolonych wnętrzościach pieca grzała się woda na prysznic; łazienka znajdowała się naprzeciw gabinetu Bałandina. Szatni tu nie było, dlatego wszyscy, którzy szli do pokoju zakaźnego, przebierali się w gabinecie. Jego okna wychodziły na strome zbocze góry, zwisające nad budynkiem i zasłaniające pół nieba.

Gabinet Bałandina mieścił się na granicy dwóch

państw, z których każde rządziło się własnymi osobliwymi prawami: w odległości dwóch metrów od drzwi gabinetu rozpoczynała się strefa zaostrego reżimu — oddział zakaźny. W surowym, ponurym pomieszczeniu o małych zakratowanych oknach stała lodówka „Saratow”, gdzie przechowywano kultury mikrobów; do ściany przysunięty był stary, ale dobrze jeszcze pracujący termostat, w którym utrzymywała się w przeciągu kilku dziesiątków lat stała temperatura trzydziestu siedmiu stopni. Pod oknem stał biały chłodny stół sekcyjny o ostrych, nieprzyjaznych krawężnikach, wyposażony w palniki gazowe, małą wyjąłowioną skrzynkę z przezroczystego plastyku i trzylitrową bańkę z chloraminą, gdzie mokły wyjąłowione pipetki. Nieduże okienko, zawsze szczelnie zamknięte, wychodziło na pokój serologiczny, który początkowo przeznaczony był do analiz krwi, ale już od dawna wykorzystywano to pomieszczenie dla innych celów: stała tu dwumetrowa lśniąca niklem jasnoniebieska aparatura MAKB-4 — mikrobiologiczna aerolo-wa komora Bałandina, model nr 4, opleciona zmyślnie koralowymi gumowymi rurkami i wyposażona w wielką szklaną tablicę rozdzielczą. MAKB-4 służyła do zarażania zwierząt doświadczalnych: z metalowej dyszy wypryskiwał do zamkniętego rezerwuaru kroplisty pył zawierający śmiertcionośny ładunek wirusów. Komorę tę nazywano „Makbetem”.

Lekka szklana ścianka odgradzała to pomieszczenie od pracowni preparatów. Laboranci ulokowani byli oddzielnie — w najjaśniejszym, ciepłym pokoju, sąsiadującym z gabinetem Bałandina. Lekarze w przerwach między doświadczeniami przesiadywali w nieprzytulnym pokoju biurowym,

blisko wejścia do laboratorium, do którego wchodziło się z małego przedpokoju; stał tu wieszak i wisiał telefon. Kilka lat temu zapobiegliwy referent gospodarczy Iziąsław Jakowicz Kuzymenko zakupił w jakiejś wojskowej instytucji trzydzieści morskich aparatów telefonicznych, pochodzących, zdaje się, z łodzi podwodnych. Pocziwe szaroniebieskie aparaty ściennie miały lampki sygnalizacyjne, przeraźliwe dzwonki i ciężkie słuchawki podobne do hantli. W pionowym położeniu utrzymywała je masywna niklowana zaszczepka. Wszystko to było zrobione bardzo solidnie.

Łozicki wszedł leniwie po schodach i pchnął nogą drzwi, były jednak od wewnątrz zamknięte. „Co, u licha, za mieszczańskie zwyczaje? — pomyślał ze złością. — Spóźniłem się zaledwie pięć minut.” Zadzwoił. Drzwi otworzył Bałandin.

— Gdzie się pan podziewa? Prosiłem, żeby pan przyszedł dziś wcześniej. Och, co za ludzie w tym laboratorium! — gderał. — Machowa też jeszcze nie ma.

Wyszedł z przedpokoju, trzasnąwszy drzwiami. „Grunt się nie przejmować — pomyślał Łozicki. — Jakoś przebrnę przez to wszystko.”

Zrzucił płaszcz i włożył fartuch. „Trzeba by go oddać do pralni” — pomyślał, wlokąc się do pracowni.

2

— Słyszeliście nowinę? — spytał Łozicki, wchodząc do pracowni serologicznej. — Stopnie naukowe zostają zniesione, pensje się podwyższa.

— Ogonkowe plotki? — uśmiechnęła się ironicznie Doroszenko.

— Z najbardziej miarodajnych źródeł. Pod sztandarem walki z formalizmem płacić będą w zależności od zajmowanego stanowiska.

— A co z podwyżką pensji?

— Pensje podwyższą tylko proletariatowi. Młodszym pracownikom naukowym. Pracownikom na stanowiskach kierowniczych oraz starszym pracownikom naukowym mają obniżyć. Pod sztandarem regulacji płac.

— Bzdura! — powiedział z powagą Bałandin. — Nikomu póki co podwyższać nie będą. Ani obniżyć.

— Ale zmniejszyć różnice mogliby jednak — zauważył zjadliwie Igor. — Tym bardziej że w rezultacie państwo by na tym zyskało.

— Mój Ilko się przeziębił — powiedziała Doroszenko. — Kaszle, chyba nieżył. Boję się, żeby mi się nie rozchorował.

— Nic mu nie będzie — rzekł Bałandin. Przykucnąwszy regulował ultramikroskop, przystosowany do obliczeń cząstek aerozolu przedostających się do komory. — Po co wy ciągle robicie panikę? Ale o dach, który przecieka nad laboratorium, nikt się nie zatroszczy. Wszystko na mojej głowie.

— Byłam w tej sprawie u Kuzymenki — tłumaczyła się Jewdokia Iwanowna. — Jak grochem o ścianę.

— Trzeba było pójść ze spirytusem — zauważył Bałandin. — Tak z półtora litra. W mig by zrobili. Czy to tak trudno się dogadać? No tak. Emulsję pani przygotowała?

— Tak. Mikołaju Petrowiczu, niech mnie pan zwolni dziś trochę wcześniej, dobrze?

— Nie trzymam przecież pani na łańcuchu — odburknął Bałandin.

Łozicki sprawdzał urządzenie kompresorowe i system gumowych rurek, którymi wtlaczało się pod ciśnieniem powietrze do komory.

— Lilu, czy świnki gotowe? — spytał Bałandin.
— Dajcie mi tu! Igorze Stanisławowicz, rusz się pan!

— Zaraz — odpowiedziała z za przegrody Lila.
— Zapiszę tylko numery.

— Dzień dobry — powiedział głośno Machow, wchodząc do pokoju.

Bez pośpiechu zapinał dokładnie fartuch, obmacując każdy guzik. Bardzo przytył w ostatnich latach, na podbródku i na karku pojawiły się fałdy (trzeba było kupować nowe koszule, bo nie schodziły się kołnierzyki), ruchy stały się powolne, twarz jednak była bez zmarszczek, o niemal dziecięcej karnacji; najbardziej chlubił się zębami — białymi, równo osadzonymi, mocnymi, jakby stworzonymi do gryzienia mięsa i jabłek.

— I pan także się spóźnił — zauważył Bałandin. — Diabli wiedzą, co się tu dzieje.

— Byłem na naradzie kaowców — wyjaśnił z obrażoną miną Machow. — Może pan zapytać Twinga.

— W porządku — przeciął Bałandin. — Proszę już siadać. Będzie pan protokołował.

— No cóż — powiedział przeciągając z namysłem Machow, jak gdyby miał tu coś do wyboru. — Mogę usiąść.

„O tej naradzie zełgał” — odnotował obojętnie w pamięci Bałandin.

— A propos — Machow z zakłopotaniem potarł dłonią podbródek. — Oberwało się naszemu laboratorium na tej naradzie. Za pracę kulturalną.

Dotyczy to i ciebie, Dusiu. Mówili, że szwankuje u nas prowadzona przez ciebie codzienna informacja polityczna.

„Znowu kłamie” — stwierdził Bałandin i zawołał niecierpliwie:

— Lila! Niechże pani daje wreszcie te zwierzęta!

Igor włączył kompresor i pokój wypełnił się warczeniem motoru, podającego do komory sprężone powietrze. Warkot ten wchłonał w siebie wszelkie rozmowy i odgłosy; ludzie przygotowujący się do doświadczenia poruszali wargami i śmiali się bezdźwięcznie, jak gdyby ktoś wyłączył im głos (tak gotujące obiad kobiety włączają już o jedenastej telewizor, ale sam tylko obraz, bez fonii: postacie z programu telewizyjnego otwierają i zamykają usta w takt uderzeń siekacza, przetwarzających wołowinę na czerwoną miążgę).

— Cholerna skrzynia — zaklął Igor.

Bałandin spojrzał na niego pytająco. Igor odwrócił się.

— Skrzyżowanie kociołka z synchronofazotronem. Tak, tak, nie patrz tak na mnie, ty pomyłony wynalazco.

Bałandin włączył drugą pompę, wysysającą zakazane powietrze z komory. Warkot nasilił się. Igor nie słyszał już nawet własnego głosu.

— Za jakie grzechy ja tak cierpię? — mówił prowokująco Łozicki. — Bałandin zaprzepaścił moją młodość. Jego snopowiązałka... to hańba naszej atomowej cywilizacji. Rosyjski samouk Bałandin. Patrzcie na niego, jaki nadęty. Pęknie wnet od własnej wielkości. Dobrze tylko patrzcie, obywatele. Przecież to sam Bałandin, we własnej osobie, ojciec kichającej aparatury.

— Co mówicie? Nic nie słyszę. Co z komorą? —

krzyczał Bałandin, podchodząc do Łozickiego, przyłożywszy do ust zwiniętą w trąbkę dłoń.

— Wszystko o key!

— Że co? — nie zrozumiał Bałandin.

— Można zaczynać. Wszystko w najlepszym porządku!

Doroszenko przyniosła z oddziału zarazków probówkę z mózgową substancją królika, który zdechł na chorobę Jossera. Bolały ją sutki, rano łakomy Iwaś tak ją pokasał przy karmieniu, że aż łzy płynęły jej z bólu, siedziała jednak spokojnie i nie krzyknęła, by nie przestraszyć dziecka, które dostawało drgawek, nawet gdy ktoś głośniejsze mówił.

Ta niebieskooka kobieta o wiejskich rysach urodziła się 26 lipca 1925 roku we wsi Nosówka na Czernichowszczyźnie. Nazywali ją nie Jewdokią czy po prostu Dusią, lecz Jawdochą, na cześć jej ślepej babki Jawdochy, która pamiętała jeszcze, kiedy wyganiali ludzi na pańszczyznę i zabierali im po trzy na każde cztery zżęte snopy, a potem pan Cwietkow, jeśli był w dobrym humorze, częstował dziewczęta nalewką. W 1925 roku babka Jawdocha umarła i wtedy wnuczkę nazwali jej imieniem.

Przyszła na świat jako trzecie dziecko w rodzinie niezbyt bogatego (jedna krowa), ale też i niezbyt biednego (siedem dziesięcin ziemi i pół dziesięciny sadu) chłopca Iwana Gierasymowicza Tkacza. Kiedy ojciec umarł, miała osiem lat. W 1959 roku uzyskała doktorat medycyny za pracę „Wybuch grypy A (Azja 57) w niektórych okręgach Ukrainy i jej epidemiologiczna i wirusologiczna charakterystyka”. Gdy umarł ojciec, mała Jawdoszka poszła do sadu i wlaźła na wysoką, zaniebana jabłoń, na której przesiadła do wieczora.

Jej dzieciństwo przywoływał zawsze zapach barzczu. W ogóle lubiła wonie potraw. Po śmierci ojca jednak wywietrzały z chaty zapachy — kaszanki (wieprza biło się na Boże Narodzenie), topionego sadła, chrupiących kiszonych ogórków, jajecznicy, tłustych śledzi i słodki zapach miodu. Wszystko było teraz postne, mało pożywne, jakby gospodarz zabrał z sobą wszystko, co miało jakiś związek z jedzeniem.

Miała troje dzieci: Andrzeja, urodzonego w 1944 roku, młodszego od niego o osiem lat Ilka i Iwasyka, najmłodszego, tego, który pogryzł jej sutki. Mąż jej, Teodor Stefanowicz Doroszenko, urodził się w 1921 roku we wsi Jarmolińce, gdzie złoty prawosławny krzyż i złote, z dwunastoma wytryskującymi promieniami słońce lśni na błękitnym tle podolskiego herbu, jako syn felczera weterynarii Stefana Todosjowicza Doroszenki, który zmarł na dystrofię, kiedy Teodor miał zaledwie dwanaście lat; ojciec zostawił synowi w spadku białą skórę i jasne, jakby wypłowiałe na słońcu włosy. Teodor Stefanowicz Doroszenko wykładał na uniwersytecie historię partii. Oboje z żoną wstąpili do WKP(b), kiedy nie byli jeszcze małżeństwem — zimą 1941 roku. Tej zimy wykopywało się spod śniegu na zamarzniętych polach cukrowe buraki. Jawdocha siekała je drobno i wrzucała do kotła; potem wszyscy, parząc sobie usta, siorbali brunatną gorzkawo-słodkawą ciecz, w której pływały rozgotowane, mdłe kawałeczki buraków. Na początku 1943 roku jej mąż został komisarzem oddziału partyzanckiego „Czerwony mściciel”. Napady na garnizony niemieckie miały zapach lekarstw (Jawdocha pełniła funkcje sanitariuszki), świerków, taniego likieru „Helmut” i kminkówki, spalenizny i konserw mięsnych.

I kiedy otoczonym w osterskich lasach i głodnym (ostatniego suchara zjedli przed trzema dniami) zrzucono na spadochronie chleb, zapach tych namokłych (worek wpadł w kałużę) bochenków, zlepionych w jeden żytni bochen, przywrócił jej życie i wiarę w zwycięstwo, chociaż wszystkie płomienne przemówienia męża, wygłoszone do oddziału przed godziną, wydały jej się cczą gadaniną. Wkrótce potem Teodor zachorował na zapalenie szpiku kostnego. Awansował wtedy właśnie na kapitana. Wczesną wiosną 1944 roku Jawdocha musiała wyjechać do Kijowa. W październiku tego roku urodził się Andrzejek. W sierpniu następnego roku została studentką kijowskiego instytutu medycznego.

Już trzykrotnie jej okrągłe piersi wzbierały jak dynie. Porody odmładzały ją: w 1944, 1952 i teraz. Odczuwała przyływ jakiejś pierwotnej macierzyńskiej siły, kiedy, ścisnąwszy obu rękami nabrzmiałe piersi, tryskała mlekiem na twarz synka. I kiedy przecierała twarz watą, nasączoną słodkim mlekiem, zdawało się jej, że twarz jej staje się czystsza i jaśniejsza, jak u jej synków, że znikają z jej twarzy zmarszczki i sińce ze zmęczenia pod oczami.

Lila i Machow przynieśli klatkę ze świnkami morskimi, postawili ją na stole; Machow podniósł klatkę nieco w górę i wyjął spod niej kilka arkuszy czystego papieru.

— Proszę notować — zlecił Bałandin. — Pasaż ósmy.

Lila wzięła świnkę morską, zaszczepioną przeciw chorobie Jossera. Nastroszona świnka czujnie łypała ślepkami, usiłując coś zrozumieć z tej wrzawy i migotania białych plam; przez całą noc

smacznie spała, kołysana monotonnym pluskiem deszczu, a rano dobrze ją nakarmili świeżą trawą.

Doroszenko pomogła Lili wsunąć świnkę do stalowej kapsli, podobnej do artyleryjskiego pocisku. Na końcu stożkowatej głowicy (tam, gdzie w pocisku znajduje się zapalnik) był otwór, przez który świnka wysuwała ruchliwy ryjek.

— Dajcie — niecierpliwił się Bałandin, zabierając kapslę — sam się nią zajmę. Bierzcie drugą.

Przytwierdził kapslę do komory. Świnka, izolowana w ciasnej kapsli, mogła teraz oddychać jedynie powietrzem nasyconym wirusami choroby Jossera. Był to najbardziej niezawodny sposób zarażania, zbliżony do tych potężnych mechanizmów przyrody, przy pomocy których rozpowszechniają się na świecie epidemie ospy, dżumy płucnej, różyczki czy grypy; tylko taki sposób zakażenia mógł dać odpowiedź, czy skuteczna jest wyprodukowana w laboratorium szczepionka. Odpowiedź na to pytanie była jedna: życie albo śmierć. Bałandin przeprowadzał doświadczenia na dwunastu świnkach: sześciu szczepionych i sześciu kontrolnych, z góry skazanych na zagładę.

— Szybciej — poganiał profesor Jewdokię Iwanownę. — Już czas najwyższy zaczynać. Mamy moc roboty. Spieszmy się. W waszym zresztą interesie.

Doroszenko wstrząsnęła probówkę z emulsją i włożyła ją do patronu zakończonego dyszą, skąd zawiesina wirusowa rozpylała się po komorze. Lila bawiła się świnką z serii kontrolnej. Czarno-biała świnka wesoło popiskiwała, ale kwik jej tonął w warkocie motorów.

Bałandin podszedł do Igora.

— Proszę usiąść przy ultramikroskopie. Będzie pan liczył cząstki.

Igor w milczeniu precyzyjnie przesuwał się między ścianą a komorą, starając się nie zaczepić biegnących od niej gumowych rurek, i usiadł na niskim stołku. Przypadł do okulara mikroskopu i od razu pogrążył się w ciemnym otchłannym zamęciu. Potem z tego zamętu — jak mu się wydało — wyłoniło się niebo pokryte chmurami.

Bałandin przekreślał wolno, ze szczękiem przełączniki tablicy rozdzielczej. Doroszenko uważnie wpatrywała się w strzałki trzech manometrów. Strzałki wychylały się gwałtownie to w jedną, to w drugą stronę. Na twarzy Jewdokii Iwanowny pojawił się wyraz bolesnego napięcia. Machow zrobił swym kaligraficznym piśmem pierwszy zapis. Siedział w odległym kącie pracowni przy nowym biurku; Kuzymenko przydzielił mu to biurko do jego wyłącznego użytku, gdy rozeszła się pogłoska, że Machow ma być wybrany do egzekutywy. Lila nadal bawiła się świnką morską, której zabawnie drżały białe wąsy.

— Uwaga! — głos Bałandina, który chwycił za dźwignię uruchamiającą aparaturę, przebił się przez warkot motorów.

— Po co tak krzyżeć? — skrzywił się Igor, spojrzawszy na Bałandina, po czym znowu pochylił się nad mikroskopem. — Takim głosem można tylko obwieszczać koniec świata.

Niebo ożyło. W mikroskopie zaczęły się pojawiać wybuchające gwiazdy, wszystko wirowało, gwiazdy rodziły się i momentalnie gasły, wyłaniały się z czarnej nicości, leciały gwałtownie, powiększały się i rosły, wybuchały i ginęły, rozbijając się o niewidzialną przeszkodę. Był to potok cząstek aerozolu. W ciemnym wnętrzu komory wirowały miliardy kropelek wody, cząstek substancji mózgowej i wirusów, które mknęły długim tune-

lem, prześwietlone z boku światłem lampy rtęciowej; światło przetwarzało je w martwy pył, szczątki dalekich światów, zaginionych czy zniszczonych podczas kosmicznych katastrof. I ten pył również niczego w sobie nie niósł oprócz śmierci; za przesłoną z grubych soczewek optycznych ultramikroskopu WDK wybuchały gdzieś i ginęły abstrakcyjne symbole śmierci. Warczały kompresory.

Igorowi ścierpły nogi. Miał wrażenie, jakby po naczyniach krwionośnych pełzały ołowiane kulki. Chciał wstać i wyjść na ganek; lepsza już przenikliwa mżawka niż to nieruchome sterczenie przy mikroskopie, nękający warkot motorów i humory Bałandina; Igor siedział jednak, podliczając cząstki aerozolu, które mknęły przez tunel z huraganową szybkością. W lewej ręce trzymał chronometr; minuty i sekundy ściekały z tarczy bezpowrotnie jak krople deszczu.

Spojrzał na zegarek: dziesiąta trzydzieści dwie.

3

O dziesiątej rano miasto okryło się szronem. Chłodny wiatr północno-wschodni zmroził mokre ściany domów, wysrebrzył chodniki, zmienił napęczniałe od wilgoci gałęzie drzew w sople lodu, a przewody uliczne w grube kruche liny. Zlepione nawarstwienia afiszów — ten przedziwny melanz głośnych nazwisk, suchych faktów, uśmiechniętych twarzy, gromkich haseł — sfałdowały się i pokurczyły, utraciwszy dawną elastyczność. Trzepo-

tały na wietrze blaszane koła — czerwonożółte hieroglify ORUD-u*.

Zwarzone, pokryte szesnastomilimetrową powłoką lodową gałęzie zwisały niemal do samej ziemi, na jezdnię spadały odłamane gałązki, chrzęszcząc pod kołami samochodów. W parkach wyrosły całe góry tych gałązek. W otwartych bramach domów wiatr wył jak w dyszach odrzutowców, uciszając się jedynie w labiryntach murowanych domów. Stary gród nabrał nowego wyglądu. Aluminiową farbą iglastego szronu pokryły się nawierzchnie ulic, stylizowane na barok fasady, połączane gruszkowate wieże cerkiewne, symetrycznie poustawiane nowoczesne kioski. W wielu dzielnicach przerwane były połączenia telefoniczne. Na bulwarze Szewczenki pochyliły się wierzchołki topoli.

Chrześciło i trzaskało między dębami stojącymi w pobliżu budynku mikrobiologii. Spadały jak we śnie srebrzyste rogulki, sękaty konary, pokręcone gałązki.

Ciężka gałąź upadła na przewód elektryczny, łączący budynek mikrobiologii z laboratorium Bałandina. Przewód pękł. Był to jeden z trzech kabli, zasilających pompę ssącą komory aerozolowej. Potężny potok trójfazowego strumienia nagle zakrzusił się.

...Igor zobaczył szeroką, gniewną, nieruchomą jak na ikonie twarz. Bałandin rzucił się do drzwi, przewracając po drodze klatkę ze świnkami morskimi, zatrzaskał je i podparł mocno plecami, jak gdyby ktoś z ulicy próbował włamać się do laboratorium.

— Marusiu! Nadiu! — krzyknął, kopiąc z całej siły w drzwi. — Uciekać z laboratorium!

* Skrót nazwy drogowej służby ruchu ukraińskiej milicji obywatelskiej.

Potem Bałandin zorientował się, że Nadia i Marusia — laborantki siedzące za przegrodą — nie słyszą go. Motory warczały przecież nadal, chociaż ich dźwięki nie miały już siły, pasji i czystości właściwej dla ryku dwóch motorów elektrycznych wtlaczających i wysysających powietrze z komory zarażania.

Bałandin przytrzymując jedną nogą drzwi dotarł do wyłączającej dźwigni.

— Uciekajcie! — krzyczał waląc w drzwi pięściami. — Na ulicę! Awaria!

— Mikołaju Petrowiczu! Co się stało?! — zawołała zza przegrody Nadia.

— Awaria! Uciekać natychmiast! Rozkazuję natychmiast uciekać!

Ceglastoczerwony porowaty kark Bałandina, poznaczony bliznami i zmarszczkami, zrobił się siny. Na ramionach i plecach wystąpiły nagle poprzez fartuch plamy potu, przez mokre płótno przebijała niebieska koszulka gimnastyczna. Płótno ciemniało z taką szybkością, jakby fartuch był z bibuły.

Doroszenko podbiegła do Bałandina.

— Co panu?

Chwyliła go za rękę. Igor, który obserwował, jak Bałandin brutalnie odpycha Jewdokię od drzwi, zauważył, że jego palce są białe i sztywne jak z gipsu, oddech ciężki, urywany.

Z pracowni preparatorskiej doleciał tupot nóg, potem w okienku mignęły sylwetki laborantek. Igor zdążył jeszcze zauważyć, jak Marusia, drobna, chorowita dziewczyna, która nie mogła znieść widoku krwi (pewnego razu zemdląca, gdy rozbiła się próbówka z krwią, zalewając biały stół laboratoryjny), pośliznęła się i upadła w kałużę, szybko się jednak poderwała i pobiegła dalej.

Dopiero wtedy Bałandin otworzył drzwi.

— Dlaczego pan milczy? — spytała Doroszenko.
— Słyszysz pan?

— A niech to wszyscy diabli! Gdzie się pani gapiła?! — wrzasnął na nią Bałandin i wypchnął ją na korytarz.

Ostro zaskrzypiało krzesło, na którym siedział Machow.

— Komora? — spytał wycierając dłonią twarz i pozostawiając na policzku ślad atramentu. Podnosił się z krzesła powoli, jakby dopiero teraz otrząsnął się z odrętwienia, w jakim pozostawał przez cały czas. — Co z komorą?

— Czego pan jeszcze sterczy?! — krzyknął Bałandin. — Wynosić się stąd! Lila! Sergiusz!

— Dokąd? — spytał Machow.

— Do mego gabinetu.

— O-o-o-o... — zaczęła jęczeć Lila, skurczona, jak gdyby otrzymała cios w brzuch.

Ktoś ostrożnie dotknął Igora, który siedział przy mikroskopie głuchy i niemy. Łozicki drgnął: czarno-biała świnka trącała go w nogę wilgotnym rykiem. Był odgradzony od świata nieprzenikalnym murem ciszy — wszystkie dźwięki zgasły, ciszę mąciło tylko kołatanie serca. Wzrok nabrał niezwyklej ostrości, urządzenia laboratorium i twarze ludzi uległy jakiejś niezwyklej groteskowej deformacji. Świnka miała okrągłe, czarne, wesołe oko.

Machow stał obok Lili, patrząc na nią z roz-targnieniem. Bałandin podszedł do drzwi.

— Wody! Szybko!

— O-o-o-o-o... — stękała Lila.

— Lila, uspokój się — perswadował Machow.

Do pokoju weszła Doroszenko ze szklanką wody w ręku.

— Jest woda — powiedziała, podchodząc do Lili. — Napij się.

— Wynosić się stąd natychmiast! — zawołał Bałandin wymachując pięściami. — Powariowaliście czy co? W pokoju są zarazki! Wyprowadźcie ją! Tam też można się napić. Wybrała się z wodą! Precz!

Machow i Doroszenko wyprowadzili Lilę z pracowni. Bałandin podszedł do Igora, który wyłożył spoza komory, i silnie uderzył go w plecy. Igor zobaczył zmienioną, zmarniałą twarz profesora i jego szare, ołowiane spojrzenie.

— Ostrożniej — powiedział Łozicki.

— Precz stąd! — rzucił przez zęby Bałandin, chwytając Igora za barki (było to bardzo bolesne — w krótkich mocnych palcach Bałandina odczuwało się zwierzęcą siłę) i wypchnął go z pracowni serologicznej.

Bałandin został sam; klnąc podszedł do okna i zaczął mocować się z zardzewiałą klamką. Klamka nie poddawała się. Chwycił młotek i uderzył z całej siły. Zasuwka ustąpiła. Otworzył okno. Do pokoju wtargnęło mroźne powietrze. Na dworze nie było nikogo. Spojrzał odruchowo na wiszący na ścianie zegar elektryczny: za kwadrans jedenasta. Popatrzył na swój zegarek: jedenasta za dziesięć. Zaczął nakręcać zegarek, wsłuchując się w delikatny chrzęst mechanizmu. Podmuchi wiatru strącił z biurka zapisane przez Machowa kartki papieru. Świnki morskie, które łąziły beztrosko po podłodze, rozpierzchły się w popłochu.

„No tak — pomyślał Bałandin. — Trzeba było nakazać wszystkim wstrzymanie oddechu. Teraz już za późno.”

Balandin zamknął okno i wyszedł z pracowni serologicznej. Po drodze zajrzał do wiszącej w korytarzu apteczki: jodyna, bandaż, piramidon, dwie fiołki penicyliny. Wziął penicylinę. Potem znalazł w szafie z chemikaliami flaszkę ze skondensowanym roztworem nadmanganianu potasu.

W jego gabinecie świeciło się. Usłyszał głośną rozmowę. Podszedł bliżej, zaczął się przysłuchiwać. Mówiła Doroszenko głosem płaczliwym, żalnym.

— Patrzą... coś dziwnego się dzieje z drugim manometrem. Ale nie rozumiem, co. Mam je bacznie obserwować i czuję, że coś nie w porządku, ale nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Potem widzę, że ciśnienie się podwyższa. Chciałam o tym zakomunikować Mikołajowi Petrowiczowi...

— Nie było po co się gapić — wtrącił Igor. — Ssania nie było.

— Nagle — opowiadała dalej Doroszenko — nie wiadomo dlaczego ciśnienie w komorze zaczęło opadać. Pomyślałam, że pewnie on obniżył i że tak ma być. Tak powinno być, myślę sobie...

— Rurka zeskokczyła z metalowej nasady — wyjaśnił Igor. — Fantastyczne ciśnienie...

— I co teraz będzie? — spytała Lila.

Balandin wszedł do gabinetu. Doroszenko stała przy kanapie. Zdążyła już zdjąć chustkę. Włosy miała ciemnomiedziane, zaplecione w warkocz, który spoczywał na głowie ciężkim wieńcem.

— Witam — wyszeptał profesor, podchodząc do Doroszenko. — A panią co zaślepiło?

— Myślałam, że pan obniżył ciśnienie...

— Myślałam, myślałam... Czym pani myślała?

— Nie zdążyłam powiedzieć...

— Nie zdążyła! Lilu, proszę przygotować słaby roztwór nadmanganianu potasu. Proszę jej pomóc — zwrócił się do Łozickiego. — I proszę rozpuścić penicylinę.

— Czym? Solą fizjologiczną?

— Wodą. Szybko! Popłuczcie gardła. I wpuście do nosa. Wszyscy. Zrozumiano? Najpierw nadmanganian, potem penicylina.

Kołpaczek z białego miękkiego metalu na fiolce pękł, ale Igor nie mógł go zdjąć. Zaczął zrywać zębami.

— Co pan się z tym guzdrze jak stara baba?! — niecierpliwił się Bałandin. — Proszę wziąć nożyce.

— Co się stało z komorą? — spytała cicho Doroszenko.

— Twornik się spalił — odrzekł po krótkim milczeniu Bałandin. — Nie słyszała pani, jak motor rzeźił?

Lila nabrała wody do kolby i dołała trochę nadmanganianu.

— Jeszcze — radził Machow. — Za słaby.

— Pan ma całą twarz powalaną atramentem, Sergiuszu Onysymowiczu — powiedziała Lila.

Machow podszedł do umywalki, puścił wodę z kranu, zamknął oczy i namydlił twarz dużym kawałkiem brudnożółtego mydła gospodarczego. Bałandin wysunął szufladę biurka, wyjął z niej mydelniczkę i położył na półeczce nad umywalką.

— Niech pan rzuci to świństwo. Jest toaletowe.

Machow pochlapał wodą swój nakrochmalony fartuch. Rozmazując po twarzy mydliny palcami poplamionymi atramentem, dreptał przy umywalce, do której spływała niebieskawa piana.

— Rozpuściliście już? — zapytał Bałandin. — Ruszajcie się. Zaraz wrócę.

Wyszedł do przedpokoju, podszedł do telefonu, dotknął słuchawki. Potem otworzył drzwi wejściowe. W pobliżu nie było nikogo. Z dworca towarowego dochodziło sapanie parowozów i gwizdki spinaczy wagonów. Bałandin wciągnął pełną pierśią zimne powietrze i zamknął drzwi. Najpierw zamknął je na haczyk, ale po chwili namysłu wyjął z kieszeni klucz i obrócił go w zamku dwa razy, po czym schował go do małej bocznej kieszonki spodni.

Machow ciągle jeszcze się mył.

— Atrament jeszcze jest? — pytał oglądając się bezradnie.

— Wycieraj się — odpowiedziała Doroszenko. — Możesz się już wytrzeć. Jesteś czysty.

— Co to za komedia? — spytał Bałandin. — Lilu, roztwór gotowy?

Machow ujął dwoma palcami szczypce, podobne do żabek na bieliznę, i z gumowej rurki popłynął cienką stróżką roztwór dezynfekcyjny. W gabinecie zapachniało chloraminą. Machow nalał do garści płynu dezynfekcyjnego i chlusnął nim w twarz. Wszyscy śledzili go w milczeniu; klepał się po twarzy wilgotną dłonią, jak gdyby robił masaż.

— Dość tego! — nie wytrzymał Bałandin. — Zwariował pan? Co tu pomoże chloramina?

Doroszenko przyniosła z laboratorium czysty ręcznik.

— Proszę. Zupełnie niepotrzebnie to robiłeś. Możesz mi wierzyć. Wytrzyj się lepiej.

— Odczepcie się ode mnie! — zawołał Machow, rzucając ręcznik na podłogę. Zacisnął mocno powieki, pod którymi wystąpiły półkolem zmarszczki. — Czego ode mnie chcecie?

Bałandin nachylił się, podniósł ręcznik, strzepnął go i rzucił na kanapę.

— A ja jednak myślę, że to spalił się twornik — powiedział Łozicki.

— Gardło już pan płukał?

— Jeszcze nie.

— Więc po co pan tyle gada?

— Dość już tego. — uniósł się Łozicki. — Pluję na wszystkie płukania. Teraz to się mądrzy.

— Racja — potwierdził Machow, otwierając oczy. — Komora była do chrzanu. Wpadliśmy.

— Zwykły bubel i tyle — dodał Łozicki. — A teraz co, rozkaże pan nam tu zdychać?

— No proszę, proszę, niech pan mówi dalej! — wycedził przez zęby z pogroźką w głosie Bałandin, podchodząc blisko do Łozickiego.

I znów Igor poczuł gorący oddech tego niezgrabnego mężczyzny o płaskiej, smagłej (miała ona teraz kolor mydła do prania) twarzy i spłaszczonym, boksterskim nosie.

Z gardła Lili dochodziło żalosne bulgotanie jak śpiew zachrypniętego ptaka. Pieśń urwała się równie nagle, jak się zaczęła. Lila wypluła roztwór do umywalki, która zabarwiła się na fioletowo.

— No więc tak — powiedział obojętnie Bałandin, na nikogo nie patrząc. — Wszyscy jesteśmy zarażeni. Zarazki przedostawały się do pokoju przynajmniej przez trzy, cztery minuty. Siadajcie.

Spojrzał w okno. Stroma skarpa pokryta była oszronionymi liśćmi. Jeszcze wczoraj lekko wspierały się na cienkich źdźbłach trawy, tworząc nie trwałe konstrukcje jesieni. Ale deszcz wdeptał kruche dachy tych budowli w ziemię, liście namokły, zrudziały i pokurczyły się, poskręcały się

i pozlepiały w rude kępki, a potem wybielił je przymrozek.

— Trzy, cztery minuty... — powtórzył Bałandin. — Nikt nie może opuścić laboratorium przed upływem okresu kwarantanny. Co najmniej trzy doby.

— Ja tu nie będę siedziała — powiedziała Doroszenko.

— Co? — przeciągnął Bałandin. — A to co takiego?

— Mam dzieci. Są w domu same. Nie mogę ich tak zostawić. Tym bardziej, że nie ma podstaw do kwarantanny. Jest niepotrzebna. Pan chce się tylko na wszelki wypadek zaasekurować.

— Taak — przeciągnął oschle Bałandin. — Dlaczego państwo stoicie? Siadajcie.

Wszyscy milczeli. Łozicki z uwagą przyglądał się wąskim nosom swych bucików. Machow leżał na kanapie, wpatrując się w portret Miecznikowa, wiszący nad biurkiem Bałandina, Miecznikow zaś spoglądał na niego chytrymi oczyma.

Milczenie przerwała Doroszenko.

— Kwarantanna jest zbyteczna. To bzdurny pomysł. Pan, profesorze, wie to lepiej ode mnie. Zarazki Jossera przenoszą tylko kleszcze. Tak jak wszystkie encefalitty*. Nie jesteśmy więc niebezpieczni dla otoczenia. Dlatego jestem przeciw kwarantannie. Nie mamy tu po co siedzieć.

— Posiedzicie — przyjaźnie, ale stanowczo powiedział Bałandin. — Ile tylko będzie trzeba, tyle posiedzicie.

— Ja pójdę — podniosła się Doroszenko.

— Nigdzie pani nie pójdzie. Drzwi zamknięte. A klucz u mnie.

* Łac. encephalitis — zapalenie mózgu

— Proszę otworzyć drzwi! Słyszysz pan, Mikołaju Petrowiczu?! Ja żądam!

— Niech pani siada — powiedział cichym, rozkazującym tonem Bałandin. — I jeśli pani, madame, spróbuje ruszyć się z miejsca, to zwiążę panią. Słowo honoru. Zrozumiano?

— Proszę się uspokoić — ściągnęła brwi Doroszenko. — Jeśliby... jeśli nawet zachorujemy... to nikt się od nas nie zarazi. Banalny encefalit.

— Banalny — mruknął Bałandin. — Czy państwo słyszeli? Pani sama jest banalna. Czy udało się pani wydobyć z kleszcza chociaż jeden szczep wirusa?

— Nie — odpowiedziała. — To czysty przypadek.

— Mądrała się znalazła — gderał Bałandin. — Boże mój, z kim to mi przyszło pracować! Kandydat nauk... Pani nawet z encefalitów nic nie rozumie. Sergiuszu Onysymowiczu, proszę jej powiedzieć, jaki jest mechanizm zarażania encefalitem Ekonomo.

— Otrzymano dość przekonujące dane — powiedział ostrożnie Machow — że jest to infekcja kropelkowa...

— Dziękuję — przerwał Bałandin. — Zarazki choroby Jossera przenoszą się przez powietrze. W odróżnieniu od innych znanych nam encefalitów. Dlatego też zdecydowaliśmy się na zarażanie zwierząt w komorze. Nie ma co do tego żadnych wąpliwości. I dlatego będziemy tu siedzieć do końca.

— A ja jednak — ciągnęła z uporem Doroszenko — mam wąpliwości i mogę panu dowieść, profesorze...

— Dość! — krzyknął Bałandin, tracąc panowanie nad sobą. — Dość już tego pouczenia mnie,

moja pani! Diabli mi ją nadali! Zaraziła wszystkich i jeszcze się tu mądrzy... Dużo pani rozumie z tego...

Bałandin trzęsącymi się rękami szukał czegoś po kieszeniach. Wreszcie wyjął z kieszonki na zegarek klucz od laboratorium.

— Proszę bardzo! — krzyknął. — Ma tu pani klucz. I proszę się wynosić. Natychmiast! Precz! Niech pani idzie do swego Iwasia! Niech go pani całuje! Wszystkich niech pani całuje. Co do jednego. Niech się pani wałęsa jak najdłużej po ulicach, znajdzie do centralnego domu towarowego. Słyszysz pani? Koniecznie trzeba tam pójść. Wszędzie tam, gdzie dużo ludzi. Precz!

— Niech pan przestanie — zapłakała Doroszenko. — Dlaczego się pan zneca nade mną?

— Nie, dość już tego! — rozgniewał się na dobre Bałandin, chwytając za rękę Doroszenko i na siłę wciskając jej klucz. — Nie mam zamiaru dłużej już znosić tych babskich sztuczek. Proszę wziąć klucz i zabierać się stąd natychmiast! Żeby tu śladu po pani nie było! I to ma być epidemiolog... Wszyscy mogą iść na złamanie karku. Co do jednego. Każdy myśli tylko o własnej skórze. Co za cholerna baba!

Doroszenko zaczęła płakać jeszcze głośniej. Odwróciła się do ściany i stała tak, wstrząsana płaczem.

— To świństwo! — powiedział Łozicki, podchodząc do Doroszenko. — Chodźmy stąd, Jewdokio Iwanowna. Niech pani przestanie już płakać. Proszę się uspokoić. To świństwo! — powtórzył. — Nie ma o czym mówić. Chodźmy. Aż wstyd słuchać. Chodźmy, Sergiuszu.

Łozicki położył rękę na ramieniu Jewdokii.

— Zaczekajcie — zawołała szlochając Doroszen-

ko. — Igorze, proszę zaczekać. Chłopcy, Sergiuszu, zatrzymajcie się. Nie wychodźcie.

Pochlipując i wycierając ręką zapłakaną twarz, Doroszenko podeszła do drzwi i delikatnie odciągnęła Łozickiego.

— Usiądźcie — powiedziała. — I ty, Sergiuszu, też siadaj. Tak nie można.

Bałandin podszedł do okna i zapalił. Przed oknami jego gabinetu wały się stare drewniane klatki dla królików; deski były poprzegryzane, ale siatki na pokrywach wyglądały jeszcze solidnie. „Szkoda — pomyślał. — Nie zdążyłem się tym zająć, żeby je naprawili.”

Łozicki i Machow usiedli znowu na starej kanapie, która zachowała jeszcze przedwojenną elegancję; załatywała dotąd ledwo wyczuwalnym końskim odorem, bo stała przedtem w stajni immunologicznej. Kanapa, jak czuły sejsmograf, rejestrowała każde dotknięcie skrzypieniem uginających się sprężyn; trzeszczała niespokojnie, kiedy sadowił się na niej Łozicki, milkła, gdy siadał Machow, stękała basowo pod Bałandinem. Doroszenko wołała siadać na krześle, ale jeśli niekiedy decydowała się usiąść na kanapie, sprężyny pojękiwały wtedy miedzianymi głosami: tioń... tioń...

— Nie masz racji, Dusiu — powiedział Machow. — Nie możemy teraz stąd wyjść.

— Mnie tam wszystko jedno — uśmiechnął się z przymusem Łozicki. — Gdzie wszyscy, tam i ja. I tak trzeba zdechnąć.

Bałandin, otoczony kłębamii szarego dymu, stał koło okna z papierosem w ustach.

— Mikołaju Petrowiczu — powiedziała Doroszenko, wycierając twarz połą fartucha i połykając łzy. — Przepraszam, uniosłam się... Omówmy wszystko, ale spokojnie.

— Dyskusje skończone — Bałandin zgasił papierosa na parapecie okna. — Jesteście państwo wolni.

Doroszenko spojrzała na klucz. Zrobiło się jej gorąco. Znowu poczuła ból w sutkach. „Trzeba powiedzieć Fedi, żeby kupował pasteryzowane mleko w proszku” — pomyślała.

Podeszła do biurka i ostrożnie położyła klucz na szkle.

Sprężyny w kanapie zaskrzypiały, jakby ktoś ciężko opadł na poduszkę.

— No, a co będzie ze mną? Przecież nie mogę tu zostać — powiedziała Lila. — W niedzielę ma przyjechać ciotka. „Rakieta”... Kto jej otworzy mieszkanie?

Bałandin wolno, niechętnie odwrócił się. Twarz jego, jak zawsze obrzękła, nabrała znów miękkości; tylko w oczach czaiła się obcość i zastygł smutek. Spojrzał na obecnych zdziwionym, nieruchomym wzrokiem spod pociemniałych, jakby podmalowanych tuszem, zmęczonych powiek.

— No dobrze — odezwał się Łozicki. — Przypuśćmy, że zostaniemy tu. Ale jak żyć w tym pomieszczeniu? Tu nawet, z przeproszeniem, toalety nie ma. Piękna kwarantanna! Będziemy biegać na mikrobiologię czy jak? Już dawno mówiłem, że trzeba przeprowadzić remont.

— Przeprowadzi się — odpowiedział Bałandin.

— Kilka razy przypomiąłem o tym — zapalał się Łozicki. — Zima za pasem, a w laboratorium nie ma najbardziej elementarnych wygod. I zaczyna się wymachiwać pięściami. Porządki, cholera!

— Czy pan długo jeszcze będzie tak błaznował? — wpadł na niego Bałandin. — Tu nie

cyrk! Sam wyremontuję toaletę. Mam już pana dość!

— Dość?! — cienkim głosem krzyknął Łozicki. — Dość?! Patrzcie go! Wielki mi geniusz! A ja pluje na wszystkich geniuszów, rozumie pan?! Pluje! Mam ich już powyżej dziurek w nosie. Lepiej by pan milczał! Jak pan rozmawiał z kobietą? Z matką dzieci? Jak pan śmiał tak do niej mówić! To podłe i niskie, cała ta pańska komedia... Cóż to za lagrowe zapędy?

— Och, ty smarkaczu! — krzyknął Bałandin.

Skoczył do Łozickiego, który siedział na kanapie, chwycił go za kołnierzyk koszuli, podniósł gwałtownie w górę, aż zachrząściło, postawił, odepchnął od siebie — Doroszenko ledwie zdążyła odskoczyć — i Łozicki uderzył plecami w oszklone drzwi, wybijając łokciem szybę; odpryski posypały się na linoleum.

— Łajdaku! — krzyknął Bałandin, z trudem chwytając powietrze. — Ja ci pokażę lagrowe zapędy! Nędzny smarkacz!

— Przestańcie! — Doroszenko biła z całej siły pięścią po dłoni. — Przestańcie! Wszyscyście tu powariowali!

Zrobił się nieopisany zgiełk i zamieszanie, wszyscy zerwali się z miejsc; Machow trzymał Bałandina za ręce i coś mu tam klarował, Łozicki pocierał stłuczony łokieć, a Lila, którą znowu mdliło, naląła wody do szklanki. Nagle Łozicki odczuł silne pchnięcie i odwrócił się.

— Co tu za hałasy, co tu się dzieje? — zapytał wesoło Ordyncew, wymawiając starannie każde słowo.

Stał na progu lekko się kołysząc i uśmiechał się przyjaźnie. Miał na sobie brudny fartuch ze śladami króliczej sierści i krwi. — Chyba dzielicie

premię — kpił Ordyncew. — A ty, Mikołaju, pięknie wyglądasz — powiedział, mrużąc oko. — Kurort świetnie ci zrobił! Fantastycznie opalony! Jak się czuje Marynia? No nie, wyglądasz znakomicie! Nie mam racji, Igorze?

— Wynoś się stąd! — opamiętał się wreszcie Bałandin.

Od Ordyncewa załatywało odorem wódki. Wyciągnął się wygodnie na kanapie.

— Co za wytworny mebel — powiedział uśmiechając się. — Mój Boże! Kanapa jak u szachin-szacha. A ty co, masz naradę? Proszę cię bardzo, nie krępuj się. Pracuj. Nie będę ci przeszkadzał.

— Jak się tu dostałeś? — spytał Łozicki.

— Jak? — zaśmiał się Ordyncew. — Chwała Bogu to nie bank państwowy. A ja nie jestem taka znów ważna persona. Jak się tu dostałem? Przez wiwarium... Wiwarium macie fantastyczne! Gdzieś ty, Mikołaju, wytrzasnął takie króliki?

Ordyncew mówił tak, jakby jego wargi i język były ze starej, nieelastycznej, popękanej gumy. Jajowata głowa, uwieńczona okrągłą tonsurą łysiny, ociężałe kiwała się na cienkiej, zarosniętej szyi.

— Wynoś się — powiedział Bałandin, chwytając Ordyncewa za rękę. — Natychmiast stąd idź!

— Nie, Mikołaju Petrowiczu, proszę się tak nie spieszyć — powiedział Machow. — Wolnego. Jakże to? Chce go pan stąd wypuścić? Z jakiej racji? Nie ma tak dobrze. Jak już wpadł w tę kabałę, to niech teraz siedzi razem z nami. Nigdzie nie pójdzie.

— Dzwoni telefon — rzekła Doroszenko.

— Odbiorę — powiedziała Lila, stawiając szklankę na umywalce, i wyszła z pokoju.

— Mikołaju — powiedział z radością Ordyn-

cew — zostanę z wami, kiedy już tu wpadłem. Rozumiem wszystko. Nie będę przeszkadzać, nie obawiaj się. Dziękuję — mrugnął porozumiewawczo do Machowa. — Bardzo mi to na rękę, bo właśnie... Nie wiedziałem, że urządzasz bibkę — przełknął ślinę.

— Mikołaju Petrowiczu, telefon do pana.

— Żora, wyjdź stąd — błagał Bałandin, idąc do drzwi. — Słyszysz? Idź już.

— Nigdzie nie odejdę — zaśpiewał tenorem Ordyncew. — Oczy ma jak wiosna, strzelista jak sosna... Ja nie do ciebie, Mikołaju. Do Igora. Mam do niego interes. Co, żałujesz mi wypić z wami? Tak?

Bałandin wyszedł na korytarz.

— Szkoda ci, tak? — wołał za nim Ordyncew. — Żałujesz kazonnego majątku, tak? Gardzisz mną, tak? Bo ty nie pijesz, nie palisz, tak? Taki czyściuteńki jesteś, tak? Taki przyjaciół, tak?!

— Niech się pan nie denerwuje — uspokajał go Machow. — Zostanie pan z nami.

— Wyjdźmy na chwilę — trącił Igora Ordyncew. — Musimy pogadać.

— Słucham — powiedział Bałandin, przyciskając ucho do słuchawki. — O co chodzi? Słucham.

— Proszę wybaczyć, Mikołaju Petrowiczu, że pana niepokoję — usłyszał. — Mówi Twing. Dzień dobry.

Człowiek o dźwięcznym angielskim nazwisku Twing pracował w laboratorium elektronowo-mikroskopowym. Twing przeprowadzał obserwację cieniutkich pasemek leukocytów, rozcinał białe ciała krwi na drobne cząsteczki jak jabłka. Doświadczenia te zmierzały do wykrycia przyczyn powstawania białaczki. Twing całymi godzinami

przesiadywał w zaciemnionym laboratorium, wpatrując się w zielonkawy ekran mikroskopu elektonowego, gdzie przepływały widmowe kontury leukocytów. Czasami zdawało mu się, że leci gdzieś nad nieznaną, zaginioną krainą, obmacując promieniem radiolokatora jej powierzchnię, jej ruiny. Ludzie, z których leukocytami przeprowadzał doświadczenia, dawno już zmarli; Twing wielu z nich unieśmiertelnił, publikując w czasopiśmie „Problemy onkologii” fotografie leukocytów z podpisem: „Cytoplazma mielocyту chorego G., lat 38. Częstki wirusopodobne. Negatyw X 17 000”.

— No więc chodzi o to — mówił z przejęciem Twing — że dziś mieliśmy naradę z kierownikami pracy kulturalnej. Z tą robotą ciągle jeszcze nie jest dobrze. Krytykowano zwłaszcza pańskie laboratorium. Nikt z pańskich współpracowników nie bierze udziału w ruchu amatorskim. Nie uczestniczycie w zbiorowych imprezach kulturalnych. Nikogo też od was nie widziałem na wystawie. Mam rację?

— Tak — odrzekł Bałandin.

— Jako kierownik powinien pan agitować swoich ludzi, żeby chodzili na chór. Zwłaszcza młodzież. Ma pan muzykalnych chłopców. Trzeba zaprowadzić dziennik i wpisywać wszystkie podejmowane inicjatywy. W innych laboratoriach już dawno są takie dzienniki. Mam rację?

— Tak — powiedział Bałandin, gryząc palce.

— Powinien pan uświadomić sobie — instruiował w natchnieniu Twing — że robota kulturalna jest teraz w centrum uwagi. Jeśli u nas będzie kontrola, mogą zajrzeć i do pana. Proszę się więc na to przygotować. Główna rzecz to masowość. I proszę o tym pamiętać, Mikołaju Petrowiczu, że

odpowiedzialność spoczywa bezpośrednio na panu, Niech się pan postara, żeby wszyscy pańscy ludzie należeli do kółek amatorskich. A propos, pan też mógłby... Wiadomo mi, że pan jest znakomitym skrzypkiem. Halo, czy pan mnie słucha?

— Tak — poruszył bezdźwięcznie wargami Bałandin. — Tak. Tak.

5

Rozmawiali w mrocznym korytarzyku prowadzącym do wiwarium. Stała tu na drewnianej podstawie dziecięca emaliowana wanna, w której preparatorzy myli buraki dla królików, obok leżały dwie pary gumowych butów. Zalatywało myszami i stęchlizną.

— Zjeżdżaj stąd szybko — mówił Igor. — Zmykaj, póki nie jest za późno. Zwariowałeś czy co? Nie widzisz, co się tu dzieje? Uciekaj, zanim Machow przyjdzie, bo on cię już nie wypuści... No to wynocha!

— Słuchaj, młody człowieku — powiedział Ordyncew, przelitykając ślinę. — Ostatni raz proszę. Jako starszy pracownik naukowy młodszego. Jedną, tylko sto gramów...

— Idź do diabła ze swoimi gramami — pieklił się Igor. — Czas sobie znalazł.

— Odwalili komuś dysertację? — skrzywił się lekceważąco Ordyncew. — Myślałby kto, że Bóg wie jakie nieszczęście się stało. Trzeba się tym cieszyć. Takie dni dostarczają życiu szczególnych emo... emocji — wymówił wreszcie z trudem ostatnie słowo.

— Zjeżdżaj stąd, słyszysz? Awaria!

— Jaka awaria? — spojrzał wreszcie przytomnie Ordyncew.

— Aerezol. Pozdychamy wszyscy w ciągu trzech dni. Jest taka światła perspektywa.

— Co się stało?

— Nawaliła komora. W czasie jej zakażenia: „Makbet”. Pracujemy teraz z wirusem Jossera.

— Jossera?

— Popsuł się motor pompy ssącej. Diabli wiedzą, co się z nim stało.

— No i co?

— A pompa tłocząca pracowała dalej, rozumiesz? Ciśnienie wzrosło. Nasza słodka Dusia nie zauważyła tego na czas. To wszystko. Nie było odsysania. Aerezol przedostawał się do komory. Przewód wziął i zeskoczył z metalowej nasady. Rurka gumowa. I wirus przedostał się do pokoju. Zanim się zorientowaliśmy, upłynęły trzy, cztery minuty. Jasne?

— Jasne.

Ordyncew potarł koniuszek nosa.

— A to się zrujnuje nasza egzekutywa.

— Co takiego?

— Mówię, że POP się zrujnuje. Wieńce, orkiestra dęta...

— A idźże ty do jasnej... — poderwał się Igor. — Wesolek się znalazł.

— Daj spokój, Igorze — klepnął go po ramieniu Ordyncew. — Ugrzązłeś w galarecie życia. Nie stać cię na filozoficzną odporność. A czymże właściwie jest twoja śmierć? Niczym. Przejściem z jednej formy materii w drugą. Każdego dnia umiera na ziemi sto tysięcy ludzi. Lepiej byś przyniósł sto gramów. Mówię poważnie.

— No, jazda, jazda — Igor popychał Ordyncewa

w kierunku drzwi. — Mam cię już dość. Wynoś się. Spinoza.

— Gdzie twoja kultura wewnętrzna? — mamrotał opierając się Ordyncew. — A może ja chcę z tobą porozmawiać? A może ja tobie robię łaskę? Zaczekaj... Przecież mnie nikim nie zastąpisz... Jestem niepowtarzalnym zjawiskiem bytu! Trzy piąte wszystkich genialnych ludzi to pierworodni. Weź to pod uwagę. A ja właśnie byłem u nas w rodzinie pierworodnym synem. Pierwszym. I ostatnim. Rafael, Molier, Dante, Buffon, Goethe, ten... jak mu tam... Heine... Hejne, jak u nas mówią... Byron, Schopenhauer, Rossini... Właśnie. I oczywiście Ordyncew. Ordyncew! To brzmi dumnie!

Zaśmiał się. Igora owionął odór wódki. Potem Ordyncew sięgnął do kieszeni, wyjął postrzępiony notes, znalazł pomięty świstek papieru.

— Proszę bardzo — pomachał świstkiem. — Umiesz czytać? Komenda milicji. Otrzymano od ob. Ordyncewa G. W. kwotę... słownie... za usługi w miejskiej izbie wytrzeźwień. Ja, znakomity alkoholik miasta Kijowa i okolic... Mam tam niezłe towarzystwo. Sama elita... Intelktualiści... Poeta Sirko... No to przynieś chociaż pięćdziesiąt — błagał. — Tak ci trudno? Macie jej całe morze. Wypisujecie przecież po dziesięć litrów.

— Pięć — odpowiedział Igor, chwytając oburącz Ordyncewa.

— Ratunku! — zawołał Ordyncew. — Mordują!

Na korytarzyk wszedł Bałandin. W sąsiednim pomieszczeniu paliły się lampy bakteriobójcze; ciemna, masywna sylwetka Bałandina wypromieniowywała fioletowobłękitne światło kwarcowe.

— Mikołaju... — zaskamlał Ordyncew. — Błagam cię..

— Toś ty jeszcze nie poszedł? — rozżłościł się Bałandin.

Igor puścił Ordyncewa i skierował się do drzwi; uderzył boleśnie nogą w ostry kant podstawki. Trzeba było przycisnąć się do ściany, bo Bałandin stał nieruchomo i tarasował przejście.

— Stój, młodzieńcze! — zaniepokoił się Ordyncew. — Dokąd idziesz? Chociaż naparsteczek przynieś... Może być nawet mieszanka Nikiforowa... Dla celów naukowych... Powiedz, Mikołaju, żeby mi skredytowali. Co, tak ci trudno?

— Lepiej przyniosę ci antabus — powiedział Igor.

Zamknął za sobą drzwi i ruszył przez amfiladę oszklonych boksów.

— Oto dzisiejsza młodzież — rozłożył ręce Ordyncew, zostawszy sam na sam z Bałandinem. — Chłopaczki ery atomowej... Widziałeś? Też mi się znalazł wychowawca! Teraz każdy chce tylko wychowywać. Nikt się nie leni. Żyjemy w epoce wychowawców...

— Idź, póki nie jest za późno — powiedział Bałandin. — Zaraziliśmy się wirusem Jossera.

— Wiem, Mikołaju... Wszystko rozumiem, nie myśl, że... Wirus ST-12*. Przecież wiem. Myślisz, że jestem pijany? To kłamstwo. Ja myślę. Spirytus katalizuje procesy myślenia... przyspiesza je... Stwierdziłem, że wódka znacznie zwiększa ilość związków asocjacyjnych w mózgu. Kiedy wypiję, drzewo we mgle kojarzy mi się z... grzybem atomowym. Wszystko pamiętam. Nawet to, że Osadczy mówił coś kiedyś o szczepionce... Mówił czy nie mówił?

— Szczepionkę przygotowaliśmy.

* Wirus neurotropowy — wirus porażający system nerwowy

— No i co?

— Nic jeszcze nie wiadomo. Dopiero rozpoczęliśmy doświadczenia.

— No to poumieracie — ogłosił Ordyncew. — Wasza pieśń już skończona. Pisz artykuł do czasopisma „Zdrowie” pod tytułem „Jak zapobiec chorobie Jossera”.

— Dość już tej gadaniny — przeciął Bałandin. — Idź się przespać.

— Chwileczkę. Chcę wygłosić mowę pogrzebową. Posłuchaj. Dawno już ją ułożyłem. Na wszelki wypadek. Umarł człowiek, chwalcie człowieka w jego świątyni... w laboratorium. Chwalcie go za ciężko zdobytą sławę. To on dla was studiował chorobę Jossera. Chwalcie człowieka za jego wszechmoc. To on wyłowił wirusa... on wynalazł szczepionkę... Chwalcie go za jego wielkość... za was umarł... na chorobę Jossera. Chwalcie człowieka dźwiękami trąb... Chwalcie człowieka uderzaniem w bębny... Chwalcie go na strunach i na organkach. Wynajmiemy orkiestrę... zakładów konfekcyjnych... Chwalcie człowieka na głośno brzmiących cymbałach. Wszystko, co oddycha, niech chwali człowieka. Alleluja. Ma się to gadane, nie? Potęga!

— Idź już.

— Chwileczkę. A moja dola?

— Jaka dola?

— Sto gramów... dla potrzeb naukowych. Po diabła ci on teraz? Nikt wam nie pomoże. Ani Bóg, ani car, ani bohater. A ten tu to twój człowiek, co? Niedobry człowiek. Gniewni młodzi ludzie poszli... Żli ludzie — gderał Ordyncew. — Żałował sto gramów dla Ordyncewa... A ty mną nie pogardzaj... Ja jeszcze... ho, ho!

— Zaczekał — powiedział Bałandin i wyszedł.

Ordyncew przełknął ślinę. Przytulił się do prze-
rażliwie chłodnej ściany słomkowej barwy i przy-
mknął oczy. I w tym momencie zawirował olbrzy-
mi czarny bąk i otaczająca Ordyncewa przestrzeń
rozpadła się, rozdzwoniła się, zahuczała, dziecięce
głosy śpiewały chorał, Ordyncew dyszał, ukoły-
sany tymi pieniami. Poczłł się nagle jakoś nie-
swojo, zachwiał się, otworzył oczy i schwycił za
klamkę drzwi do wiwarium. Klamka była owinię-
ta wilgotną gazą. Ordyncew powąchał rękę. Czuć
ją było chloraminą. Znowu przełknął ślinę.

— Trzymaj.

Bałandin podał mu dwustugramową flaszeczkę,
zatkaną gumowym korkiem owiniętym srebrzystą
folią.

Ordyncew wyciągnął korek i powąchał spirytus,
wdychając z rozkoszą jego czysty, upajający za-
pach. Potem wpił się w Bałandina roztargnionym,
uszcześliwionym spojrzeniem — niezgrabny, nie
ogolony, wzruszony, cyniczny, delikatny.

„Dobrze mu” — pomyślał Bałandin. Głęboko
zapadnięte piwne oczy Ordyncewa odtajały, po-
weselały, policzki zarumieniły się.

— Ucałowałbym ciebie — powiedział Ordyncew
wychodząc — ale nie wolno. Mógłbym się zarazić.
Diabeł cię tam wie. Możliwe, że nawąchałeś się
tego Josserra. Szkoda by było, jakby coś się z tobą
stało. Gdzie wtedy dostanę spirytus?

— Nie masz się czego obawiać — odpowiedział
Bałandin. — Zapiszę ci w spadku pięć litrów
spirytusu.

— No to możesz umierać — zawołał Ordyncew,
wspinając się na pochyłość. — Tylko nie zapomnij
spisać testamentu. Trzymaj się!

— Idź do diabła! — rzucił za nim profesor. —

Zmykaj! Zimno. Tylko, na psa urok, nie oglądaj się.

Ordyncew szedł wesoło pod górę, ślizgając się i zataczając.

— Gdzie Ordyncew? — zapytał ostro za plecami Bałandina Machow.

Bałandin zatarasował drzwi wyjściowe, wczepiając się obu rękami w futrynę.

— Tam. Na górze — odpowiedział. — Widzi pan?

— Hej, Ordyncew! — krzyknął Machow. — Wracać natychmiast! Słyszysz pan?!

Ordyncew doszedł już do rogu budynku mikrobiologii. Przystanął i obejrzał się ze zdziwieniem.

— Proszę wracać! — znów zawołał Machow.

Ordyncew wreszcie zorientował się, o co chodzi. Podniósł ręce do nosa i zagrał palcami jak na klawirze. Potem, przesyłając ręką Bałandinowi pocałunek, zniknął za rogiem dwupiętrowego domu.

Bałandin natychmiast zamknął drzwi wiewarum. Zardzewiała zasuwka szczęknęła drwiąco.

6

Saweliewa mówiła kiedyś Łozickiemu, że warto by zrobić histologiczne badania pośmiertne mózgu profesora Werchratskiego, zwłaszcza jego formacji retikularnej. Zapewniała przy tym, że w brunatnoczarnych posrebrzanych abstrakcjonistycznych splotach rozgałęzionych neuronów akademika można będzie łatwo odnaleźć ślady potężnej logiki, która tak przygniatała zarówno wrogów, jak i gorących zwolenników Werchratskiego przez

całe jego burzliwe życie, od którego odpoczywał teraz w cichej przystani profesorskiego gabinetu na drugim piętrze oddziału mikrobiologicznego.

Patolog anatom Saweliewa o wszystkich mówiła tak, jak gdyby już leżeli na jej stole sekcyjnym. Co do Werchratskiego chyba się nie myliła: już od dziecka cechowało go organiczne (ktoś powiedziałby: „niemieckie”) dążenie do ładu, jasności, jednoznaczności i dokładności. Możliwe, że sedno sprawy tkwiło wcale nie w neuronach, lecz w czymś zupełnie innym, czego się nie doszuka na najcieńszych nawet włóknach histologicznych; pewne jest jednak, że mechanizm mózgu Werchratskiego pracował przez dziesiątki lat w sposób niezwykle produktywny i zorganizowany.

Co prawda w ostatnich czasach Werchratski wyraźnie się postarzał i zmarniał. Zamęczali go ludzie. Nachodziły go — codziennie jak rok długi, bez chwili wytchnienia — tysiące natrętnych, bezceremonialnych, hałaśliwych interesantów; każdy z nich czegoś od profesora oczekiwał, czegoś się domagał, o coś prosił, w czymś zasięgał rady; podsuwali mu swoje prace naukowe do zapiniowania lub zrecenzowania, albo po prostu żeby usłyszeć pochwałę samego Werchratskiego. Ludzie, wśród których wchodził w życie, już odeszli; wymarło pokolenie młodych idealistów, brodatych lekarzy społeczników, z którymi pracował w prowincjonalnym laboratorium bakteriologicznym w Kamieńcu Podolskim.

Zginęli albo zostali rozstrzelani bolszewicy z odeskiej organizacji podziemnej, do której wstąpił bez wahania w 1906 roku szlachcic z dziada pradziada, potomek rodu hetmańskiego, syn carskiego admirała Nestor Werchratski, na zawsze urzeczony genialną muzyką Engelsowego „Anty-

-Dühringa". Pomarli w zakątkach Serbii, Polski i Francji lub zostali rozstrzelani przez czekistów wymuskańscy oficerowie żandarmerii, którzy go aresztowali i którzy, jako wierni synowie swej ojczyzny, podczas przesłuchań naprowadzali Werchratskiego na drogę prawdy. Nie ma już pośród żyjących żadnego lekarza ani żadnej sanitariuszki (co odczuwa mężczyzna, kiedy chowają jego pierwszą miłość, jego dziewczynę?) z rosyjskiej kolumny przeciwdżumowej, rzuconej w cuchnącą fanzy * Charbina zimą 1911 roku do zwalczania epidemii dżumy płuc. Pożółkły z czasem grupowe fotografie, jakich wiele wisiało na ścianach jego mieszkania, przypominając już tylko bratnie mogiły. W sferę wspomnień odsunęły się zbiorki prac na temat cholery, tyfusu plamistego i powrotnego. Powoli skradała się starcza samotność, początkowo niepostrzeżenie, w kołowym naukowych konferencji, zjazdów, posiedzeń, komisji, narad naukowych, wykładów, ale uświadomiona aż do bólu podczas bezsennych nocy, długich i pustych jak wieczność.

Werchratski był ocieźały, krępy, siwy. W młodości uważany był za przystojnego: miał owalną wyrazistą twarz o gęstych czarnych brwiach, spod których patrzyły przenikliwe oczy barwy delikatnego pruskiego błękitu. Brwi posiwiały, w wyblakłych oczach pojawiła się starcza obojętność, wąsy dokładnie otaczały usta siwą podkową, nad ciasnym kołnierzem koszuli obwisła poryta głębokimi zmarszczkami szyja. Był stały w swoich gustach i zwyczajach, ubierał się ze staroświecką statecznością i pedanterią. W jego ubiorze — w kamizelce ze złotym łańcuszkiem od zegarka,

* Rudery, mieszkania biedoty

w przypinanych nakrochmalonych mankietach, w czarnym krawacie opasującym szyję (kołnierz koszuli też był przypinany i nakrochmalony) — we wszystkim wyczuwało się jakąś ponadczasową trwałość tego człowieka, który przeszedł cholerę, dwie wojny światowe, trzykrotnie oparzył go śmiertelny płomień tyfusu, cztery razy poddany był szykanom administracyjnym — za nonkonformizm, za wierność swym poglądom, za ostrość wystąpień pozbawionych tej przymilnej krągłości, tej lokajskiej służalczości, z jaką trzeba było odnosić się do władz rosyjskich, które tłamsiły bezkompromisową prawdę, by nie mąciła wiernopoddańczego spokoju szacownego społeczeństwa.

Kiedy pojawiał się w prezydiach zjazdów lub kiedy wchodził na trybunę, przez salę przelatywał szmer niecierpliwego oczekiwania, wiedzieli, że będzie gorąco, witali go zacieraniami rąk i krótkim, ale pełnym szacunku: oo! Z jego nazwiskiem wiązano dziesiątki anegdot i skandali. Opowiadano, jak kiedyś na jednym z posiedzeń Akademii Nauk Medycznych zwymyślał od durniów samego ministra (omawiano sprawę reorganizacji stacji sanitarnych); jak w starciu z profesorem Kosingiem (dowodzącym, że człowiek, który chorował na dur plamisty, zarażony jest na zawsze riketsjami Prowazeki) zaproponował swego trupa do przeprowadzenia doświadczeń pośmiertnych, żeby Kosing naocznie przekonał się o absurdalności swojej hipotezy; jak postawił przed Organizacją Narodów Zjednoczonych problem walki z epidemią grypy azjatyckiej w skali światowej (w celu rozwiązania tego problemu trzeba by było, co prawda, zmusić wszystkich mieszkańców Ziemi do chodzenia przez kilka dni w maskach z gazy); jak przesiadywał do północy

na zebraniach studenckiego kółka naukowego, na które — w wyniku lenistwa studentów — przychodziły tylko trzy osoby spośród ubiegających się o aspiranturę; jak profesor, będąc człowiekiem pysznym i drażliwym, z furją ciskał sekretarzowi papiery, jeśli nie uwidoczniło na nich pełnego tytułu Werchratskiego: członek rzeczywisty Akademii Nauk Medycznych ZSRR, zasłużony działacz nauki, profesor.

Siedział odwrócony twarzą do okna w przestronnym gabinecie o ścianach koloru sałaty ze srebrnym deseniem. O tej porze nikomu nie wolno było mu przeszkadzać. Była to godzina święta: profesor Werchratski pił herbatę. Herbata nalana była do trzylitrowej brzuchatej kolby — w skąpym świetle tego jesiennego dnia okrągłe „czajniszcze” wielkości kawona promieniało brązowym ciepłem. Przed profesorem stała szklanka i wyszczerbiony spodek z drobno potłuczonym cukrem. Werchratski pił herbatę gorzką, zagryzając cukrem (ze skąpstwa — jak komentowały złe języki), żeby chociaż trochę obniżyć niepowstrzymanie wzrastającą ilość cukru we krwi. Szyjka kolby zapotniała od parującego płynu.

— Mmożna? — wybełkotał Ordyncew, wtaczając się do gabinetu. — Mam do pana interes.

Staruszek odstawił ze zdziwieniem szklankę i spojrzał na Ordyncewa jak dyrektor muzeum na zabawny dziwoląg.

— Georgiju Wiktorowiczu — przemówił wreszcie Werchratski swoim falsetem, zaskakującym w ustach tego mocnego chłopca. — Georgiju Wiktorowiczu, pan, zdaje się, zapomniał o elementarnych normach grzeczności. Niech pan trochę poczeka. Proszę teraz wyjść, za osiem minut będę do pańskich usług.

— Mam pilną sprawę.

Wypity niedawno spirytus tak rozzuchwiał Ordyncewa, że usiadł na fotelu i rozwaliwszy się na miękkim siedzeniu założył nogę na nogę, demonstrując mokre skarpetki i brudne sandały.

— Ależ nie. Pan będzie łaskaw wyjść!

— Niech pan, Nestorze Iwanowiczu, przestanie się zgrywać... — strzelił palcami Ordyncew. — Mówię przecież, że mam pilną sprawę.

— Pan jest pijany! — krzyknął piskliwie Werchratski. — Proszę natychmiast wyjść! A to co takiego!? Natychmiast!

— A niech pana diabli! — splunął Ordyncew wstając. — Tam ludzie się zarazili, a pan spokojnie pije herbatę.

Ruszył z wściekłością do drzwi, gdzie dogonił go Werchratski. Ordyncew był zupełnie zadowolony z wywołanego efektu i nie stawiał oporu, kiedy Werchratski wciągnął go z powrotem do gabinetu.

— Kto się zaraził?

Ordyncew, nie tracąc czasu, znowu usadowił się w fotelu. Czuł wate w nogach, w oczach migwały i kręciły się z szaloną szybkością koncentryczne tęczowe koła.

— Bałandin i jego chłopcy. Jossierem.

— Kiedy?

— Przed chwilą.

— Jak?

— A tak. Awaria. Zerwał się kabel.

— Jaki kabel? — z twarzy profesora nie schodził grymas odrazy. — Proszę mówić jaśniej.

— Najjaśniej w świecie. Chodzi o komorę aerozolową... Jest ciśnienie, a nie ma odsysania.

— W komorze aerozoli?

— Nestorze Iwanowiczu, czy pan rzeczywiście

zawsze taki... — Ordyncew znów strzelił palcami.
— Właśnie zakazali doświadczać...

Zadzwonił telefon.

— Halo — powiedział Werchratski. — Tak, Sergiuszu Sergiejewiczu. Tak. Wiem już. Już mnie zawiadomili. Ordyncew. Skąd pan o tym wie? — spytał zasłaniając dłonią słuchawkę.

— Z pierwszego źródła — rozpląnął się w uśmiechu Ordyncew. — Byłem u Bałandina. No i od niego prosto do pana.

— Tak, Sergiuszu Sergiejewiczu, natychmiast! I niech przyjdzie tu Osadczy. Czekam.

Ordyncew był zupełnie pijany. Musiał nawet tupnąć nogą, żeby poczuć pod stopą twardy grunt. Próbował otworzyć oczy.

— Ja... chyba lepiej się położę — powiedział wreszcie. — Można? Nie na długo. Serce coś tego... Zna pan Picassa? Poznajomię was... I z Van Goghiem. Fajne chłopaki. Surowi realiści zwariowanej epoki. Dziękuję, Nestorze Iwanowiczu... Takich rzeczy się nie zapomina. Bez żartów.

Wyciągnął się na tapczanie przykrytym śnieżno-białym prześcieradłem i momentalnie zaczął chrapać.

Jako pierwszy wniósł do gabinetu wytrenowane na korcie tenisowym ciało profesor Osadczy: apostolska grzywa siwych włosów nad wysokim czołem, dymne amerykańskie okulary w kwadratowej nylonowej oprawie, przywiezione z kongresu w San Francisco, twardy zarys wygolonego solingenowską brzytwą podbródka.

W ślad za nim do gabinetu wszedł Biłan.

— A to co takiego? — spytał wskazując na Ordyncewa.

— Delirium — wzruszył ramionami Werchratski.

— Zostawcie go. Co u Bałandina?

— Za piętnaście jedenasta w laboratorium Bałandina zdarzyła się awaria — powiedział Biłan. — Stwierdziłem, że awaria ta była związana z zerwaniem się kabla elektrycznego. Bałandin przeprowadzał właśnie wtedy doświadczenie z zarażaniem zwierząt wirusem Jossera. Pompy ssące przestały pracować na skutek zerwania się przewodu. Ciśnienie w komorze katastrofalnie wzrosło. Pękło połączenie rurowe. Zarazki przedostały się na zewnątrz, do pokoju.

— Przepraszam bardzo — przerwał ze zdziwieniem Werchratski. — Ja tu cały czas słyszę o jakiejś komorze aerozoli. Czy myśmy, Sergiuszu Sergijowiczu, planowali tę robotę? Właśnie leży przede mną kartka z tematami prac laboratorium. Napisane: „Badania nad epidemiologią choroby Jossera. Gromadzenie podstawowych danych, zbadanie ognisk, zidentyfikowanie wirusa”. I nic więcej. Nie rozumiem. Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałem? Kto dał pozwolenie na pracę z komorą?

— Pozwólcie, Nestorze Iwanowiczu.

Głos Osadcze go był jak zwykle beznamiętny, a ruchy przymilne; mówił ostrożnie, poprawiając okulary wskazującym palcem. Miał na sobie pięknie skrojony dakronowy garnitur asfaltowego koloru, białą nylonową koszulę i wąski ciemnoniebieski krawat z cienkimi fioletowymi smużkami.

— Proszę wybaczyć, Nestorze Iwanowiczu — powiedział twardo Osadczy, starając się pochwycić wzrok Werchratskiego — ale wydaje mi się, że nie pora teraz na studiowanie kart z tematami. Cenna jest każda chwila. Winniśmy pomyśleć o życiu tych ludzi. Trzeba podjąć natychmiastowe kroki. Podzwonić do wszystkich instytutów.

Porozumieć się z Łazurkiewiczem, Grigoriewem. Może coś poradzą. Trzeba zatelefonować do Akademii. Do Instytutu Nowych Antybiotyków. Będziemy chyba zmuszeni zwrócić się do rządu z prośbą o połączenie z naszą ambasadą w Waszyngtonie. Podam adres mego serdecznego przyjaciela Johna Krustleya, dyrektora Instytutu Wirusologicznego w Kalifornii.

„Ludzie mówią, że ten facet odwiedza Instytut Piękności i Higieny” — pomyślał Werchratski przyglądając się bacznie Osadcemu.

— Bałandin zarządził kwarantannę — powiedział Biłan. — Poleciałem zawieźć im łóżka i białiznę pościelową. Musimy też zapewnić im żywność, umówiłem się już ze stołówką zakładów konfekcyjnych. Z Ordyncewem też musimy coś zrobić. Moim zdaniem trzeba go na ten okres zamknąć w laboratorium fotograficznym.

— To niebezpieczne. Wypije wszystek wywoływacz — uśmiechnął się Osadczy.

Werchratski zmiął nerwowo kartkę z tematami, spojrzął na Osadczego spod siwych gęstych brwi i niecierpliwie rzucił kartkę.

— Gratuluję. Pański plan jest wprost genialny, Iwanie Iwanowiczu. Co prawda nie bardzo rozumiem, na jakie cudowne leki pan liczy. Czy może ten pański przyjaciel, ten Krustley, wynalazł już środek przeciw chorobie Jossera? W przedostatnim numerze „Wirology” widziałem jego artykuł, ale nie ma w nim nic pocieszającego.

— O ile wiem, w ósmym problemie osiągnięto ciekawe rezultaty — odpowiedział Biłan. — Sądzę...

— Reklama — przeciął Osadczy. — Pan ciągle jeszcze wierzy temu pijakowi?

Wstał z krzesła.

— Pójdę zadzwonić do Łazurkiewicza.

— Nie. Rozmowa jeszcze nie skończona — nieubłaganie ciągnął dalej Werchratski. — Chociaż to dla pana nieprzyjemne, Iwanie Iwanowiczu, zmuszony jestem powrócić do rozmowy, którą pan tak zręcznie zwekslował na inny tor. Od tej rozmowy nie uciekniemy. Pytam: kto jest winien awarii?

— Proszę bardzo. Nikt nie ucieka — wzruszył ramionami Osadczy.

— Kto pozwolił przeprowadzać zakazania w komorze?

— Ja — odrzekł Osadczy. — I nie widzę w tym żadnego przestępstwa. Jedyne dla biurokratów (chciał powiedzieć: dla starych biurokratów, ale ugryzł się na czas w język) karta z tematami stanowi nienaruszalny dogmat. Dla nas to tylko kierunkowa pracy, nic więcej. Dopatruję się swej winy jedynie w tym, że nie zdążyłem osobiście powiadomić pana o pracach Bałandina. Rozpoczęli je podczas pańskiej nieobecności... no a potem znowu ja poszedłem na urlop. To są prace o olbrzymich perspektywach. Udało im się już otrzymać szczepionkę.

— Szczepionkę? — zmarszczył czoło Werchratski — w naszym instytucie? Za pomocą naszego wyposażenia? Nie rozumiem. Ależ to awanturnictwo. Zwyczajne awanturnictwo.

Ordyncew głośno chrapnął, mlasnął wargami i powiedział łagodnie:

— Borys, ty rudy diable, dworzec lotniczy.

Osadczy pokiwał ze zrozumieniem głową.

— No tak, Nestorze Iwanowiczu. Ma pan w pewnej mierze rację. Ale, jak mówią Francuzi, nie jest żołnierzem ten, kto nie chce zostać marszałkiem. Bałandin to przecież człowiek doświad-

czony, a jeśli chodzi o wyposażenie, ma większe niż trzeba. I ludzi ma odpowiednich. Kolektyw zgrany, wytrwały... Cóż w tym złego, jeśli szczepionka powstanie właśnie u nas? Mamy czekać nie wiadomo dokąd, aż wyprodukuje ją Instytut Szumakowa? No więc postanowiliśmy pomalutku własnymi siłami... Na górze o tym wiedzą. I naszą inicjatywę podtrzymują. Powtarzam więc raz jeszcze, że nie pora tu i nie miejsce na szukanie winnych. Trzeba ludzi ratować.

— Pora najbardziej odpowiednia! — wrzasnął piskliwie Werchratski. — A właśnie, że pora! Kiedy planowaliście z Bałandinem to doświadczenie, czy pomyśleliście o możliwych następstwach? Wtedy trzeba było ratować ludzi. Wtedy, a nie teraz! A te pańskie śmiechu warte nadzieje na Krustleya proszę zostawić dla durniów.

— W ciągu piętnastu minut zwołuję nadzwyczajne posiedzenie rady naukowej — powiedział Biłan. — Trzeba powołać komisję dla zbadania wszystkich okoliczności powstania awarii. Więc może odłożymy tę rozmowę...

— Nie, nie, nie! W żadnym wypadku!

„Skóra na nim jak obicie w mojej »Wołdze«” — pomyślał Osadczy patrząc na doprowadzonego do skrajnej wściekłości akademika. Uśmiechnął się dyskretnie i powiedział do Biłana:

— Nestorowi Iwanowiczowi potrzebny jest, zdaje się, kozioł ofiarny, na pożarcie. No cóż, mogę nim być. Jeśli oczywiście Nestor Iwanowicz potrafi udowodnić moją winę. Ale ekspertyza naukowa potwierdzi konieczność aerozolowego zarażania zwierząt przy sprawdzaniu szczepionki. Niepotrzebnie się pan denerwuje, Nestorze Iwanowiczu. Zupełnie niepotrzebnie. Pękł przewód. Kto winien? Nikt. Spalił się twornik. Kto winien?

Nikt. Pragnę też pana zapewnić, Nestorze Iwanowiczu, że kiedy planowaliśmy to doświadczenie, braliśmy pod uwagę jego możliwe następstwa. I konstrukcja komory też tu nie zawiniła. Pan, Nestorze Iwanowiczu, nie zainteresował się tą komorą, ale ja ją oglądałem. To cudowna rzecz. Pod względem konstrukcyjnym to cud techniki. Posłuchałby pan, co mówili o niej Amerykanie. Opis jej znaleźli w „ŻMEI”*. Byli zachwyceni. Ale nieszczęścia się zdarzają. Taka już nasza praca... Jesteśmy przecież epidemiologami. Nic tu się nie poradzi. Cała nasza praca to ciągle ryzyko. Jak na wojnie. Też można zginąć. I nie muszę chyba właśnie pana o tym przekonywać, Nestorze Iwanowiczu.

„Po kiego licha ja się z nim związałem? — pomyślał ze znużeniem Werchratski. — Ma za sobą siłę. Ten »profesor z urzędu«, to nadęte zero, trzyma wszystkich w rękach. Uwierzą jemu, a nie mnie. Jak na wojnie... W czasie wojny ten typ był państwowym inspektorem sanitarnym w Azji Środkowej. Sprawdzał jakość marynowanych ogórków.”

Iwana Iwanowicza Osadczego (z chłopskiej rodziny, uniwersytet robotniczy, instytut medyczny, inspektorat sanitarny, ministerstwo, laboratorium) nazywał „profesorem z urzędu” jeszcze z czasów, kiedy poznał go bliżej. Osadczy pół życia spędził jako zastępca ministra do spraw kadr, no i oczywiście, trudząc się gorliwie o czystość aparatu ministerialnego, nie zdążył za młodu wzbogacić nauki światowej o swoje odkrycia. Nie o odkry-

* „Zurnał Mikrobiologii, Epidemiologii ta Imunologii” — „Przegląd Mikrobiologiczny, Epidemiologiczny i Immunologiczny”

cia jednak chodziło — odkrywcy zawsze się znajdują; Osadczy miał talent kierowniczy wysokiej klasy: nie mówił za dużo, był rozsądny, gdzie trzeba — uprzejmy (nie odpowiadał mu „energiczny” styl kierownictwa: podnoszenie głosu aż do krzyku, łajanie, walenie pięścią w stół); jako człowiek o umiarkowanych poglądach nie manifestował też zgubnego lekceważenia monogamii, z miejsca zapamiętywał wszystkie procenty i odsetki (jego pamięć była szczególnie życzliwa dla radosnych cyfr wzrostu); był zdyscyplinowany, umiał przemawiać. Łatwo i z jakąś ujmującą delikatnością potrafił zjednywać sobie ludzi („czapką i papką”, jak sam mawiał); pierwszy kłaniał się szatniarkom w ministerstwie, w czasie wyjazdów służbowych nie wymawiał się od samogonu i w najbardziej nawet zabitych deskami wsiach podawał rękę felczerom, którzy w osłupieniu patrzyli na zakurzoną limuzynę oraz na nadmiernie łaskawe, dziwne jakieś „naczalstwo”.

A potem Iwana Iwanowicza jednak pociągnęła nauka — i to też miało swoje głębsze uzasadnienie. Spotykając się często gęsto z naukowcami podległych instytucji umiał bystro dostrzec u niektórych intelektualne ubóstwo. Nie doznawał zresztą przy tym złośliwej satysfakcji — nie, o to nie można go było posądzić; było to raczej jakieś lekkie zatroskanie — wkradały się jednak jątrzące wątpliwości: czy słusznie czyni, grzebiąc swój talent w ministerialnych papierkach, zamiast go złożyć na ołtarzu nauki?

Wybadał ostrożnie grunt i zlecił niektórym laboratoriom zajęcie się pewnym niezwykle ważnym problemem. Nie miał oczywiście na widoku własnej korzyści; wprost przeciwnie, spadły na niego same kłopoty: trzeba było starać się o dodatkowe

wyposażenie dla laboratoriów, wziąć na siebie ciężar niepotrzebnych kłopotów organizacyjnych. I sprawy tak się jakoś same potoczyły, że po dwóch latach na jego biurku leżał już cienki, ale ze smakiem oprawiony plik papierów — pierwszy, być może skromny jeszcze, ale jednak niebagatelny wkład Iwana Iwanowicza Osadcze­go w naukę epidemiologii. Habilitacja przyszła błyskawicznie. Był co prawda pewien nieprzyjemny drobiazg, który boleśnie zadrasnął Iwana Iwanowicza: kiedy demonstrował z trybuny wykresy, oderwał się arkusz przypięty bieliźnianymi „żabkami”. Na arkuszu tym pełżyły czerwone i zielone linie, ilustrujące spadek zachorowań w ostatnich latach na choroby zakaźne. Iwan Iwanowicz nie zdążył jeszcze schylić się po arkusz, kiedy wyrósł przed nim jeden z oficjalnych oponentów i podniósł arkusz z podłogi. Osadczy przez dłuższą chwilę karciał oponenta; nie mógł znieść nadskakiwaczy.

Kiedy Iwan Iwanowicz został kandydatem nauk, miał dość odwagi, by zdecydować się na szaleń­czy, zdaniem wielu jego współpracowników, krok: wyjechał na prowincję, został dyrektorem małego instytutu naukowo-doświadczalnego, w którym ledwie tlił się płomyk nauki. Na tę pozornie nierozważną decyzję wpłynęła okoliczność, że zapragnął rozwinąć skrzydła (nęciła go zwłaszcza wirusologia), a w ministerstwie nie miał możliwości wystartowania do śmiałego lotu: przeszkadzały mu przyziemne, ciasne, utylitarne kryteria tej instytucji.

Wkrótce o Osadczym niemal zupełnie zapomniano. Taka jest już niestety właściwość niewdzięcznej pamięci ludzkiej: zapomnieć o tym, kto odszedł, o tym, kto jeszcze niedawno był, zdawało się, taki nienaruszalny i potężny... Ale po kilku

latach zaczęły krążyć o instytucie Osadcze go różne wieści. Między innymi udało się w tym instytucie wydzielić nieuchwytny wirus żółtaczki zakaźnej. Co prawda nie było bezpośrednich dowodów, że wirusy te wywołują żółtaczkę — trzeba by było w tym celu przeprowadzić doświadczenia na ochotnikach; Osadczy zaś był przeciwny takim eksperymentom; niemniej jednak dokładny opis wszystkich właściwości tajemniczych wirusów był odpowiednio oceniony w Kijowie i w Moskwie.

Osadczy powrócił w rodzinne strony jako doktor nauk i profesor, uskrzydłony nadzieją wielkich dokonań. Lecz tu — jak kość w gardle — stanął na jego gwiazdzistym szlaku akademik Werchratski. Od czasu burzliwej potyczki na zjeździe epidemiologów i mikrobiologów zostali śmiertelnymi wrogami. Osadczy, powołując się na zarządzenia ministerstwa, wezwał delegatów do pełnej likwidacji całego szeregu chorób zakaźnych. Wówczas Werchratski z istic oślim uporem zaczął dowodzić, że nie można leczyć dyfterytu w Żytomierzu, gdy epidemia panuje w Połtawie lub Kustanai albo w jakimś innym mieście. Stary z furją rzucił się na sam termin „likwidacja”, dowodząc, że system sprawozdawczości ministerialnej dostarcza lekarzom wspaniałej okazji do zwykłego mydlenia oczu i wykazywania zwykłej anginy jako dyfterytu. Czy nie taką właśnie likwidację ma na myśli Iwan Iwanowicz? — grzmiał Werchratski purpurowiejąc i waląc mocno pięścią w trybunę. Przypomniał przy tym znaną wszystkim historię, jaką wydarzyła się w okręgu Czernichowskim. Otóż pewna gorliwa likwidatorka osiągnęła tak znakomite wyniki w wykorzenianiu dyfterytu, że zaczęto przejmować od niej przodujące doświadczenia. Ale wtedy nastąpiła katastrofa: niezupełnie

wyleczeni chorzy spowodowali w całym powiecie masową epidemię dyfterytu; zmarło pięcioro dzieci.

Ale Osadczy nie tak łatwo dał się zapędzić w kozi róg. Wykorzystał zrećznie brak krasomówczych uzdolnień starego akademika. „Czy jest na tej sali chociaż jedna osoba, która byłaby przeciwna postawionemu przed nami szlachetnemu zadaniu pełnej likwidacji chorób zakaźnych?” — zapytał wodząc oczami po milczącej sali. Takich szaleńców oczywiście na sali nie było. „Istnieją u nas wszelkie warunki do likwidacji chorób zakaźnych i my tę historyczną misję wypełnimy” — zakończył uśmiechając się zwycięsko. Odpowiednia, niezbędna rezolucja została uchwalona większością głosów.

— Tak! Potrzebny mi jest kozioł ofiarny! — wybuchnął Werchratski. — I bardzo mi na tym zależy, żeby tym kozłem ofiarnym był właśnie pan, szanowny Iwanie Iwanowiczu. Dołożę wszelkich starań... Pójdę nawet do KC, ale swego dopnę...

— Niepotrzebnie się pan gorączkuje, Nestorze Iwanowiczu. Nie wolno się panu denerwować. Nie ma pan racji, proszę mi wierzyć, absolutnie nie ma pan racji — perswadował łagodnie Osadczy, dotykając lekko dużej, pokrytej sinymi sklerotycznymi żyłami dłoni Werchratskiego. — Kiedy pan nieco ochłonie, na pewno zgodzi się pan ze mną, zapewniam pana. Jakże to, dalibóg, będzie wyglądało? Pański prestiż... Proszę mi darować, ale wyjdzie na to, że... pan załatwia osobiste porachunki. Stosunki między nami nie są dla nikogo tajemnicą.

— No dobrze — mruknął Biłan... — Dajcie już spokój z tą kłótnią. Kiedy Bałandin telefonował,

oświadczył mi, że całą winę bierze na siebie. Prosił też o wciągnięcie tego do protokołu z posiedzenia rady naukowej.

— Co za szlachetność! — powiedział Werchratski, poruszając się w fotelu. — Na płacz się zbiera z rozczulenia. Ale panu, Iwanie Iwanowiczu, to i tak nie pomoże. Ja mimo wszystko będę załatwiał z panem osobiste porachunki. I rozpowiem, gdzie trzeba, o pańskiej awanturze z zarażaniem.

Osadczy odruchowo poprawił węzeł krawata, zapiał marynarkę asfaltowego koloru, włożył ręce do kieszeni. Biłan zauważył boczne rozcięcia marynarki, jedna jej poła uniosła się nieco w górę. „To sprytnie zrobione — pomyślał Biłan. — Marynarka się nie mnie.”

— No cóż — odpowiedział ugodowo Osadczy. — Pańska wola. Tylko że to bardzo nieładnie, Iwanie Nestorowiczu, wykorzystywać ludzkie nieszczęście dla załatwiania spraw osobistych. Proszę to wziąć łaskawie pod uwagę. Czas już iść na posiedzenie rady. Chodźmy, towarzysze.

Biłan też wstał, obciążając długą brązową marynarkę bez rozcięć bocznych.

— Idźcie — machnął ręką Werchratski. — Dogonię was.

Począł, aż zamkną się drzwi. Para na ścianach kolby i szklanki dawno już znikła. Po szyjce kolby pełzały w dół samotne wodne ameby. Herbata wystygła, wywar z chińskich liści załatywał trawiastą jesienną goryczką. Gryząc cukier Werchratski nakręcił numer sekretarza naukowego.

— Natałka? Proszę mnie natychmiast połączyć z Moskwą. Tak, błyskawiczna. Akademia Nauk Medycznych. Solanka czternaście. I jeszcze Instytut Szumakowa. Tak, tak. Ma pani numer Instytutu Nowych Antybiotyków? To proszę poszukać.

Na kanapie chrapał z poświstem Ordyncew. Jego sandały zabrudziły już prześcieradło. „To nie gabinet, ale izba wytrzeźwień — pomyślał z odrazą Werchratski. — Prawdziwa izba wytrzeźwień.”

7

— Deszcz pada — oznajmił Igor.

— Ja mu tego nie daruję — powiedział Machow. — Jak wszyscy, to wszyscy.

— Daj spokój — perswadował Igor. — Zostaw go.

— Nie! Nie będę milczał! Chodzi o zasadę.

— Chłodno tu — wzdrygnął się Igor. — Parę widać.

Machow wysunął do przodu wargi i chuchnął.

— Zmarzniemy na kość — mruknął Igor. Podszedł do kaloryfera, pomacał jego żebra i postukał w nie. — Jak trup.

— Zuch z ciebie — powiedział Machow. — Nie trzeba milczeć.

Rozmawiali w kancelarii. Stały tu trzy standardowe biurka, regał na książki (pusty, jedynie na spodzie stłoczone były rulony papieru pergaminowego i filtracyjnego), a na ścianie pyszniła się w ciężkiej drewnianej ramie duża stara mapa Ukrainy; powiaty izmaiński i drohobycki były jeszcze wyodrębnione innymi kolorami, a dla powiatu czerkaskiego zabrakło już koloru.

— Marny nasz koniec — lamentował znów Igor. — Tu jak w chłodni.

— Tobie to nic. Przywykłeś do zimnych nocle-

gów. Nawet na lodowcach. Ja mam w domu radiator.

— Nie przejmuj się — odpowiedział Igor. — Nieraz jeszcze wypijemy razem. Pamiętasz restaurację „Centralną”?

— Wszystko mu przypomnę. Wszystko. I wybuch.

— Będziemy musieli cyganić — powiedział Igor. — To nieładnie. Zadzwoń do sąsiadów. Im nie trzeba wyjaśniać.

— Zadzwoń do domu, cudaku.

— U nas nie ma telefonu. Już dwa lata czekamy w kolejce. A ja muszę być o wpół do piątej w domu na mur.

— Poproś Twinga — poradził Machow. — Niech kogoś pośle i jakoś to wyjaśnią. Tak będzie nawet lepiej.

— Nie, nic z tego. Nie znasz mojej mamy. Cierpi na hipertonię*. Od razu się zorientuje. A musi unikać wzruszeń. Nie, zadzwonię lepiej do sąsiadów.

— Twoja rzecz.

— Powiem, że wyjeżdżam w pilnej delegacji. Do Białej Cerkwi albo do Chmielnickiego. Jako przedstawiciel ministerstwa. To zrobi dobre wrażenie. Moi staruszkowie mają wiele szacunku dla różnych takich słów jak ministerstwo, sympozjum, demencja...

Machow podparł twarz dłońmi i spojrzał na Igora tak, jakby chciał na zawsze zapamiętać jego przedziałek na głowie.

— A ja nie mam do kogo dzwonić — powiedział.

— Kłamiesz.

* Nadciśnienie.

— Mam tylko jednego przyjaciela. Nikogo więcej. Służyliśmy w tym samym batalionie. Dawno go już nie widziałem. Hryć Sotnykow. Kierownik garażu. Ma żonę, córkę. Żona elegancko się ubiera.

— Po jakiego licha dzwonić? — zdziwił się Igor. — Trzeba się cieszyć, że nie ma do kogo.

Podszedł do okna. Płot otaczający placyk, na którym leżało siano, nabrał w deszczu ciemnoczekoladowej barwy. Pod płotem walała się karoseria „Moskwicza” — bez kół i motcru, z pustymi przeżartymi rdzą oczodołami reflektorów; połyskiwała w deszczu świeżym błękitem. Ze stajni immunologicznej wyjechał wolno wózek z kościstym trupem konia. W mroku majaczył kontur sąsiedniej góry, porośniętej wieżami dźwigów i domami.

— Jego żona pracuje w wytwórni wódek i likierów. A Hryć to przystojny chłop. Gra na akordeonie.

— No cóż, zadzwoń — powiedział Igor. — Rozumiem ciebie. Pamiętam, siedzieliśmy tak na Biłakai. Wtedy też wpadliśmy. Wóz albo przewóz. Miałem straszną ochotę pogadać z chłopakami. Mielśmy radiostację. Pogadać z kimkolwiek. Ale nie można było. Baterie wysiadły.

Machow wysunął z biurka szufladę, znalazł tekturową teczkę z napisem „Własne badania” (według planu Machow powinien był oddać dysertację do Nowego Roku), zaczął dokładnie przeglądać papiery i wreszcie znalazł zmięty świstek.

— Telefon Hrycia. B 4-75-60. Co mam mu powiedzieć?

— Komu?

— Hryciowi.

— Hryciowi? Aa, tak, powiedz, że jesteś szczęśliwy, iż możesz umrzeć dla dobra nauki.

— Nie wygłupiaj się. I bez twojego gadania łyso.

— Dobra — powiedział Igor. — Spytaj, czy nie może ci dostarczyć samouczka gry na akordeonie.

— Jakiego samouczka? — nie rozumiał Machow.

— Zwyczajnego. Poprosimy Twinga, to dadzą nam akordeon z komitetu zakładowego. Nauczymy się z tobą grać. Poleczkę. A potem będziemy występować. Zrobimy taaką forszę. Mamy przecież teraz mnóstwo wolnego czasu.

— Znalazł sobie porę na dowcipy — rozzłościł się Machow.

— Sergiuszu Onysymowiczu! — zawołała Lila uchylając drzwi. — I pan też, Igorze Stanisławowiczu. Czekają na panów w gabinecie. Będzie narada.

— Nadzwyczajna? — zaciekawiał się Igor.

— Zaraz przyjdziemy — powiedział Machow. — Dziękujemy ci.

— Nie spiesz się, czekają! — krzyknął Igor za Lilą. — Jeść ci się nie chce?

— Chce. Właśnie pora iść do jadalni.

— No to przegryziemy coś. Mam śniadanie.

— Potem — odpowiedział Machow wstając. — Nic ci się nie stanie, jak się trochę przegłodzisz. Najpierw trzeba z nim pogadać.

Szli korytarzem obok zamkniętych drzwi, wiodących do gabinetu serologicznego, minęli przechodni pokój z lodówką.

Wchodząc do gabinetu już na progu Machow zapytał:

— Dlaczego wypuścił pan Ordyncewa?

Balandin wstał z krzesła i zbliżył się do Machowa; jego pięści jak kamienie wypychały kieszenie fartucha.

— O co chodzi, Sergiuszu Onysymowiczu? Co panu nie dogadza?

— Dlaczego pan pozwolił odejść Ordyncewowi? Jak to nazwać? Więc po jakiego diabła my tu siedzimy? Poparłem dziś pana. Ale zasada jest zasada. Czy pan ma pewność, że on nie zachoruje? My będziemy tu siedzieć jak... jak... a on będzie wachać kwiatki?

Bałandin wyprostował się na cały wzrost przed Machowem — wyższy o głowę, barczysty, o mocnym karku, stał przed nim w wyzywającej postawie; krótkie siwe włosy zjeżone nad karkiem, brwi nawisłe, twarz opalona, a może pociemniała ze złości. Znalazł w sobie dość jeszcze siły, by spokojnie wyjąć ręce z kieszeni i skrzyżować je na piersiach. Miał zawinięte rękawy fartucha i widać było, jak w zgięciu przy łokciu wesoło grają mięśnie i drży skóra. „Mocny jak dąb — pomyślał z powagą Igor. — Łapy jak u sztangisty. Gdzie tam Machowowi do niego.”

— Tak — odciął Bałandin. — Będzie wachał kwiatki. I pojutrze pójdzie na mecz piłkarski. Jeśli dostanie bilet. A wy będziecie siedzieć w laboratorium.

— Słuchajcie — powiedziała Doroszenko, która dotąd stała w milczeniu, oparłszy się o parapet okna. — Bardzo was proszę, nie zaczynajcie znowu mordobicia. To obrzydliwe widowisko.

— Ależ nic podobnego — odpowiedział Bałandin. — To jest jak najbardziej poprawna wymiana zdań na poziomie naukowym. Właśnie staram się wytłumaczyć mojemu oponentowi, że nie ma sensu, aby Ordyncew siedział tu z nami. Czy to dla pana jasne, panie kolego?

— Nie.

— Niestety nic na to nie mogę poradzić — skło-

nił się lekko Bałandin. — Na szczęście nie jestem pańskim zwierzchnikiem naukowym. Wirusy Jossera nie skaczą jak żaby po błocie. Istnieje specjalny mechanizm przekazywania tej infekcji. Ordyncew nie wahał aerozolu. I nie całował się z panem. A poza tym nawet gdyby się z panem pocałował — w co osobiście bardzo wątpię — nic niepokojącego by się nie stało: ma pan doskonale zdezynfekowaną twarz. No więc Ordyncew nie jest niebezpieczny dla otoczenia. Odwrotnie niż pan. Dlatego go wypuściłem.

Za ścianą zawarczał agregat lodówki.

— Naprawili już linię — zauważył Igor.

Lila siedziała w milczeniu na kanapie, przerzucając jakąś książkę. Machow i Igor usadowili się obok. Igor zajrzał do książki: „Encephalitis epidemica” Ł. O. Silbera. Lila zdążyła już zdjąć fartuch i siedziała teraz w czarnym swetrze z wysokim kołnierzem zakrywającym szyję i we włochatej wełnianej spódnicy, odsłaniając krągłe kolana; miała na nogach niemieckie prążkowane pończochy szarostalowego koloru.

— Może pani nie szukać — powiedział cicho Igor. — Tam go pani nie znajdzie.

— Kogo?

— Jossera. W tym wydaniu jeszcze go nie ma.

— Ja tylko tak... — Lila zamknęła książkę. — Zanim oni skończą się kłócić...

Bałandin usiadł przy biurku i zapalił stojącą lampę z wygiętą szyjką.

„To świetlny sygnał rozpoczęcia bitwy” — pomyślał Igor.

— O czwartej przywiozą łóżka i pościel. Prosiłem o cztery łóżka. Ja się obejdę, mam kanapę. Rozlokujecie się w sposób następujący: Sergiusz Onysymowicz i jego... ten... przyjaciel będą miesz-

kać w kancelarii. Wy z Lilą w laboratorium. Tam ciepłej. Ja zostanę w gabinecie. Jasne?

Po dwunastu minutach za ścianą znowu zawarzał agregat lodówki; pracował w ujemnej temperaturze, dlatego włączał się w pewnych odstępach czasu, po ośmiu minutach pracy następowała przerwa; rurki, przez które przepływał freon, okryte były puszystą warstwą szronu. W prawej przegrodzie pracownicy laboratorium trzymali produkty. Teraz leżało tam półtora kilograma wieprzowiny, którą rano kupiła Doroszenko.

U podnoża wzniesienia, na którym rozlokowały się budynki instytutu, stała drewniana budka; na zielonym szyldzie wypisane było czerwonymi literami: „Mięso”. Doroszenko obiecała Bałandinowi przyjść wcześniej do laboratorium, ale zmarnowała wiele czasu na wyklócanie się z apoplektycznym sprzedawcą w długim waciaku.

„Dlaczego pani podnosi taki gwałt? — spytał rzeźnik, wycierając ręce o zakrwawiony fartuch. — Chce pani na kotlety? Z cukrową kostką. Proszę bardzo. Schabik, że paluszki lizać.”

„Trzeba posłać mięso Fedi” — pomyślała Doroszenko, przysłuchując się warkotowi lodówki.

— A co z paleniem? — spytał Machow.

— Cholera! — Bałandin trzepnął dłonią po kolanie. — Na śmierć zapomniałem!

— Proszę zadzwonić do Biłana. Niech koniecznie kupią. Zostały mi trzy papierosy.

— Biłana nie ma w gabinecie.

— To niech pan zatelefonuje do Kozymenki — naciskał Machow.

— Jego też nie ma — odpowiedział Bałandin. — Chce pan „Dżebeł”? Mam zbędną paczkę. Nieźle.

— Dziękuję — Machow zacisnął mocno war-

gi. — Nie biorę cygar do ust. Palę tylko papierosy.

— Nie ma o czym gadać — powiedział Igor. — Jakoś wytrzymasz. Niewielka bieda.

— Wielka.

— A nie może pan rzucić palenia? — spytała Lila. — Mój ojciec rzucił. Witaliśmy wtedy Nowy Rok. Czterdziesty pierwszy. Ojciec założył się z sąsiadem. Cały rok, powiedział, nie będę palił.

— No, dość już tej gadaniny — przerwał Bałandin. — Lilu, niech pani da już spokój. Mamy mnóstwo spraw. Trzeba dokończyć dzisiejszy eksperyment. Jutro będziemy znowu pracować z komorą. Czy została jeszcze emulsja mózgowa?

— Nie — odpowiedziała Doroszenko. — Trzeba przygotować.

— Więc proszę, żeby jutro była. A my zajmiemy się komorą. Dotyczy to pana, Sergiuszu Onysymowiczu.

— Nie podejść więcej do komory — odpowiedział spokojnie Machow, przypatrując się akwarelowemu portretowi Miecznikowa pędzla przyjaciela Bałandina, plastyka leningradzkiego.

— Co takiego?!

— Mam tego dość! Doigraliśmy się. Od samego początku było wiadomo, że „Makbet” jest do luf-tu. I pan jest głównym winowajcą. To przecież pańska komora.

Bałandin kreślił coś w zamyśleniu tępym końcem ołówka na arkuszu czystego papieru. Obok podstawki z przyborami do pisania stała przed nim na biurku duża fotografia. Na lśniącym tle Uniwersytetu roześmiane twarze uczestników międzynarodowego sympozjum w sprawie pokojowego wykorzystania mikrobiologii. Sympozjum odbywało się w zimie, padał wilgotny puszysty

śnieg i fotograf przesłonił obiektyw. Obok Bałandina dreptał zmarznięty Amerykanin w śmiesznym futrzanym kaszkiecie ze skórzanym daszkiem, Wesley Stableforth, wybitny specjalista mikrobiolog z uniwersytetu w Massachusetts. Amerykanin wypytywał Bałandina, ile ma samochodów. „Dwa — odpowiedział Bałandin. — Co prawda jeden to już starszy model.” — Miał na myśli stary, połamany samochodzik do nakręcania, kupiony jeszcze wtedy, gdy miał urodzić się jego syn; prócz tego mała Marynia miała zupełnie nowy samochodzik pedałowy. Stableforth skupował w domu towarowym płyty z nagraniami Prokofiewa, jaskrawe matrioszki* i brązowo-zielone drewniane naczynia ludowe. Bałandin przypomniał sobie wystąpienie Stablefortha na sympozjum: w sali było ciemno, brzęczał cicho epidiaskop, przez ekran pełzły formuły, charakteryzujące system pracy aerozolowej komory typu dynamicznego. Stableforth, chudy mężczyzna w tanim, wymiętym ciemnoszarym garniturze, był tak podekscytowany, że często podchodził do ekranu. Wówczas jego twarz, niewyraźnie oświetlona, z płataniną różnych formułek z projektora, wyglądała tak, jakby należała do istoty z innej planety, gdzie wszystko podporządkowane jest formułom, pozbawionym sensu przerażającym prawom, nie znającym wyjątków, absolutnym, wszechobecnym, bezwzględnym, okrutnym. Na szyi Stablefortha widniała duża blizna, prawdopodobnie po operacji węzłów limfatycznych; na cienkiej jak lodyga szyi głowa wydawała się za duża, a dolna szczęka zbyt masywna.

Bałandin schował fotografię.

* Ludowe rosyjskie lalki (baby) drewniane

— Doskonale. Zwalniam pana z wszelkich obowiązków w laboratorium. Może pan iść.

— To jeszcze nie wszystko — odezwał się Machow.

— Słucham.

— Proszę mi powiedzieć: jakie pan miał w ogóle prawo przeprowadzać ten eksperyment? Kim my jesteśmy dla pana, królikami doświadczalnymi?

— Przepraszam, kolego. Nie dosłyszałem pańskich ostatnich słów. Proszę z łaski swojej powtórzyć.

W gabinecie zapanowała niewiarygodna cisza.

— Kto dał panu prawo rozporządzania naszym życiem?

— Trzeba było pójść do seminarium duchownego — odpowiedział Bałandin — a nie na medycynę. Nasz zawód jest nie do pomyślenia bez ryzyka.

— To demagogia — powiedział Machow.

— Co wy, z łańcuchaście się urwali?! — zawołała Doroszenko.

— Najzabawniejsze, że to zapaśnicy różnych wag — zauważył ponuro Igor. — To nie będzie bójka, ale szlachtowanie. Prawdziwa rzeźnia.

Machow siedział bez ruchu, uchwyciwszy się oburącz brzegu kanapy, jak w szybko pędzącym autobusie.

„Znieruchomiał jak lalka celuloidowa — pomyślał Igor. — Lepiej pochodziłby trochę po pokoju. Blady, jakby zanurzył twarz w krochmalu. Pospacerowałby lepiej. Jeszcze chłopak hipertonii się dorobi.”

— Z pana po prostu święty człowiek — ironizował Machow. — Inteligentny. Wiemy o tym. Dlatego pluje pan na nas wszystkich. W tym

właśnie sedno sprawy. Niech wszyscy pozdychają, byleby pan mógł robić karierę.

Bałandin ciągle jeszcze wodził ołówkiem po papierze.

— Sergiuszu, co ty pleciesz!? — rzekła Doroszenko. — Czy ty masz wszystkie klepki w porządku?

— Mówię prawdę. Wszyscy myślicie tak samo.

— Mówcie, mówcie, kolego — Bałandin pokiwał zachęcająco głową. — Walcie w tę zgniłą inteligencję. Huzia na nią!

— On jeszcze nie stracił poczucia humoru — powiedział Machow. — A dlaczego nie zastosował pan żadnych środków bezpieczeństwa? Dlaczego nie było masek? Nikomu nie przyszło do głowy takie pytanie?

Bałandin mechanicznie to włączał, to wyłączał światło. Lampa biurowa migotała, jak gdyby nadawano sygnały świetlne alfabetem Morse'a.

— W głowie się panu pomieszało od strachu, Sergiuszu Onysymowiczu. Przy drobniutko rozpylonym aerozolu maska z gazy pomaga tyle, co umarłemu kadzidło. A odpowiednich respiratorów* nie mamy. Czy są jeszcze jakieś pytania?

— Patrzcie, jak to wszystko pięknie i prosto zostało wyjaśnione — powiedział Machow, ciągle trzymając się rękami kanapy. — Masek nie ma, tego nie ma, tamtego nie ma. Więc dlaczego uruchamiał pan „Makbeta”? To zbrodnia. Kryminalne przestępstwo.

— O Boże! — westchnęła Lila. — Jakież to ma teraz znaczenie?

— Ma! — krzyknął Machow. — Ogromne!

Igor trącił Machowa łokciem.

* Maska z filtrem chroniąca drogi oddechowe

— Słuchaj, przestań już głądzić. Gadaj do lampy, bo my idziemy na śniadanie. Chodźcie, mam smaczną kiełbasę. Głodowa śmierć jeszcze gorsza.

— Nie wtrącaj się — warknął Machow.

Bałandin wstał, podszedł do umywalni, odkręcił kran i podstawił pod strumień rękę.

— Nie mam zamiaru milczeć — powiedział Machow. — Niech pan na to nie liczy. Na naszej skórze dorabiać się habilitacji, po naszych plecach wspinać się po nagrodę...

— Co takiego? — zapytał Bałandin, wycierając rękę.

— Niech pan nie udaje. Tu sami dorośli. Jeszcze w Stefanówce wszystko zrozumiałem. Biega po chałupach, skacze koło chorych... Bohater... Znamy te sztuczki.

Machow mówił nie wstając z kanapy, niemal nie poruszając się, coraz wolniej i ciszej, z wzrokiem wbitym w Bałandina. Był zewnątrznie odrętwiały, wewnątrz jednak kipiała w nim jakaś zła i ciemna pasja. Był jak pies myśliwski tropiący zdobycz. Czuł, jak napinają mu się mięśnie, jak pręży się ciało. Wszystko w nim wołało o pomstę. Poczul się lekki, zwinny, znikła zupełnie ociężałość.

„Przydałby mu się jednak ruch” — pomyślał znów Igor.

— A o Dusi pomyślał pan? Ma małe dziecko. Pomyślał pan o tym? Czy tylko o tym, żeby zwalić na nią winę? A o Lili? O Igorze? O kimkolwiek — czy pan pomyślał? O ludziach pan pomyślał? W imię czego my tu siedzimy? W imię pańskiej habilitacji? Proszę odpowiedzieć!

— Daj spokój, Sergiuszu — łagodziła Doroszenko, zabawnie machając rękami. — Przestań już!

Bałandin podszedł do okna, odtrącił Doroszenko i otworzył je. Do gabinetu napłynął kojący szum deszczu.

— Nie przeszkadzaj, Dusiu — powiedział Machow. — Co, boisz się go? Bronisz go, a on ci w twarz napluł. Żebyście wiedzieli, że to wszystko płazem mu nie ujdzie. Morderca! A myśmy mu wierzyli. Myśleliśmy, że to uczony. Oto jaki z niego uczony... Podaje się za ofiarę kultu jednostki. A głupcy go żałują, słuchają jego bajd. Bzdury! Rozczulać się nad takim. A wiecie, kto on jest? Tchórz. Kiedy go tylko trochę przycisnęli, na kolanach pełzał... Wiem wszystko. Wszystko! Mało mu jeszcze wtedy dali.

— Sergiuszu!

Doroszenko uniosła się na palcach, żeby zamknąć okno. Bałandin stał koło biurka wyprostowany, odrętwiały, w fartuchu lekarskim z zawiniętymi rękawami, patrząc przed siebie pustym, obojętnym spojrzeniem; w szufladzie biurka leżało stalowe pudełko z wygotowaną strzykawką i dwie ampułki platyfiliny. Za oknem szumiał deszcz. Od czasu do czasu jęknęła w kanapie sprężyna.

— Co ty wyprawiasz — powiedziała Doroszenko, której udało się nareszcie zamknąć okno, patrząc z wyrzutem na Machowa. — Nie można się tak poddawać nerwom. Wolno ci go nie lubić, to twoja rzecz. Ty jednak przekroczyłeś wszelkie granice. Co tu ma do rzeczy jego przeszłość? Potrzebna jest szczepionka. To jest ważne. Zapomniałeś już o wybuchu? Jak ci nie wstyd powtarzać czyjeś plotki?

— Plotki? — spytał niemal pokornie Machow, podnosząc głowę. — Nie, Dusiu, to nie są plotki. W pełni odpowiadam za moje słowa. Słusznie go

w swoim czasie posadzili. Było za co. Szkoda tylko, że go wypuścili. Niech nie udaje jagniątką. Namnożyło się teraz sporo takich... artystów. Nieвинnych ofiar... Nie, Dusiu. Zajmij się lepiej swoim sercem. Boisz się go? — uśmiechnął się ironicznie.

— Nieprawda! — krzyknęła Doroszenko. — Nie boję się go. Ale też nie pozwolę nikomu na oszczerstwa!

— Zostawcie mnie w spokoju — odezwał się Bałandin martwym głosem. — Wszyscyście dobrzy. obrońcy. On też. Nie kłamie. Mówi prawdę. Wszyscy mówią prawdę. Ale wynoście się stąd. Wszyscy. Nie chcę nikogo z was widzieć.

8

„Człowiek jest istotą trójwymiarową — rozmyślał Bałandin. — Żyje przeszłością (w wymiarze lat), teraźniejszością (w wymiarze chwili) i przyszłością (zachorujemy w sobotę). Człowiek jest jak Bóg, trójjedyny. Nie, może on mieć pięć czy nawet dziewięć twarzy i każda należy do niego niepodzielnie, chociaż żadna z nich z osobna nie określa jeszcze człowieka, stanowiąc tylko jeden ze szkiców do jego portretu; i dopiero łącznie wszystkie te twarze dają obraz człowieka.

...A kim ty, Bałandin, jesteś? — pytał samego siebie. — Jakie jest twoje prawdziwe oblicze? Czy znasz je? Tacy ludzie jak Machow są potrzebni — pomyślał, nie odczuwając ani złości, ani nawet irytacji. — Są wręcz nieodzowni w każdym, najdoskonalszym nawet społeczeństwie. Machow

jest nosicielem mojej nieśmiertelności. Nie pozwoli mi zapomnieć o przeszłości. Będzie ją przechowywał w sobie wiecznie, w każdym razie tak długo, dopóki będę istniał. A kiedy umrę, przyjmie to jako ciężką stratę. Bo gdy człowiek umiera, z wszystkich jego wymiarów pozostaje tylko jeden: przeszłość. Moja śmierć z miejsca uczyni moją przeszłość bezwartościową i nareszcie wyswobodzę się spod kontroli Machowa.

...Ale ja nie jestem przecież winien! — myślał z rozpaczą. — Nie uważam się za winnego. Nie poczuwam się do winy. W niczym i nigdy. Nawet wtedy...”

...Wyruszyli otwartą półtoratonówką o wpół do piątej, kiedy mrok już gęstniał, niebo i śnieg poszarzały, a w domach tu i ówdzie zabłysło światło. Bałandin umówił się z instruktorem komitetu powiatowego partii, nie ogolonym zmęczonym mężczyzną w okularach o jednym pękniętym szkłe, że jutro w południe przyślą z powiatu samochód.

Wyjechali punktualnie o czwartej trzydzieści, trzej zmarznięci żołnierze z automatami, sierżant i instruktor z komitetu powiatowego, wszyscy w oszronionych szynelach, w czapkach-uszatkach mysiego koloru i w szarych walonkach. Motor rozgrzewali palnikiem do spawania. Bałandin w swym kusym ciemnogrnatowym palcie z wytartym kołnierzem karakułowym i o kieszeniach z klapami — takie palta nazywano „moskwiczki” — wyglądał na tęgiego brygadzystę z kołchozu. Nosił wtedy wojskowy frencz bez naramienników, wełnianą kamizelkę, brązowe spodnie, wpuszczone w solidne juchtowe buty, które kupił w Kijowie na talon.

— Żeby tylko drogi nie zawiąło — powiedział Bałandin, żegnając się.

— Nie ma obawy. Jakoś sobie poradzimy — odpowiedział instruktor. — Mamy łopaty. A więc jutro o dwunastej samochód. Do widzenia. Wszystkiego dobrego.

— A proszę pamiętać o przysłaniu komory dezynfekcyjnej! — krzyknął Bałandin.

Potem chodził po wiejskich chałupach razem ze starym Zenonem Szeptą, który jeszcze w 1909 roku ukończył w Wiedniu felczerską szkołę wojskową. Mieli tylko trzy termometry, dlatego musieli dłużej zatrzymywać się w każdym domu. Było dziewięć osób z gorączką. Bałandin przepatrywał z Szeptą, gdzie by tu urządzić odwszalnię, bo za mało było w powiecie komór dezynfekcyjnych, a panowała wtedy ostra epidemia tyfusu plamistego. Szeptą zaproponował, by urządzić odwszalnię w pustym domu Hnata Hacki, rozstrzelanego przez Niemców w czterdziestym trzecim roku.

Gwałtownie zapadła noc, wchłonęła ich mroźna ciemność. Przeklinali cały świat, byli zmarznięci na kość, Bałandin czuł swędzenie, jak gdyby oblaży go w odwiedzanych chatach wszy. Nie obawiał się, że zachoruje, był szczepiony szczepionką Brilla, a bieliznę miał wypraną mydłem DDT, czuł się jednak fatalnie. W takim nastroju włókł się z Szeptą przez wieś, wstępując do chorych. Stary tytułował Bałandina „panem”. Mówił przedziwną mieszaniną ukraińsko-niemiecko-polską. W szczególnie ciężkim stanie była stara kobieta o smagłej twarzy i czarnych zrosniętych brwiach, która majaczyła: „Ładna ze mnie dziewczyna... Nie gniewajcie się, chłopcy... Nie zaczepiajcie mnie. Widzicie przecież, że uczę się jeździć na rowerze... Jestem dziewczucha do rzeczy,

tylko ten rower jest marny... Bardzo dobrze, bardzo dobrze, mój junaku..." Bałandin zrobił jej zastrzyk z kamfory, niczym więcej nie mógł jej pomóc.

Powrócili do Szepty około jedenastej. Stary mieszkał samotnie, ale w domu było czysto i przytulnie.

Szepta, zacierając ręce, postawił na stole patelnię z krwawą kiszką i przyniósł z sieni zapotniałą karafkę z wódką nalaną na skórce cytrynowej.

Nie zdążyli jeszcze podnieść do ust kieliszków, kiedy ktoś zastukał do drzwi.

— Jezus Maria! — klasnął w dłonie Szepta. — Proszę! — zawołał.

Do mieszkania wszedł szesnastoletni może chłopak w długim obszarpanym niemieckim płaszczu wojskowym, w wysokiej barankowej czapce.

— Dobry wieczór — powiedział zdejmując czapkę. — Czy pan jest lekarzem? — zwrócił się do Bałandina.

— Tak.

Zenon Szepta podszedł do okna i osłaniając dłonią oczy od światła spojrzął na dwór.

Chłopak potrząsnął jasną czupryną i powiedział:

— Tu niedaleko ktoś zachorował. Potrzebny jest lekarz. Czy mógłby pan pomóc?

— A co takiego? — spytał Bałandin.

— Ma bóle brzucha. Mało nie zwariuje. To tu niedaleko. Koło Marynino Zakątko. Dziadek Zenon wie, gdzie to jest, prawda, dziadku?

— Tak, tak — pokiwał głową stary.

— Szybko pana tam zawiozę, jestem z koniem — ponaglał chłopiec, nakładając czapkę.

— Dobrze — zgodził się Bałandin. — Trzeba chyba pojechać. A pan jak, Zenonie Makarowiczu, pojedzie pan ze mną?

— Dziadek niech lepiej zostanie w domu — wtrącił się chłopiec.

— Dobra — zgodził się skwapliwie Szepta. — Może właśnie rzeczywiście ten...

— Może rzeczywiście — powiedział chłopak, nie spuszczać ze staruszka oczu.

Za kilka minut Bałandin był już gotów. Nie miał nic oprócz szczepionki, strzykawki i kamfory.

— No to chodźmy — powiedział chłopiec otwierając drzwi; spojrzął przy tym na Bałandina okrągłymi, ptasimi oczami z jakimś niedobrym uśmieszkiem na ustach, nad którymi rysował się ostro cienki nos o ruchliwych nozdrzach. Opasany był wojskowym radzieckim pasem.

Wyszli na dwór. Bałandin drząc z zimna po-człapał za chłopcem. Czuł, jak pod nogami skrzypi śnieg. Przy płocie stały sanie, siedział w nich jakiś człowiek w czarnym kożuchu. Nawet się nie obejrzał, kiedy Bałandin wsiadł z chłopcem do sań.

— Jazda, Mikołaju! — zawołał chłopiec, sadowiąc się obok doktora.

Sanie ruszyły.

Działo się to siedemnastego stycznia 1947 roku. Za tydzień kończyła się Bałandinowi delegacja. Wyjeżdżając tu zostawił paszport i dokumenty w okręgowej stacji sanitarno-epidemiologicznej. Miał przy sobie tylko rejestr chorych w tym ognisku zakaźnym oraz zarządzenie ministerstwa ochrony zdrowia USRR w sprawie dalszych kroków zmierzających do obniżenia zachorowań na tyfus plamisty.

Mróż teżał. Bałandin podniósł kołnierz. Obaj z chłopcem milczeli; tylko mężczyzna w czarnym kożuchu coś tam od czasu do czasu zagadywał do

konia. Jechali przez pustą, jakby wymarłą wieś — główną, przetartą drogą. Na niebie świeciły gwiazdy. Parskał koń. „Tak chyba wyglądały średniowieczne wsie podczas epidemii dżumy” — pomyślał Bałandin.

Chłopak w niemieckim szynelu uparcie milczał. Bałandin absolutnie nie mógł dociec, gdzie leży ten Marynin Zakątek. Sanie skręciły z ulicy w pole. Bałandin odwrócił się.

— Niech się pan nie denerwuje, doktorze — powiedział chłopiec. — Jest pan do dyspozycji bojówki UPA. Tylko spokojnie.

W rękach chłopca błysnął automat.

„Okazuje się, że jednak pamiętam wszystko. Wszystko lub prawie wszystko — pomyślał Bałandin. — Pamiętam dokładnie, jak w pięćdziesiątym roku podszedł do mnie — pracowałem wówczas w szpitalu obozowym — jakiś nędzny chłopczyzna ze skrzywionym nosem i powiedział zmieszany:

— Dzień dobry, panie doktorze. Pan mnie nie poznaje? To ja, Jurko Homon. Ciągłe pan mnie nie może poznać? Wzięli mnie w czterdziestym ósmym. Pracuję na trzecim punkcie. Przy wyrębie lasu.

Twarz jego bardzo się zmieniła. I uśmiech miał inny. W czterdziestym siódmym uśmiechał się jak zwycięzca. Wiedział wtedy, że się go boję. Wiedział, że nie wyskoczę z sań i nie będę uciekał zaśnieżonym polem, bo się boję, że mnie podziurawią kule z puszczanej w plecy serii z automatu.”

...Bałandin bardzo zmarzł, mróz ściał mu lodem twarz i wlaź w palce. Po półgodzinnej jeździe woźnica zatrzymał konia, wyjął z kieszeni watanianych spodni jakąś szmatę i zawiązał Bałandi-

nowi oczy. Szmatać czuć było machorką. Jechali jeszcze długo. Kiedy wiatr ucichł, słyhać było tylko skrzypienie drzew i chrzęst gałązek, Bałandin zorientował się, że wjechali w las. Po pewnym czasie sanie zatrzymały się.

Konwojent zeskoczył. Bałandin usłyszał jakieś przytłumione głosy. Potem ktoś go chwycił za rękę. Włazł w śnieg i gałąź boleśnie podrapała mu twarz. Ludzie, których nie widział, wzięli go pod ręce i poprowadzili. Ślizgał się, potykał, podtrzymywali go jednak mocno, by nie upadł. Wreszcie zaczęli zstępować po schodach; skrzypnęły drzwi, owiało ich smrodliwe ciepło. Przez opaskę na oczach przesączyło się nieco światła.

Kiedy mu ją zdjęli, w pierwszej chwili nie dostrzegął nic, oczy łzawiły. Dopiero po chwili mógł się rozejrzeć.

Znajdował się w niskim, podziemnym, dość jednak przytulnym schronie. Na suficie i pobielonych ścianach wystąpiły trupiosine plamy wilgoci. Piecyk, w prawym kącie trzy automaty — dwie pepesze i niemiecki empi. Na jednym z zasłanelonych łóżek polowych leżał nieruchomo na wznak jakiś mężczyzna przykryty namiotowym brezentem. Etażerka z książkami, stół i kilka taboretów dopełniały umeblowania schronu, w którym oprócz Bałandina i człowieka pod brezentem były jeszcze trzy osoby: chłopiec w niemieckim szynelu, krępy ryżawy osiłek w samodziiałowym czarnym swetrze, czarnych bryczesach i natłuszczonych butach z cholewami oraz jakiś starszy mężczyzna o zapadniętych piersiach i zwiędłej twarzy, jakby wyblakłej wskutek częstego prania, z angielskim starannie wystrzyżonym wąsikiem, ubrany w walonki, bryczesy i wojskową błuzę khaki z dużymi nakładanymi kieszeniami. Na

stole stała lampa naftowa, rzucając na sufit kolisty odbłask.

— W porządku, Jurko — powiedział łaskawym tonem człowiek w walonkach. — Pewnie jesteś głodny?

Nie czekając na odpowiedź wyciągnął spod łóżka torbę, wyjął z niej kawał żytniego chleba, zmarzniętą słoninę i brudnobiałą główkę czosnku — Siadaj — nakazał.

Chłopak usiadł natychmiast i zaczął pałaszować słoninę, zagryzając ją chlebem, którego skórkę nacierał ciągle czosnkiem.

— Kolego Hałajda — odezwał się ryżawy osiłek, zerknąwszy z ukosa na Bałandina — trzeba tego sowieckiego towarzysza zrewidować.

— Zaczekaj — odpowiedział człowiek w walonkach.

Obejrzał Bałandina od stóp do głowy, wolno, z zawodową dokładnością, jakby taksował, ile może kosztować palto, czapka czy buty albo głowa lub ręce Bałandina. Potem poruszył lekko palcami.

— Proszę zdjąć palto. U nas ciepło. Niech pan siada.

Wszyscy mieszkańcy bunkra mieli dziwny akcent, trochę seplenili: zamiast „siadać” mówili „szadać”.

Bałandin zauważył na etażerze „Krótki kurs historii WKP(b)” w sztywnej seledynowej okładce.

— Chodzi o to — zaczął człowiek w walonkach wyprostowując nogi — żeby pan zaraz obejrzał tego tu człowieka — ruchem głowy wskazał leżącego. — To wspaniały człowiek, prawdziwy bohater. UPA jest z niego dumna. On musi żyć. Trzeba go ratować, rozumie pan?

— Rozumiem — odpowiedział ochrypniętym głosem Bałandin.

Mężczyzna w walonkach miał pistolet zawieszony na niemiecką modłę po lewej stronie. Do pasa przyczepiony był trójzab, wycięty nieporadnie z miedzianej blachy.

Demba zaświecił latarką. Bałandin podszedł do łóżka i odkrył brezent. Leżał przed nim młody mężczyzna, na jego bladej twarzy wyraźnie czerniał zarost. Ręce miał złożone na piersiach, jak nieboszczyk. Leżący powoli otworzył oczy. Jego powieki jak z alabastru utraciły elastyczność: otwierał je bardzo wolno, ukazując białka oczu. Delikatne długie palce rannego przypominały palce manekinów w witrynach salonów fryzjerskich lub gabinetów kosmetycznych. Ubrany był w koszulę ochronnej barwy i w wybrudzoną wiatrówkę, jego nogi ktoś owinął wełnianą kołdrą z czerwonym napisem: „Kriegsmarine”.

— Co to? Obława? — ledwie dosłyszalnym szeptem spytał ranny.

— Uspokój się, przyjacielu. To lekarz.

Ranny obojętnie przymknął powieki.

— Odkryjcie go, chłopcy — rozkazał człowiek w walonkach. — A wy, panie sowiecki doktorze, spójrzcie z łaski swojej na jego nogi.

Ranny leżał w zakrwawionych kalesonach obciętych poniżej kolan nożycami; obie nogi miał nieumiejętnie owinięte bandażami. Bałandin uniósł nogę rannego, poprosił do pomocy chłopca i zaczął ostrożnie zdejmować opatrunki. Zwoje bandaży zlepily się w miejscach, gdzie przesiąknięta krew zdażyła już zakrzepnąć, przy odwijaniu każdego zwoju ciemna plama wciąż się powiększała. Ranny stracił przytomność w chwili, gdy Bałandin dotknął jego nogi. Lewe podudzie było przebite, obie kości złamane. Stopa ledwo trzymała się na skrawku skóry.

— Co mu jest? Jak z nim będzie?

— Jest bardzo poraniony — odpowiedział Bałandin. — Utracił dużo krwi. Doznał szoku. Trzeba amputować nogę. Ale proszę wziąć pod uwagę, że ja nie jestem chirurgiem. I nie mam żadnych narzędzi. Jestem lekarzem epidemiologiem.

— Mikołaju Petrowiczu — powiedziała Lila, zaglądając do gabinetu. — Proszą pana do telefonu.

Bałandin przeszedł przez całe laboratorium, nie spotykając nikogo prócz Lili.

— Słucham — podjął słuchawkę. — Sergiusz Sergijowicz? Tak... Tak. Wszystko w porządku. Dopiero co skończyliśmy naradę... Tak... Nie, jak dotąd żadnych. Nastrój? Wszyscy są w bardzo dobrym nastroju. Tak. W bojowym. Jutro przeprowadzimy szereg doświadczeń dla sprawdzenia działania szczepionki... Tak... Tak... Halo!... Wszystko normalnie... Zuch, trzyma się doskonale. Nawet nie czekał... Też dobrze... Nie, nie ma potrzeby. Dziękuję... Oczywiście przekażę... Ale à propos. Niech pan, Sergiuszu, da z łaski swojej polecenie, żeby kupili papierosy. Najlepiej „Bielomorzy”. Cztery paczki... Nie, dziękuję, dla mnie nie trzeba. Palę „Dżebeł”. Tak, oczywiście... Trzeba się odzwyczajać. Protokół? Spiszemy. Oczywiście. Dziękuję. Tak, tak... Proszę dzwonić.

Wróciwszy do gabinetu Bałandin położył się na kanapie.

Gdzieś trzasnęły drzwi, słyhać było jakieś głosy. Pewnie przywieźli łóżka...

„Co ja narobiłem! — pomyślał Bałandin z rozpaczą. Poczul w piersiach ostry ból, jak gdyby całym ciężarem ciała nadział się na ostry stalowy hak i zawisł na nim; zamarł w bezruchu. — Dla-

czego nie jestem sam, jak wówczas, zimą czterdziestego siódmego roku? Sam w tym lesie, sam w śmierzącym schronie. Poczucie odpowiedzialności za przeszłość, oto co odróżnia człowieka od zwierzęcia, jak powiedział kiedyś Prychodko. W takim razie nie jestem jeszcze człowiekiem — myślał dalej Bałandin. — To poczucie zaczyna dopiero we mnie kiełkować. Po stokroć ma rację Pawłow: trzeba zdążyć wytrwale do osiągnięcia celu, którego w pełni nigdy osiągnąć nie można... Marzyłem o »Makbecie«, no i co? Cel powinien być zawsze niedosiężny. Absolutnie niedosiężny, jak by powiedział lekarz, który był przy porodzie Marynki. A kiedy się urealnia, staje się czymś nieoczekiwanym, bezlitosnym, przeraża nas konkretnością kształtów, barw, twarzy, głosów — tego wszystkiego, co wymknęło się już spod naszej kontroli, nad czym nie mamy już władzy, czego zaczynamy się lękać.

A może trzeba było wyjechać do Batumi? — ciągnął dalej swe rozmyślenia Bałandin. — Wsiąść na statek i... I znowu narażać się na to, że jakiś osioł nazwie cię dziadkiem. »Ma pan piękną wnuczkę...« Smarkacz! A jednak było tam cudownie. Wspaniały klimat. Jak głupio wszystko w życiu się układa — myślał Bałandin. — Nie chodziło przecież o klimat, nie on był najważniejszy. Właściwie poszczęściło mi się w życiu. Teraz dopiero rozumiem, co to jest szczęście: Wełta, Marynia, morze. A ja, zamiast cenić każdą chwilę, kaprysiłem.”

...Bałandin zapuścił palce we włosy Marynki. Miała poważną twarzyczkę o słabo zarysowanych brwiach, rumianą jak młoda brzoskwinia.

— Jak się czujesz? — spytał Bałandin.

— Całkiem klawo — odpowiedziała z poważnym wyrazem twarzy.

Na nabrzeżu przy molo tłoczyli się ludzie, oglądając czarny, pękaty trzykominowy statek zagraniczny, który wolno wypływał z portu na szmaragdowe morze, prawie nie burząc jego spokojnej powierzchni. Na rufie trzepotała leniwie niebiesko-biało-czerwona flaga.

„Niebieskie miasto, niebieskie morze — myślał Bałandin. — Nuda. Wczasowicze w pstrych koszulach udają zagraniczników. Wczoraj wzięli mnie za Niemca! Pomyśleli, że Niemiec — spójrzcie tylko na jego uszczęśliwioną gębę! Naprawdę tak pomyśleli. Ależ oczywiście. Okulary, fryzura... Modne są krótkie włosy. A po niemiecku ani w ząb. Pełno tu zresztą Niemców. Demokraci czy zachodni? Różni. A Francuzeczki pan widział? Taakie babki! Bzdura. Takie same jak wszystkie. Na plakatach »Inturistu« siniejące góry, lazurowe morze, »Kto pieniądze na książeczkę przezornie odłożył — ten cudownie może spędzić swój urlop nad morzem«. »Jedźcie do stolicy wczasowych przygód miłosnych«...”

— Szkoda Żory Ordyncewa — powiedział. — Poznaliśmy się w czterdziestym szóstym, jeszcze przed tą moją historią. Wspaniałały chłopak.

— Czy on już wtedy też? Też tak...

— Tak — odpowiedział Bałandin. — Zaczął jeszcze w czasie wojny.

— Spójrz, jak pięknie! — zawołała Welta. — Wręcz niewiarygodnie pięknie. Mama opowiadała mi kiedyś, podobno była tu. Nad Bałtykiem jest zupełnie inaczej.

— Mamo, mamusiu, mamuleńko, kup mi loda —

łasiała się Marynia. — Tatusiu, powiedz mamie, żeby mi kupiła. Jeszcze dziś nie jadłam.

— Dobrze, idźcie — machnął ręką. — Dla mnie nie trzeba.

Pamięta, jak Wełta z Marynką w wesołych podskokach zbiegały w dół po ścieżce do kiosku z lodami. Takie dni wspomina się potem, zwłaszcza kiedy pada deszcz, ziemia jest rozmiękła i brnie się po błocie. Dopiero w takie dni można w pełni zrozumieć, ile wart jest jeden dzień życia nad morzem, dzień zupełnej wolności, gorzkosłonej wody, zdawkowych rozmów o pogodzie, tradycyjnych sprzeczek o kolor morza. Właśnie dopiero wtedy z bolesną niemal jasnością i wyrazistością odczuwa się, czym jest szczęście. Każdy musi to mieć w sobie; to jest niezbędne, żeby kiedyś — leżąc w bagnie lub na łożu śmierci — wiedzieć, że gdzieś daleko jest słońce.

„Moje marzenie się spełniło. Oglądałam słońce i morze. Skąd więc ten niepokój? Otrząśnij się z tego, Bałandin. Patrz, jakie ładne dziewczęta, ile w nich radości, kiedy patrzą na morze. One nie wiedzą, co to jest konwój wołogodzki. W ogóle niezrozumiałe jest dla nich słowo konwój. Głowa do góry, Bałandin. Nikt ci już więcej nie zabierze słońca. I Wełcie też. I Marynce.”

„To właśnie było szczęście — upewniał samego siebie. — Tak wygląda szczęście. Dlaczegoż więc byłem wtedy, po stokroć dureń, niezadowolony?”

Poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go mocno pięścią w pierś. Przymknął oczy, zdawało mu się, że zaraz polecą w dół szybkobieżną windą. W pierśsiach rozrastała się próżnia. Odrzucił do tyłu głowę, oczekując następnego ciosu. Potem namacał puls. „To jednak było szczęście — pomyślał. —

Wiem dobrze. Takiego już nigdy nie doznam...
Trzeba zażyć walidol."

Wstał ostrożnie, zdjął fartuch i koszulę i położył się z powrotem na kanapę, podkładając pod głowę zmiętą bluzkę od piżamy, którą zwykle wkładał idąc na oddział zakaźny.

„A może Machow ma rację? Rzeczywiście nie pomyślałem o przyszłości tych ludzi: o dzieciach Dusi Doroszenko, o Łozickim, o Lili, o Machowie. Przekroczyłem tę niedozwoloną strefę, w której zaczyna się cudze istnienie, skomplikowane, nie podlegające mi, niepowtarzalne istnienie, na które zamach jest jednoznaczny z zabójstwem, jakkolwiek by się to później nazywało: eksperyment, wyczyn, ofiarność. Powinienem był przeprowadzić zarażanie osobiście. Boże, jakie to wszystko byłoby proste, gdybym był sam.

Nie, nie jestem jednak niczemu winien — broń się sam przed sobą. — Człowieka powinno znamionować poczucie odpowiedzialności za przyszłość. Odpowiadamy za to, żeby historia ze Stefanówki nie powtórzyła się. My wszyscy. Naszym obowiązkiem było przeprowadzenie tego eksperymentu i my go przeprowadzimy. Żadne sentymenty temu nie przeszkodzą: nikt nie zdejmie z nas odpowiedzialności za ludzkie życie. I nasz własny los też nie może tu być brany pod uwagę. Szczepionkę trzeba wyprodukować. Wszystkie inne rozumowania to tylko zakamuflowane tchórzostwo. Awaria komory była niewątpliwie tragicznym wypadkiem, ale to nie umniejsza w niczym naszej odpowiedzialności przed ludźmi. Machow kłamie."

Leżał wyciągnięty na kanapie, z oczyma utkwionymi nieruchomo w przestrzeń. W szufladzie biurka leżało zrobione z łuski naboju metalowe pudełeczko z wysterylizowaną strzykawką oraz

dwie ampułki platyfiliny. Monotonny plusk deszczu i warkot lodówki nie docierały do świadomości Baładina: ból serca stawał się nie do zniesienia. Przed oczami majaczyło ciemnobrązowe, jak wyrzeźbione z drzewa, umęczone oblicze Łukerii Iwanowny Łewczenko, która stała na piaszczystym cmentarzu ze skrzyżowanymi bezsilnie na piersiach rękami i od czasu do czasu zawodziła: „Synku mój! Synku... Moje biedactwo... Synku...”

9

Mężczyzna o zmęczonej twarzy, w brudnej wyszywanej koszuli, uderzył kawałkiem zardzewiałej rury w witrynę. Odłamki szkła upadły z brzękiem na chodnik. Otarł pot z czoła i przeszedł się po chodniku, czując, jak pod nogami zgrzyta potłuczone szkło. Na nogach miał pantofle z żagłowego płótna, kiedyś białe, związane czarnymi sznurkami. Zamachnął się jeszcze raz rurą i wywalił resztę ocalałej witryny. Rzucił z rumorem rurę na chodnik, wytarł rękę z rdzy, włożył ostrożnie do wnętrza, uważając, by nie zranić się kawałkami szkła, i porwał worek z mąką.

— Mykołko, chodź no tu!

— Pszenna! — zawołała starsza kobieta w szlafroku, poprawiając nerwowo fryzurę. — Jak Boga kocham, pszenna!

Wyrostek o okrągłej smutnej twarzy nadstawił worek. Człowiek w wyszywanej koszuli balansując na witrynie zabrał jeszcze kilka toreb kaszy i włożył wszystko do szarego worka. Potem wytarł dłonią twarz i spojrzał na ludzi, stojących w milczeniu na chodniku.

— A wy czego stoicie? — spytał z zachętą w głosie. — Bierzcie. Tak i tak przypadnie. Bierzcie, dobrzy ludzie. Naczalstwo puciekowało, sklep pełny. Bierzcie, bierzcie! Socjalizm nam nastał, jak Boga kocham.

Łypnął wesoło oczyma i zarzucił sobie worek na plecy. Ręce miał ubielone mąką.

— Chodźmy stąd — matka szarpnęła Lilę za rękę. — To szczury.

Zniknęły za rogiem. Lila dreptała obok matki, ciągle oglądając się, żeby jeszcze raz spojrzeć na tego spoconego wesołego mężczyznę w wyszywanej koszuli.

— To szczury — powtórzyła matka, ściskając mocno Lilę za rękę.

W mieście panował chaos i pustka. Raziły niepotrzebne szyldy zakładów fryzjerskich. Zastygł w przerażonym zdumieniu brązowy Bohdan Chmielnicki, pokryty sadzą i popiołem, ze swą zbędną i bezsilną buławą. Potłuczone szyby okien zwisały na wąskich paskach papieru gazetowego. Pokurczyły się, pożółkły odezwy i instrukcje sztabu miejscowej obrony przeciwlotniczej. Milczały uliczne gigantofony.

Ulicami wałęsali się ludzie o zmęczonych i zakłopotanych twarzach, z ciężkimi workami na plecach. Koło sklepu konfekcyjnego przy ulicy Kominternu zebrał się tłum. To milczące zbiegowisko podkreślało tylko bezludność ulicy. Tłum zafrapował Lilę: postacie ludzkie zdeformowane, jakby sparaliżowane, jakieś senne, wyglądały niczym posągi zastygłe na chodniku. Zbliżywszy się Lila dostrzegła w ich rękach kupony krepde-szynu i jedwabiu. Ludzie mieli już ręce zajęte, nie rozchodzili się jednak, wciąż spoglądali pożądl- wie na sklep. Wreszcie wyszła z niego tęga kobie-

ta, trzymając w objęciach jakiegoś nagusa. Ledwie przepchała się przez wąskie drzwi, przyciskając do piersi bezwolne różowe ciało. Wyszedszy na ulicę oparła golca o witrynę, wyjęła z kieszeni prochowca kawałek czerwonej kitajki i wytarła spoconą twarz. Niebieskooki golec stał nieporuszony, jak po komendzie „baczość!”. „To przecież manekin” — pomyślała Lila. Kobieta wzięła manekina na ręce i poszła w kierunku ulicy Saksa-gańskiego.

— Nie może się zmarnować — mamrotała, przepychając się przez tłum. — Nic nie może przepaść — bełkotała obłudnie, położywszy ciężką rękę na różowym pośladku manekina.

— Jezus Maria! — zawołała mama. — A to co takiego?!

Omiał nie wpadł na nie jakiś zadyszany, chudy, smagły, podstrzyżony chłopiec w szarej koszuli; na jego piersi balańsował na łańcuszku duży znaczek Osoawiachimu*.

— Idą! — wołał podniecony. — Żebym tak zdrów był!

Z trudem dźwigał pełne wiadro różnokolorowych cukierków, biegł jednak szybko i stukot wiadra o bruk cichł coraz bardziej.

Lila ruszyła z matką pod górę. Pod ich nogami chrzęściły cukierki. Kiedy wyszły na bulwar Szewczenki, matka zatrzymała się, żeby trochę odsapnąć. Przeszedł koło niej jakiś staruszek w podartym paletku z czarnym aksamitnym kołnierzem. Szedł wolno, uważnie wpatrując się w Lilę króliczymi oczyma. Jego bródka wyglądała tak, jak gdyby stary, wychodząc w pośpiechu, bez

* Organizacja młodzieżowa, odpowiednik Ligii Obrony Kraju!

lustra przyczepił już w przedpokoju skrawek waty do podbródka. Palto związane było na wszystkie guziki. Na jego klapie kołysał się jak wahadło zegara nieduży srebrny krzyż. Staruszek niósł w rękach bukiet białych georginii.

— Chwała Bogu! Nareszcie — szeptał.

Szedł z wypiętą piersią, trzymając sztywno głowę, jakby zapomniał o istnieniu szyi; patrząc przed siebie z pokorą i szacunkiem, niósł bukiet kwiatów, tak jak noszą w Wielki Czwartek świecę z cerkwi do domu, gdy nie chcą, by zgasła.

— Boże drogi! — powiedziała matka. — Idą, idą.

Od Żydowskiego Bazaru w górę bulwaru Szewczenki szli wolno mężczyźni z automatami w rękach. Rozglądali się. Wszyscy mieli jednakowe szarozielone głowy. „Musi im być gorąco” — pomyślała Lila. Mundury ich były ufarbowane w jaszczurczy deseń. Chodnikiem szli nieśmiało czterej chłopcy, patrząc z napięciem na nieznanym żołnierzy. Jeden z nich kiwnął na chłopców palcem. Złękli się, przywarli do trupiobladej ściany dwupiętrowego domu na rogu ulicy Kominternu i bulwaru Szewczenki. Fasadę domu pomalowano przed świętem pierwszomajowym; Lila dobrze знаła ten dom, mieszkała tu matka jej ojca. Jeden z chłopców nabrał odwagi i podszedł do żołnierza z automatem. Ten gestykulując kazał mu nieść płaską zieloną skrzynkę.

Staruszek w wytartej jesionce zatrzymał się i potrząsając bukietem kwiatów zaczął coś wygłaszać, nikt go jednak nie słuchał. Żołnierze przeszli obok niego obojętnie, zbliżając się do Lili. Hełmy z orłami z boku, skórzane paski pod brodą, podobne do termosów zielone manierki, ciężkie tornistry, rozpięte frencze, przyciszone śmiechy.

Matka przytuliła się do parkanu ogrodu botanicznego. Lila chciała pić. Przypomniała sobie, że nieco wyżej, koło czerwonego muru uniwersytetu, jest kiosk, w którym zawsze można dostać zimną wodę sodową. Matka chwyciła ją obu rękami za ramiona, przycisnęła do siebie. Chłopczyk, który dźwigał skrzynkę z nabojami, przechodząc obok nich spojrzął na matkę ze strachem.

— Uciekaj do domu, synku — powiedziała cicho mama; on jednak poszedł dalej, nawet się nie obejrzał.

Staruszek stał na rogu i ciągle jeszcze potrząsał bukietem. Żołnierze, nie zwracając na niego uwagi, wlekli się zmęczonym krokiem pod górę, przyciskając do brzuchów rękojeści automatów. Wysoki żołnierz o pełnej twarzy odłączył się od towarzyszy i zbliżał się z uśmiechem do ogrodzenia. Stał niedaleko Lili, przerzucił automat przez plecy i rozkraczył nogi. Lila zobaczyła, jak po chodniku płynie żółtawa strużka. Chciało jej się płakać.

— Nie patrz, słyszysz?! — zawołała matka. — Zamknij oczy.

Nie zauważyły, jak podszedł do nich staruszek. Trzymał bukiet georginii jak pastuch bat. Ciężkie kwiaty zwisały obijając się o chodnik.

— Madame, pan Krasowski podle kłamał. Zapewniam panią, madame. To nie oni. I znowu Rosję oszukano. Myślałem, że pan Krasowski jest uczciwym oficerem. Kończyliśmy przecież razem korpus kadetów... Proszę mi wierzyć, madame.

— Niech pan odejdzie — powiedziała matka.

— Nasz korpus stacjonował niedaleko dworca kolejowego. Znam na pamięć gwizdki wszystkich pociągów. Kurier z Petersburga...

— Proszę zostawić nas w spokoju.

— Niech pani nie wierzy panu Krasowskiemu, bardzo panią proszę, madame — nie zniechęcał się staruszek, zatrząsł się tylko wiecheć waty na brodzie. — Czy pani nie widzi? Oni mają niewłaściwe epolety. Epolety winny być szersze. Prócz tego w oddziałach liniowych czerwone wypustki. Teraz już pani rozumie? To wszystko fałszywe.

— Niechże pan już sobie idzie — zniecierpliwiła się matka — nie zatrzymuję pana.

— Madame, chcę, by pani była moim sekundantem — wymamrotał staruszek odchodząc. Kwiaty rzucił na chodnik.

„...Od tego czasu minęło już dwadzieścia lat z hakiem — myślała Lila Riznyk. — Dwadzieścia lat... Minie jeszcze dziesięć lat, i jeszcze dziesięć, będzie upływał rok za rokiem, ale to wspomnienie pozostanie mi w pamięci jak nieuleczalna choroba; będzie we mnie do końca, umrę wraz z nim. Nie przekażę tego w spadku. Na szczęście takich rzeczy się nie dziedziczy.”

Lila wydobyla ostrożnie z eksykatora żółtoszary płat mózgu i włożyła go do blendera. Dolała trochę wody i włożyła wtyczkę do kontaktu. Blender, podobny do miksera, w którym przyrządza się mleczne kokteje, zawył nieprzytomnie. Zawirowały w nim delikatne cząstki ludzkiego mózgu.

Lila podeszła do umywalki i puściła na ręce strumień wody. Mimo iż była w gumowych rękawiczkach, odczuła przyjemny chłód. Poczula się rażniej. Wyłączyła blender.

— Jewdokio Iwanowna! — zawołała. — Gotowe!

— Doskonale — odpowiedziała Doroszenko. -- Proszę wstawić do lodówki.

Lila przelała ostrożnie szarą ciecz do szklanceczki. „Jak to dobrze, że nikogo z nich nie wi-

działam — pomyślała. — Lżej pracować. Czytasz na słóiczku napis: I. Łewczenko. I to wszystko. I. Łewczenko, wieś Stefanówka, lat 26. I jeszcze data śmierci. Dobrze jednak, że nigdy nie widziałam tego I. Łewczenki. Może właśnie w tym płacie mózgu koncentrowało się jego uczucie miłości: pięćdziesiąt gramów miłości, rozdrobnionej i przetworzonej na zawiesinę. Myślę o tym zawsze, kiedy wkładam płat mózgu do blendora. »Lilu, czy pani wie, że tu pływają całe światy?« Łozicki ma rację: w tej strzykawce pływają słowa, które należą do tego człowieka, tylko do niego — tysiące słów, jego czułość, jego śmiech, jego myśl o przyszłości, jego tajemnica, jego wspomnienia z wojny — jeśli się tylko zachowały.»

„...Stuknęła mi już trzydziestka” — pomyślała Lila. Wiedziała, że zbliża się do czegoś zakazanego. „Zatrzymaj się.” Ale było już za późno. To uczucie już nią owiładnęło. Było jak pierwsze żółknące liście w czerwcu — niedostrzegalne symptomy jesieni; jest ich jeszcze bardzo mało, ludzie nie zwracają na nie uwagi albo nie chcą ich dostrześć. Jesień skrada się powoli, nieubłagane, zapowiadana przez tajemne znaki; chociaż już dojrzewają i żółkną zboża, a w sadach niestrudzenie brzęczą syte pszczoły, każdy przekonuje sam siebie, że lato dopiero się zaczyna, że urlop jeszcze przed nami, wszystko mamy przed sobą. Niezgrabne polewaczki samochodowe poruszają wodnymi wąsami, mokra rozpalona jezdnia dyszy parą, zwiędłe liście lepią się do okratcwań ścieków.

Na razie jest bardzo mało takich liści, pierwszych zwiastunów jesieni. We wrześniu będą wszędzie, nigdzie się przed nimi nie skryjesz. Będą szeleścić pod nogami, będziesz je deptał. Zapach opadłych liści, zapach jesieni, wspomnienie o niej

wywoła u ciebie zawsze wzruszenie, przypomni ci ojca. I zawsze wtedy masz ochotę zapłakać, ale zbyt długo już żyjesz na świecie, żeby wiedzieć, że takiej choroby nie uleczysz łzami. Łzy tylko przeszkadzają. Jak przeszkadzały wówczas mamie.

— Jasza, co teraz będzie? Boże święty, co to będzie! — popłakiwała mama.

Ojciec zapinał cierpliwie rzemienie plecaka.

— Albo ja wiem? — spytał. — Dlaczego mnie pytasz? Wszystko będzie dobrze. Sznajder mówił, że oni organizują nowe spółdzielnie rzemieślnicze.

— Ostrożnie, Jasza! Nie zbij słoika.

— Po co to wszystko? — spytał ojciec. — Na co mi te truskawki? Zaraz napiszę, jak tylko będziemy na miejscu. Sznajder mówił, że nas powiozą na Zachodnią Ukrainę.

— Boże miłosierny! — podniosła lament matka.

Ojciec długo i dokładnie zawiązywał plecak; wreszcie poklepał dłonią po jego gładkich zielonych bokach i postawił go na stole.

— Nie płacz, Wieroczka, nie płacz. I niech ci nie wpadnie do głowy mnie odprowadzać. Sznajder mówi, że wszystko może się zdarzyć... Lepiej zostańcie z Lilą w domu.

— Tatku, czy ta Zachodnia Ukraina daleko? — spytała Lila.

— Dwie pary skarpet. Mało, ale co robić. Dałam ci też ciepłą bieliznę. Nową, polską. Kupiłam wiosną na bazarze, pamiętasz? A gdzie chustki do nosa? Nie zapomniałeś?

— Tam bardzo ładnie — powiedział ojciec. — Sznajder był na Zachodniej Ukrainie w trzydziestym dziewiątym. Wam pewnie pozwolą przyjechać.

— Dlaczego wzięłeś ten drewniany kikut, a nie protezę? — spytała matka.

— Tak jest lepiej — odpowiedział ojciec. — Proteza jest za ciężka. A ty się nic nie przejmuj, Wiero. Będę pisać. Zobaczysz, że zaraz po przyjeździe napiszę. A to prześlecie mi pocztą. Na razie się obejdę. Widzisz, Wieroczka, że nie odchodzę całkiem. Zostawiam wam moją nogę.

Uśmiechnął się zakłopotany i włożył kaszkiet — stary, kiedyś bardzo modny letni biały kaszkiet z czarnym daszkiem.

— Jasza, postaraj się odnaleźć mamę.

— Nie wiem — odpowiedział ojciec. — Ona pewnie będzie szła bulwarem Brzeskolitewskim, a potem ulicą Kerosynną. Jak ją znajdzie? Widziałś, co się dzieje na ulicach?

— Postaraj się — powtórzyła z płaczem matka.

Ojciec podszedł do stołu, usiadł, niezgrabnie wysunął drewniany kikut i włożył rękę za pasek plecaka.

— Tak, tak. Śmieszna jesteś. Jakbym nie chciał jej odnaleźć. W najgorszym razie ich spytam. Sznajder mówi, że u Niemców panuje idealny porządek.

— Jasza! — krzyknęła mama. — Lili, co to, co to wszystko znaczy?

Zdjął plecak z ramienia, postawił na taborecie, rozwiązał, wyjął słoik z konfiturami.

— Ja się bez tego obejdę — powiedział. — Wszystkiego dwa dni jazdy. Lepiej zostaw to dla Lili. Gdzie teraz dostaniecie truskawki? Wiero, proszę cię, nie wypuszczaj Lili samej na ulicę. Wszyscy wiedzą, że do mnie podobna. No, ptaszynko, do widzenia — pocałował córkę na pożegnanie. Miał mokrą, nie ogoloną, zatroskaną twarz. Ponad dwadzieścia lat temu...

Poszedł. Lila z matką przypadły do okna i patrzyły, jak kuśtyka przez podwórze, roztrzając kikutem opadłe liście i pozostawiając na ziemi jego ślad. Skórzana proteza na metalowych zawiasach wałała się pod łóżkiem do jesieni czterdziestego trzeciego roku, kiedy Sonderkommando podpaliła ich dom; ale wówczas były daleko od domu, u siostry matki w Kaniewie. Lila stłukła słoje z truskawkami w pół godziny po odejściu ojca. Mama płakała nad słojem jak nad nieboszczykiem. Słodka lepka ciecz rozlała się po podłodze i Lila wycierając podłogę oblizywała palce. „Nie rób tego! — strofowała matka. — To ze szkłem.”

Pozostała fotografia, pożółkła jak jesienny liść. Nawet w snach Lili ojciec miał twarz nieruchomą, pożółkłą jak na fotografii. Przytulał gdzieś tę twarz do plastikowej szyby, jakby chciał lepiej przyjrzeć się Lili; do brudnej, zachlapanej ciągłymi deszczami, nie mytej szyby okna, przez które patrzył wtedy ostatni raz z nimi na świat. „Fotografie matki też tak pożółkną — pomyślała. — Trzeba będzie przefotografować. Kiedy dostanę pensję, zamówię portret. Póki nie jest za późno. Dostanę pensję? — zastanowiła się. — To bardzo mało prawdopodobne.”

Przez gąszcz wspomnień przedarł się głos Dusii Doroszenko:

— Lilu, proszę schować emulsję i iść się umyć. Późno już. Czas spać.

Zakończył się wreszcie ten szary, wilgotny, upiorny, wlokący się nieskończenie dzień. Doroszenko nie zapalała światła. W pokoju od czasu do czasu zawarczał termostat. Na laboratoryjnym

stole połyskiwały trzy szklane klosze, pod którymi stały czarne mikroskopy MBI-2 z obciążenymi skośnie tubusami przytwierdzonymi do wygiętych stalowych korpusów. Na taborecie obok łóżka, na którym siedziała zatroskana Doroszenko, stała wirówka z otwartą pokrywą; wewnątrz widać było próżne plastikowe kubki, do których wstawiało się probówki. Kubki zwisały jak liście zeschniętej rośliny. Doroszenko dotknęła małej dzwigićki i przesunęła ją nieco w prawo. Wirówka zahuczała, kubeczki jak na komendę podniosły się nieco, drgnęły, poruszały się zrazu jakoś niezdecydowanie, potem szybkość obrotów rosła, w środku wirówki utworzyło się błyszczące koło, plastikowe futerały na probówki ułożyły się poziomo. Doroszenko westchnęła i wyłączyła wirówkę. Potem wzięła ze stołu kolbę z cienkiego szkła, rozpięła stanik i zaczęła ściągać pokarm.

Białe mleczne strużki zawirowały w kolbie, ogrzały ją. Jewdokii przyjemnie było trzymać ją w rękach — to małe źródółko ciepła w zimnej, zanurzonej w mroku izbie.

Weszła cicho Lila i zapaliła światło. Doroszenko postawiła kolbę na stole.

— Czy to bolesne?

— Co?

— Kiedy dziecko... no, kiedy ssie pierś.

— Nie — zaprzeczyła głową Doroszenko. — Kiedyś pani też tego doświadczy. To bardzo przyjemne.

Lila otworzyła termostat i wpatrując się w lśniące miedziane lustro (drzwiczki importowanych termostatów pokryte były cienkim arkuszem miedzi) zaczęła rozczesywać mokre włosy.

— Jaka woda? — spytała Doroszenko.

— Gorąca. Chce się pani umyć?

— Nie. Jestem bardzo zmęczona... Wszystko mnie boli. Nie mogę się ruszyć.

— Pukałam do niego — powiedziała po chwili Lila.

— No i co?

— Bez zmian. Proszę mi nie przeszkadzać, powiada, odpoczywać. Nie będę, powiada, jadł kolacji.

— Gdzie pani schowała kefir?

— Wstawiłam do lodówki — odpowiedziała Lila.

— A może ja bym poszła?

— Nie warto. Nie otworzy. Zdaje mi się, że nie otworzy. Lepiej niech pani nie podchodzi.

— Dobrze — zgodziła się Doroszenko.

Lila wyjęła z torebki mały różowy słoiczek z kremem „Jardin”, nabrała kremu na końce palców i zaczęła opuszkami lekko go wklepywać i obmacywać twarz, jak to czynią ślepcy, kiedy chcą poznać rysy nieznanego; po chwili cała twarz pokryła się cieniutką warstewką tłuszczu.

— Dać pani mój krem? Odżywczy.

— Nie, dziękuję.

— To nerwy — westchnęła Lila. — Po wojnie wszyscy są nerwowi.

— Nie, Lilu. Nie o to chodzi. Chodzi o Machowa. Nigdy bym nie pomyślała, że on taki...

Lila zamknęła termostat, schowała do torebki grzebień i słoik z kremem.

— W niedzielę przyjeżdża ciotka. A ja mam klucz. Gdzie ona się podzieje?

— Ładny pani ma pokój?

— Za dużo sąsiadów. Zamieszkałyśmy tam z mamą dopiero po wojnie. Nasze mieszkanie spaliło się.

Doroszenko opuściła głowę na poduszkę, wło-

żyła rękę pod materac i mocno ścisnęła chłodną metalową ramę.

— Ilko dziś rano kaszlał — powiedziała nie otwierając oczu. — Nie trzeba go było puszczać do szkoły, wybaczyć sobie nie mogę. Iwaś znów dostał jakiejś wysypki. To chyba diateza.* Fedia zginie beze mnie.

— A co... co mu pani powiedziała?

— Co miałam mówić? Nakłamałam. Powiedziałam, że wykonujemy nową instrukcję ministerstwa.

— A on co na to?

— No cóż, chyba zrozumiał. Przestraszył się. Nie potrafię niestety kłamać. On wie o tym. Powiedział, że jest coś takiego w moim głosie...

— Kto będzie z dziećmi?

— Wysłał telegram do swojej siostry, żeby przyjechała.

— Czy pani jest... szczęśliwa... z mężem? — spytała Lila zacinając się.

— Tak. Bardzo.

— Nie wyjdę już stąd — powiedziała Lila. — Wiem.

Jej biała, świecąca od kremu twarz stężała. Wystające kości policzkowe, krótki nos z garbkiem, energiczny podbródek i blade wargi (Bałandin zabronił przebywać w laboratorium z ukarminowanymi ustami) wyglądały jak wyrzeźbione.

— Ja przecież wiem... — mówiła dalej. — I nie rozumiem, po co oni się kłócą. Jakie to ma teraz znaczenie? Nie mogę tego słuchać. Winien, nie winien... Wszyscy i tak zginiemy. Tylko że mnie teraz nie wolno... właśnie teraz... to niesprawie-

* Rodzaj uczulenia

dliwe... nie mogę... niech to pani wreszcie zrozumie! Ja spodziewam się...

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążyła: pochyliła się, zakryła dłonią usta, wybiegła z laboratorium i Doroszenko usłyszała znajome odgłosy...

Wstała, wylała mleko do zlewu i naląła do szklanki zimnej wody. Lila słaniając się wróciła do pokoju i upadła z płaczem na łóżko.

— Lilu, proszę się uspokoić. Nie trzeba. Nie trzeba, Lilu. Nic nam nie będzie. Słyszysz pani? Prawdę mówiąc nie wierzę, że jesteśmy zarażeni. Bałandin to panikarz, wie pani o tym dobrze. Prawda?

— Tak — odpowiedziała Lila drżącym głosem.

— Proszę już o tym nie myśleć. Nic się nie stanie, zobaczysz pani. Posiedzimy tu trzy dni i rozejdziemy się. Będziemy się potem z tego śmiali, zobaczysz pani. Proszę się napić wody.

— Pani to dobrze — powiedziała Lila. — Ma pani dzieci, męża. A ja... E, co pani rozumie! Po co pani mnie pociesza? On nie jest panikarzem. Sama widziałam, jak rurka zeskoczyła.

— Proszę mówić ciszej, bo zaraz znowu się zacznie.

— Nic pani nie rozumie — powiedziała Lila; przewróciła się na brzuch i chowając twarz w poduszkę zalatującą mysim odorem magazynu, zaniosła się jeszcze głośniejszym, jeszcze bardziej beznadziejnym szlochem.

— Pani nic... nic nie rozumie — mówiła w poduszkę łkając. — Pani dobrze, ma pani dzieci... Są dzieci... Zrozumiała już pani? Nie chodzi tu o mnie, nie o siebie się boję... Rozumie pani?

Słowa jej ginęły w mokrej poduszce. Leżała, zanurzywszy głowę w tę plataninę słów, z roz-

rzuconymi rękami, twarzą do ziemi, jak wtedy na wyspie, jak wtedy na wyspie...

...Dopiero teraz zrozumiała, że wszystkie jego rozmowy o antybiotykach, o muzyce, o ulubionych filmach, nawet dzwonki nocnych tramwajów — że to wszystko było kłamstwem. Bo gdyby nie kłamał, mówiłby nie o tym przecież, że lubi słuchać wiejskich piosenek (jakie to piosenki? — pijackie odgłosy wesela); ci, co kochają, nie o tym chyba mówią, nie takie słowa szepcą w taką noc, której uroczystą ciszę profanują pijackie wrzaski.

Wziął wtedy Lilę za rękę i powiedział szeptem: — Chodźmy. Mam w kieszeni klucz od łódki. A wiosła schowałem na brzegu, w krzakach.

Wodę czuć było zgniłymi wodorostami. Było ciemno. Lila spojrzała na zegarek, nie miał jednak nafosforyzowanych wskazówek i nie mogła dostrzec, która godzina. Usiadła pierwsza, na rufie. Włożyła rękę do wody: była ciepła i rwąca. Jej towarzysz wiosłował, robiąc krótką pauzę po każdym wynurzeniu wiosła, uderzających z pluskiem o wodę; potem pochylił się do przodu, ustawiał wiosła prostopadle do powierzchni wody, zanurzał je miękko, płytko, jakby od niechcienia, a potem, podając się do tyłu, całą wagą ciała i siłą mięśni naciskał na wiosła. Łódka mknęła do wyspy wśród pomruku rzeki, nocnych ukrytych w ciemności szeptów i przenikliwego chłodu.

Kiedy byli już blisko wyspy, odłożył wiosła, przelazł przez ławkę i objął ją niezgrabnie.

— No, no, jazda na miejsce! — uśmiechnęła się Lila. Owładnęły nią mieszane uczucia lęku i oczekiwania. Znowu włożyła rękę do wody. Była ciepła. „Można się w niej ogrzać” — pomyślała.

Uprzytomniła sobie, że na wyspie trzeba się

będzie rozebrać i zrobić to z dala od niego, bo jest za bardzo podniecony i nie puści jej do wody. Sukienkę i koszulę rozwiesi na wierzbie. A kiedy rano będzie rozczesywać włosy, pokój napełni się chrzęstem piasku.

Wszystkie jego rozmowy o antybiotykach tak się właśnie zwykle kończyły: cichym szmerem piasku o świecie, kiedy rozczesujesz włosy i piasek spada na gazetę.

Kiedy łódka dobiła do brzegu, wyciągnął ją na piasek i zaczął ściągać z Lili sukienkę.

— Zaczekaj, wariacie, ja sama... — wyszeptwała i znikła w krzakach łożyny.

Na wysepce było ciemno i bezludnie. Siedział i czekał na nią, speszony i zły. Miał ochotę biec, podporządkowując się jakiemuś instynktowi nocy. Chciał się czołgać, łamać gałązki wierzby, ale podniósł się tylko i rozejrzał dookoła. Lili jeszcze nie było widać. Wiedział, że ta wysepka należy dziś do niego, wyłącznie do niego, aż do samego świtu. Myśl ta odurzyła go.

W tym momencie usłyszał plusk.

— Psiakrew! — zaklął i pobiegł przedzierając się przez łożynę. Potknął się i zobaczył jej sukienkę i koszulę.

— Cholera! — zaklął raz jeszcze i ze złości strącił koszulę.

Lila wyrывała się — śliska, mokra, chłodna. Piersi miała małe, jędrne.

— Zostaw... — broniła się. — Zostaw, wariacie...

Próbowała uwolnić się z jego objęć, ale on nie zwalniał uścisku. Rzucił ją na piasek. Był władcą tej wysepki i nic już nie mogło go powstrzymać.

Gdzieś zahuczał ochryple holownik. Fale ude-

rzały o brzeg nierytmicznie i hałaśliwie, potem coraz ciszej, coraz ciszej...

...Doroszenko siedziała na łóżku przy płaczącej Lili, gładząc ją po wilgotnych włosach. Wiatr ciskał w okna krople deszczu. Lila leżała na boku zwinięta w kłębek, z twarzą zasłoniętą rękami — mocnymi rękami zalatującymi mdłym zapachem mydła toaletowego i słodkawym aromatem kremu.

— Czy pani jest pewna? — spytała Doroszenko.

— Pewna.

— Bo zdarza się, że oni się myślą.

— Nie — odpowiedziała Lila, ciągle jeszcze popłakując. — Byłam u Wyłehżanina. Sprawdzał na reakcję żaby. Zanim ja kupiłam te przekłete żaby... Poszłam do sklepu zoologicznego, a tam kolejka. Wydawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie.

— No i co?

• — Pozytywna. To pewne na sto procent.

— Drań — powiedziała Doroszenko. — Czy wie o tym?

— Wie. Ale co z tego? Żałuję, że mu powiedziałam. Tylko się poniżyłam.

— Kto to taki?

— Z uniwersytetu. Mają bazę w Kaniewie, odbywają tam praktykę.

— Wiem — powiedziała Doroszenko. — Więc to taka sprawa. Nie, tego nie wolno tak zostawić. To łajdak. Trzeba iść na uniwersytet. Do egzekutywy.

— Co też pani? — przestraszyła się Lila. Wyjęła z torebki chusteczkę i zaczęła wycierać twarz. — Nigdzie nie pójdę. Za nic w świecie. Nie, nie. Nigdy. On ma żonę i dwoje dzieci. No więc jak?

— Wobec tego trzeba coś postanowić w sprawie pani. Nie za późno jeszcze? Jak tam z periodem?

— Trzeci miesiąc.

— Trzeba się spieszyć — powiedziała Doroszenko. — Jest pani jeszcze młoda, wszystko jeszcze przed panią. Jak tylko skończy się kwarantanna, zadzwonię do Szenfalda. Na pewno pomoże.

— Szenfald? A kto to?

— Mój znajomy. Docent. Ma złote ręce.

— Nie — zaprzeczyła ruchem głowy Lila. — Nie, Jewdokio Iwanowna. Nie zrobię tego. Za nic. Doroszenko wstała z łóżka Lili, podeszła do drzwi, otworzyła je, wyjrzała, potem zamknęła z powrotem i ściągając przez głowę wąską bluzkę, powiedziała:

— To pani sprawa. Tylko żeby później pani nie żałowała. Pani po prostu nic nie rozumie. Już z góry zaplanować, że dziecko nie będzie miało ojca, to przecież zbrodnia.

— W porządku — powiedziała Lila nienawistnym tonem. — Co komu do mojego życia? Pani co? Nie pani się będzie męczyć. Nie mam prawa zostawić dziecka bez ojca. A siebie bez dziecka? Co? Mam prawo? Dobrze pani radzić. U pani wszystko tak jak u ludzi. Mąż, dzieci. A co ja mam? Szef wznosi na święta toast: żeby Lila wyszła za mąż. A Lila nie może wyjść za mąż. Nie może! Nie jestem nikomu potrzebna! Lila nie jest ładna i lata już nie te. Czy teraz takie są komukolwiek potrzebne? Obecnie wychodzą za mąż dziewczęta urodzone w czterdziestym trzecim roku. A ja w czterdziestym trzecim roku, w zimie, w mroz, wozłam z daleka na sankach beczki z wodą. Sznur oblodzony, sztywny, paletko podarte... W tamtym tygodniu poszłam do teatru. Patrę, przede mną siedzi dziewczyna, lat osiemnaście — dziewiętnaście. Szyja cienka, okryta

puszkiem, włosy kasztanowate, posypane proszkiem. Złotym proszkiem. I na szyi ten proszek, i nawet na sukni. Suknia czerwona wełniana. Wyobraża pani sobie? Cała głowa obsypana złotym proszkiem... Na przerwie kupiono jej kwiaty. I gdzie tam mnie do takiej?

Doroszenko rozebrała się. Teraz, kiedy została w krótkiej niebieskiej haleczce, jakby odmłodziła, jak gdyby zrzuciła wraz z odzieżą kilka lat. Ciało było jeszcze świeże, nie zwiędłe, jędrne. Odzież krępowała jej ruchy: teraz nabrały płynności i miękkości, były niewymuszenie skromne. Doroszenko szybko schowała się pod kołdrę.

— Gdzie mi tam? — powtórzyła Lila. — Byłam zawsze samotna i samotna zostanę. I byłabym sama, nawet gdybym żyła sto i dwieście lat... Więc czego mam się spodziewać? Jakiego księcia? Był jeden taki. Ślusarz z gazowni. Wołodia. Poszliśmy razem do parku Pierwszomajowego. Wokół pięknie, gra orkiestra symfoniczna. Przepadam za tym. A on mówi: „Zostawmy to rzępolenie, chodźmy lepiej posiedzieć gdzieś na skarpie. Tam będzie lepszy ubaw”. Tak właśnie powiedział: „ubaw”. Wyobraża pani sobie. O mało się nie rozplakałam. Ten to chociaż plótł o muzyce. Ludowe pieśni, powiada, lubię, płyty z nagraniami Gigli. I jeszcze antybiotykami głowę mi zawracał. Pracuje w fabryce penicyliny.

— To on nie studiuje? — zdziwiła się Doroszenko.

— Na uniwersytecie wieczornym. I odbywają praktykę w Kaniewie. My z tobą, powiada, to przyjacielski sojusz teorii z praktyką. Bóg z nim. Myśli pani, że czuję się nieszczęśliwa? Nie, Jewdokio Iwanowna. Jestem szczęśliwa, wierzy mi pani? Szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa, że tak się

stało. I jestem mu wdzięczna. Wdzięczna, chociaż wierzyłam mu jak głupia; wierzyłam mu, kiedy zapewniał: wszystko rzucę, pójdę, dokąd tylko zechcesz, gdzie ty, tam i ja. Czy ja go do tego zmuszałam? Czy domagałam się, żeby mi mówił to wszystko? Na koniec świata... Po co? Ale jestem szczęśliwa. Nie jestem już sama. Nie sama. To najważniejsze. Chodzimy już we dwoje. Kiedy o nim pomyślę, aż mi się w głowie kręci ze szczęścia.

— Proszę się już położyć, Lilo — upominała Doroszenko. — Musi pani teraz jak najwięcej spać.

— Dobrze — powiedziała potulnie Lila. — Tylko że spać i tak nie będę. Nigdy nie przypuszczałam, że trzeba będzie spać w laboratorium. Mam u siebie w pokoju nocną lampkę. Włączę odbornik, leżę, słucham. Piękny pokój, ładnie urządzone. Tapczan, biblioteka, „Złota jesień” Lewitana. Za dużo, co prawda, sąsiadów, ale można z nimi wytrzymać, dobrze się odnoszą... A tutaj... Co robić? O śmierci myśleć?

— Niech pani da spokój z takim gadaniem — powiedziała ostro Doroszenko. — Można się tym zupełnie rozkleić. Człowiek nie ma prawa poświęcać za wiele uwagi śmierci. To poniżej ludzkiej godności.

Milczała chwilę, a potem spytała:

— Czy pani nic jeszcze nie kupiła? Dla dziecka?

— Nie — odpowiedziała Lila.

— Widziałam kiedyś bardzo ładną kołderkę. Błękitną. Z wielbłądziej sierści. Dla chłopczyka.

— A jak będzie dziewczynka?

— Proszę kupić błękitną, potem ewentualnie można wymienić. A gdzie pani będzie kąpać?

— W pokoju. W kuchni zawsze przeciąg. A w łazience trzymają kartofle. Trzeba więc będzie w pokoju.

— To nic straszego. Kiedy Ilko się urodził, mieszkaliśmy z Fedią w internacie. Wie pani, gdzie? Na górze, koło planetarium. Codziennie go kąpałam. A straszny z niego psotnik. I bardzo żywy. Bił nogami i rozbryzgiwał wodę na wszystkie strony. Mieliliśmy taką blaszaną wanienkę... Ależ psotnik z niego! — zaśmiała się.

— Mnie się blaszane nie podobają — powiedziała Lila zdejmując sweter. — Emaliowane są chyba lepsze. I ładniejsze. Takie jak u nas na korytarzu.

— Jeszcze lepsze są drewniane. Utrzymują ciepło. A jaki zapach!

— A jak moja figura? Nie znać jeszcze? — Lila obracała się na wszystkie strony, przyciskając do piersi duże białe dłonie.

— Niech się już pani kładzie. Jeszcze się pani przeziębi. Brała przecież pani prysznic. No więc jazda do łóżka! A figura normalna. Jak u baletnicy... z „Śnieżnej symfonii”. Proszę się położyć.

Przez pewien czas leżały w milczeniu. Gdzieś daleko gwizdały parowozy i dzwoniły pociągi elektryczne.

— Lubię podróżować — westchnęła Lila. — Lubię dworce. Ciekawie jest na dworcach. Zapach trocin, tytoniu, kręcą się numerowi, ludzie kupują w kioskach niepotrzebne książki. Ciekawie. Zaraz bym pojechała. Gdziekolwiek. Lubię nawet głosy dworcowych spikerów. Wszyscy z nich zawsze pokpiwają, a ja to lubię.

— Andrzej wyjechał — powiedziała Doroszenko. — W Mikołajewskie. Pojechał cały uniwersytet. Do kołchozu.

— Ciekawe, jaka prognoza na jutro.

— Nie wiadomo. Prosiłam Fedię, żeby nie wypuszczał jutro Ilka na ulicę. Ilko rozmawiał ze mną przez telefon i beczał do słuchawki.

— Może będzie słońce.

— Andrzej pisał, że w Mikołajewskim piękna pogoda.

— Tak — westchnęła znów Lila. — To jednak na południu. Zgasimy światło?

— Proszę leżeć, zgaszę sama. Chłodno tu.

Doroszenko poczłapała do kontaktu, zgasiła światło i spojrzała w okno.

— On jeszcze nie śpi. Trzeba było zmusić go, żeby wypił chociaż kefir. Nic nie jadł od rana.

— Nikt go nie będzie zmuszał — powiedziała sennie Lila. — To taki uparty człowiek... Nic mu nie będzie. Dobranoc.

Doroszenko znowu zanurzyła się w pościeli, rozkoszując się ciepłem zachowanym w fałdach kołdry. Długo nie mogła zasnąć, leżąc z szeroko otwartymi oczami. Czowała, jak ogrzewają twarz małe strumyczki łez, spływające do kącików ust.

10

Igor nie spał. Była już trzecia po północy. Machow głośno i smacznie chrapał. Igor pomyślał, że na biwaku to chrapanie byłoby słychać we wszystkich namiotach — brali na wspinaczkę lekkie trzyosobowe namioty z impregnowanej kolorowej popeliny, przepuszczające wodę i wszelkie dźwięki; wszyscy na pewno oburzaliby się i Machow mógłby nawet znaleźć się w obozowej ga-

zetce ściennej, albo też dowcipnisie z kółka amatorskiego odtworzyliby na pożegnanie jego udzięciokrotnione chrapanie, którego odgłos długo jeszcze błąkałby się nocami po górach — po tych górach, których zarys można było w czarnym mroku wyobrazić sobie z całą wyrazistością. Niebo nad obozem wyglądało wtedy jak mały placyk o nierównych krawędziach, na którym połyskiwały gwiazdy.

„Oto kto jest spokojny — pomyślał Igor, przysłuchując się chrapaniu Machowa. — Oto u kogo trzeba się uczyć hartu. Oto co znaczy wojenna szkoła. Śpi. A dlaczego ja nie mogę zasnąć? Zdarza się sen letargiczny. Popadłem w letargiczną bezsenność. Czego się obawiam? Boję się, by nie przegapić początku?”

Przebiegł w myśli objawy choroby Jossera. Choroba ta rozwija się powoli, podwyższa się temperatura, występują lekkie nudności, boli głowa, bardzo często zdarzają się zaburzenia w przełykaniu, odczuwa się wodowstręt. Objawy te przypominają wściekliznę. Potem przychodzi kolej na paraliż. A potem...

Igor próbował przełknąć ślinę, ale w ustach było sucho. Czuł, że poci się na całym ciele. Próbował jeszcze raz przełknąć ślinę, lecz mu się nie udało. Gardło było wyschnięte. W panicznym lęku strącił z siebie kołdrę, podniósł się i namacał na stole butelkę, w której pozostało trochę kefiru. Szybko podniósł butelkę do ust, kefir nie wylewał się. Dopiero gdy kilka razy potrząsnął butelką, kwaśna, chłodna ciecz popłynęła do gardła. Przełknął zachłannie kilka łyków i postawił butelkę na stole. Zaspokoiwszy pragnienie, niemal szczęśliwy, położył się z powrotem.

Machow chrapał niestrudzenie.

„Oto prawdziwy mężczyzna — pomyślał Igor. — Machow okazał się silnym człowiekiem. Zuch! Imponuje mi jego siła i przeświadczenie o swej uczciwości, imponuje jego odwaga protestowania, no bo człowiek zawsze powinien protestować przeciw... to nie ma zresztą znaczenia, przeciw czemu; człowiek nie powinien być pokorny i Bałandin nareszcie to dziś odczuł. Machow nazwał tylko rzeczy po imieniu. To wszystko. Odrzucił te wszystkie konwenanse, za którymi zwykle kryje się bezsilność i słabość. Tylko że za bardzo tłumił wszystko w sobie. Wpadnie jeszcze w hipertonię. Na zewnątrz spokojny, opanowany, a w środku — piekło. No, ale w każdym razie może on na pewno przełknąć ślinę, jeśli zechce. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Prawdziwy mężczyzna.”

Igor wstał, włożył stopy w chłodne buciki i wyszedł do przedpokoju. Było tu ciemno i zimno. W prawym rogu na ścianie jaśniały jakieś cętki. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że to cyfry na tarczy telefonicznej. Zdjął słuchawkę (zamigotało czerwone kontrolne światełko) i nakręcił numer B 4-75-60.

Długo nikt nie odpowiadał. Igor wyobraził sobie, jak Hryć Sotnykow spogląda nieprzytomnie na telefon, jak drapie się w owłosione piersi, jak złazi z łóżka i człapie po pokoju.

— Ty znowu dzwonicz, draniu? — usłyszał Igor głos kobiety. — Czy ty dasz mi wreszcie spokój? Zapamiętaj raz na zawsze: między nami wszystko skończone! Koniec! I jak jeszcze raz zadzwonisz, to zawołam milicję. Zrozumiałeś?

Słuchawka głośno stuknęła.

Igor wyszedł z przedpokoju i obmacując rękami ścianę zbliżył się do przechodniego pokoju. Minął lodówkę i zatrzymał się w małym korytarzyku,

który prowadził do pokoju zakaźnego, do gabinetu Bałandina, łazienki i toalety. Wszedł do toalety. Niewyraźne uczucie lęku, które zrodziło się jeszcze w przedpokoju, kiedy słuchał przez telefon wściekłego głosu nieznannej kobiety, wzmogło się: zrozumiał, że szedł przez korytarz tak wolno i lękliwie, obmacując ściany, wcale nie dlatego, że nie znał drogi. Nie, po prostu bał się potknąć. Było to dobrze znane, niemal mistyczne uczucie; opanowywało go zwłaszcza wówczas, gdy miał zejść do piwnicy — stąpając niepewnie bał się tylko jednego: żeby nie potknąć się o czyjeś ciało.

Zaczął nerwowo macać ścianę, szukając kontaktu. Nie zdążył jednak go znaleźć: usłyszał przeciągłe stękanie i wybiegł na korytarzyk. Jęk powtórzył się: niegłośny, chrapliwy, wibrujący śmiertelną trwogą i bólem.

„Bałandin” — pomyślał Igor, napierając z całej siły na drzwi gabinetu. Nie ustępowały. Uprzymnił sobie, że w zamku powinien tkwić klucz, zaczął więc przesuwać po ciemku ręką i omal nie krzyknął z bólu: natknął się na sterczący w drewnianej ramie odłamek szkła. Wreszcie namacał klucz. Przekręcił go w lewo, zapominając o tym, że ten typ zamka otwiera się w stronę przeciwną; potem gorączkowo przekręcił klucz dwukrotnie w prawo. Drzwi otworzyły się. Igor wpadł do gabinetu, który zalegał jakiś gniotący mrok. Potknął się o coś miękkiego. Nie zdziwił się nawet, był na to przygotowany. Z ciemności wydobył się znowu krótki, beznadziejny jęk. „Czyżby agonia?” — pomyślał z lękiem, naciskając guziczek nocnej lampki.

Bałandin leżał na wznak w przejściu między kanapą a biblioteką; tylko skurczone nieco nogi o dużych żółtych stopach i mocnych kościstych

palcach spoczywały na kanapie. Miał na sobie spodnie od piżamy i niebieską koszulkę sportową. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w Igora z napiętą uwagą i dopytliwie, bez mrugnięcia powiek. Jego płaska twarz ze spleaszczonym nosem i gęstymi brwiami przypominała dostojne, pełne niezmaconego spokoju oblicze pogańskiego bóstwa Drewlan*.

— Mikołaju Petrowiczu! — wyszeptał Igor kłękając i biorąc ciężką rękę Bałandina, żeby zbadać puls.

Serce Bałandina pracowało wolno i rytmicznie.

— Co panu jest? Czy pan mnie słyszy, Mikołaju Petrowiczu?

Bałandin leżał bez ruchu, w milczeniu wpatrując się w przestrzeń. Igor podpełznął do niego na kolanach i próbował go podnieść. Chory stęknął, przycisnął dłonie do piersi, potem chwycił obu rękami koszulkę w wycięciu i rozdarł ją. Igor raz jeszcze bezskutecznie próbował go podnieść. Ciało Bałandina było bezwładne i oblane potem.

— Zostawcie — stęknął. — To serce... Lepiej nie ruszajcie...

— Zaraz zawołam Sergiusza — powiedział Igor.

— Nie trzeba — odpowiedział z trudem Bałandin, ciężko dysząc. — Dobrze mi tu... Chłodno... Nie potrzebuję nikogo. Jego też. Za nic...

Igor chwycił Bałandina z tyłu obu rękami, naprężył się, uniósł go (nogi ze stukiem opadły na podłogę) i zwałił na kanapę. Potem uniósł jego nogi i ułożył na wezglowiu. Bałandin oddychał chrapliwie i ciągle chwycił lewą ręką za gardło, jakby zaciskał je spazmatyczny skurcz.

* Plemię słowiańskie, zamieszkujące we wczesnym średniowieczu dorzecze Horynia i Słuczy

— Mikołaju Petrowiczu! Słyszysz mnie pan? Co panu podać? Ma pan nitroglicerynę?

— Boli — poruszył się Bałandin. — Och, jak boli.

Igor podszedł do biurka, na którym leżało kilka książek, dysertacja Asi Zeldycz z dedykacją, zapalniczka-pistolet i duża fotografia z uśmiechniętymi ludźmi na tle uniwersytetu moskiewskiego.

— W szufladzie — powiedział cicho Bałandin.

Igor wyjął strzykawkę, odłamał szyjkę ampułki, nabrał płynu, naciągnął na ramieniu Bałandina skórę, wbił igłę i wstrzyknął platyfilinę. Chory przymknął oczy i obojętnie wyciągnął się na kanapie. Oddech miał spokojny, puls pięćdziesiąt cztery, miękki, rytmiczny. Igor podniósł z podłogi kołdrę i przykrył nią Bałandina. Zauważył na swojej dłoni krew.

— Może pan już odejść — powiedział po pewnym czasie Bałandin. — Czuję się lepiej.

— Nigdzie nie pójdę — odburknął Igor.

— Proszę iść. Chcę być sam.

— Niech pan nie rozmawia — powiedział Igor.

— Trzeba było zażyć walidol.

— Tak. Trzeba było.

— Tylko że nie ma ani kropli.

— A pantopon jest?

— Też nie ma.

— Niedobrze. A jeśli się powtórzy?

— Nie wytrzymam. Nie mam siły.

— Wytrzyma pan — powiedział Igor, sadowiając się na krześle.

Bałandin zdrzemnął się. Igor nie spuszczał z niego oczu. Kołdra unosiła się rytmicznie.

„Nasz zawód nie da się pogodzić z pojęciem siły. Z samej jego istoty wynika, że jesteśmy skazani na porażki, jeśli nie zawsze, to bardzo często.

Kiedy ludzie umierali w Stefanówce, rozkładaliśmy bezradnie ręce. A potem podczas sekcji patrzyliśmy z zawodową obojętnością, jak prosekator piłował pokrywę czaszki i wyjmował mózg. Decydując się na zawód lekarza już z góry zakładamy naszą bezsilność: człowiek nigdy nie stanie się nieśmiertelny. Dlatego zawsze stajemy twarzą w twarz z ludzkimi cierpieniami, w obliczu nieuniknionej porażki. A ja chcę odnosić zwycięstwa!" — myślał Igor, kuląc się od chłodu.

Bałandin drzemał. Igor sprawdził puls. W porządku. Platyfilina podziałała.

„Zwycięzać! — myślał Igor, obejmując rękami kolana. — Ten, kto chociaż raz stał na szczycie, kiedy w dole płyną chmury, wystrzępione na ostrych skałach, a jeszcze niżej orły wyglądają jak punkciki, ten, kto poznał to uczucie, kiedy w oddali wyłania się ǳwugarbny, postrzępiony szczyt Elbrusu, a jeszcze dalej faluje kolorowe morze, przy dobrej zaś widoczności — jak zapewniają alpiniści — można zobaczyć nawet turecki brzeg, ten, kto miał szczęście siedzieć na szczycie, przysłuchując się pomrukowi śnieżnych lawin, słuchając śmiechu towarzyszy wspinaczki, łoskotu wichury — ten rozumie, co to znaczy zwyciężać. Zwyciężać!"

— Dlaczego pan nie śpi? — spytał Bałandin.

— Nie mam ochoty.

— Nareszcie ból zelżał — westchnął głęboko Bałandin. — Niech się pan już kładzie.

— Posiedzę trochę. Nie chce mi się spać.

— Która godzina?

— Dwadzieścia pięć po trzeciej.

— Jak tam na dworze?

— Leje jak z cebra.

Bałandin wpatrywał się w sufit. Naciągnął kołdrę na piersi i odkrył stopy, nieruchome jak

u mumii, leżące na przełamany wałku kanapy. Igor wpatrywał się w jego spokojny profil, w potężny, wygolony kark i wydatną grdykę.

— Czy nie uważa pan — spytał nagle Igor — że spotyka się coraz więcej ludzi, którzy nauczyli się wszystko deptać: innych ludzi, ich wolę, własne przekonania. I to właśnie jest najstraszliwszą bronią dwudziestego wieku. Nie bomba atomowa.

Bałandin przewrócił się na bok, twarzą do Igora, chowając nogi pod kołdrę.

— Naiwny chłopcze — uśmiechnął się. — A kiedy ich nie było, tych ludzi, co lubią deptać?

— Proszę dać puls — powiedział Igor.

Śledząc strzałkę sekundnika liczył uderzenia.

— Siedemdziesiąt osiem.

— W porządku — skinął głową Bałandin. — Może pan iść spać. Już jakoś sobie poradzę.

— Posiedzę jeszcze trochę — odpowiedział Igor.

— Nie chce się spać, zimno jak w psiarni.

— Jutro będą już palić. Biłan obiecał. Wstawili automatyczny piecyk gazowy, ale nie działa.

— I to mnie właśnie najbardziej wścieka — Igor wyprostował nogi. — Mówi się, że era sputników. Kosmos, elektronika, atom. A my tu... przez jakąś głupią rurkę... Mam kolegów wśród fizyków. Protony, neutrony, reaktory. W trzydziestym roku życia habilitują się. Śmieją się ze mnie. Szewcy jesteście, powiadają, a nie uczeni. My nowe cząsteczki odkrywamy, powiadają, a wy nie potraficie leczyć zwykłego nieżytu!

— Niech ich pan słucho! — rozeźlił się Bałandin. — Ja ich... tych wszystkich fizyków... nie cierpię! Wiek kosmosu! Elektroniki! Mądrale! Na wsi dzieci ciągle jeszcze umierają na biegunkę... Ciągle za mało klozetów i łaźni na wsiach ukraińskich. A oni gardłują o kosmosie! Im sto razy

łatwiej. Dwieście razy. Zrobili żelazko, ganiają po nim cząsteczki. I pęcznieją z dumy. A u nas króliki w wiwarium zdychają, licho wie dlaczego. My w istocie nic nie wiemy. A tym pańskim fizykom gęba się nie zamyka... I pieniądze się sypią. Czy można więc porównywać? W sprawie tej swojej komory ganiałem po mieście z wywalonym ozorem jak wściekły pies. Walczyłem o każdy gwint, o każdą rurkę. Więc proszę się wyzbyć tego kompleksu niższości. Powinien pan być dumny. Jesteśmy najbardziej użytecznymi ludźmi na świecie. Zwłaszcza pediatri... Proszę mi podać papierosa.

— Panu nie wolno.

— Wszystko jedno, niech pan da.

Potarł nerwowo zapalną i zakrywając z przyzwyczajenia — od wiatru — ognik, zapalił papierosa.

— Zabawna jest ta moja Marynka — uśmiechnął się. — Kiedy miała dwa lata, nazywała mnie mama-wujek. Rzadko mnie widywała. Albo w terenie na delegacji, albo wieczorami w naszej bibliotece. Dopiero niedawno w Jałcie ciągle byliśmy razem.

— Jałta mi się nie podoba. Wolę Mischor. Za dużo wczasowiczów w piżamach na ulicy.

— A mnie się tam podoba. Cudowna miejscowość.

— Mischor ładniejszy.

— Ja jednak wolę Jałtę. Żona była zachwycona.

— A był pan w Wielkim Krymskim Kanionie?

— spytał Igor.

— Nie, nie byłem.

— Fantastyczne pstrągi. Bajka.

Owładnęło nim wspomnienie. Swietłana szła wtedy w bawełnianych obcisłych spodniach, uwy-

datniających jej uda, w ciemnozielonej męskiej koszuli z drobnym ekscentrycznym wzorem. Igor niósł jej rzeczy w swoim plecaku. Zeszli z połoniny do strumyka, uklękli i napili się wody. Potem zjedli śniadanie. Kamienie w potoku miały zielone brody. Rdzawe kamienne łysiny, wystające nad wodę, były rozpalone. Igor wrzucał kamyczki do strumyka. Spadające na łysiny krople natychmiast wysychały.

Ruszyli dalej. Wąwóz zwęził się tak, że jego strome ściany niemal się dotykały, jak gdyby to były olbrzymie kamienne żarna. Igorowi i Swietłanie poszczęściło się: weszli tutaj w tę jedyną bezpowrotną chwilę, kiedy nareszcie zapadło milczenie — pełne, głębokie, wilgotne milczenie starych skał, niskich zarośli i strumyka, który to krył się, ledwie widoczny, to znów wyskakiwał zniecka spod ziemi, kiedy wpadał w wyżłobione na dnie wąwozu elipsoidalne, przedziwnie zaokrąglone wanny, przeznaczone jakby dla istot o idealnie opływowych kształtach. W wannach tych kłębiła się przezroczyta woda. Zawołał Swietlanę, zamarła nad wanną w bezruchu. Poglądził jej ciepłe włosy o gorącym słodkim zapachu opuszczonej niedawno winnicy. W wodzie wisiały nieruchomo małe lekkie rybki, połyskujące srebrzystymi ciążkami. Zdało się, że mkną razem z bystrym nurtem strumienia.

— Spotkałem w Jałcie oficera służby bezpieczeństwa z mego obozu — powiedział Bałandin.

— Chory na nerki.

— Rozmawialiście?

— Nie.

...Bałandin przyglądał się witrynie zakładu fotograficznego. Marynka z Wełtą kupowały brzoskwinie. „Jak ludzie lubią się fotografować — pomy-

ślał. — I chcą być bardzo przystojni.” Przypomniał sobie, jakie stroił miny, kiedy fotografowali go w więzieniu na Łukianówce. Profil... En face... Kto następny? A tu? Kobiety o przesłodzonych, podretuszowanych twarzach, z których usunięto wszystko: pryszczyki, zmarszczki, drobne usterki nosa i fryzury, niepowtarzalny wyraz oczu, charakterystyczną fałdę wokół ust — słowem wszystko, co człowieka robi człowiekiem. „Staję się wątrobiarzem — pomyślał. — Co mnie to właściwie obchodzi?” Dzielni marynarze. „Przystojny chłopak. Żebym to ja miał taką twarz — pomyślał z zazdrością. — Ale właściwie po co? Co ja bym z nią robił? Dobrze, że Marynka podobna do Wełty. Nie daj Boże, żeby to był bokser w spódnicy.” Jeszcze jedna pretensjonalna fryzura z preclami na czole. Koszula, na której widnieje cały ogród botaniczny. Niedbale zawiązany krawat. Bluza jakby prosto z magazynu wojskowego... Co za piękność! „Jest w tym coś potwornego — pomyślał. — To już zbyt krzyczące odchylenie od normy.” Objął ją zachwyconym spojrzeniem — i wzdrygnął się: szparki przenikliwych oczu, wąskie usta, twarz pospolita jak moneta pięciokopiejkowa. I ten czub na czole — jego starannie przylizany czub. I te toporne uszy. „To on. Co on tu robi? Odpoczywa pewnie po zbożnych trudach... Przynosił regularnie swój mocz do analizy. I z taką samą regularnością przeprowadzał rewizje. Białko, pięć-sześć erytrocytów w polu widzenia.”

— I pan mu się podporządkował?

— Tak.

— On był pewnie przekonany, że tak trzeba.

— Prawdopodobnie — wzruszył ramionami Bałandin. — Nie wiem. On robił swoje, a my swoje. Najważniejsze, żeby nie mieć wątpliwości. Główny

wróg — to zwątpienie. Trzeba wiedzieć, do czego się zmierza, a wszystko inne odrzucić. Każdy powinien mieć jakiś cel. Marzenie. Może nawet niedosiężne. Nie trzeba się bać. To nawet lepiej. Tacy ludzie zwyciężają. Tylko oni. Wszyscy inni podporządkowują się im. Takich ludzi nie lubią, czasem nienawidzą nawet, ale ich poważają. Tak już jest na świecie.

— Chłodno — ziewnął Igor.

— Niech pan idzie spać — prosił Bałandin. — Już rano.

— Pójdę, — podniósł się z krzesła Igor. — Zgasić światło, czy ma się palić?

— Niech się pali. Proszę już iść. Tylko żeby pan dziewcząt nie obudził.

— Dać panu wody?

— Nie, dziękuję.

— No to idę. Spokojnego ranka.

— Dziękuję panu, Igorze. Niedobrze było. Dziękuję...

— Nie ma o czym mówić. Przestraszył mnie pan...

Igor skostniały z zimna wyszedł z gabinetu Bałandina.

Machow już spał spokojnie, słychać było ciche sapanie. Igor położył się na zimnej pościeli, podłożył ręce pod głowę, wyciągnął się, dotykając nogami zimnego nikłowanego oparcia, i zaczął się przyglądać wielkiej, ciemnej prostokątnej mapie Ukrainy, wiszącej na ścianie, którą oświetlał już szary brzask. Starał się rozpoznać zarysy lądu, zbałwanione granice morza, łatkę Krymu na płachcie Morza Czarnego. Leżał, myśląc o trawersowaniu pasma Dżugu-turluczat i o wspaniałych chłopcach ze „Spartaka”, którzy szli przodem, nie oglądając się. Popychała ich nie tylko zwykła

ambicja prześcignięcia znanych alpinistów i otrzymania małych srebrnych odznak. „Więc co? — pytał Igor. — I co popycha Bałandina? Jaka siła w nim tkwi, skąd się wzięła? I kim on jest naprawdę?”

II

Igor obudził się o wpół do dziewiątej. W czerwonym szerokim obramowaniu rozciągała się przed nim Ukraina — z różowymi i zielonymi plamami okręgów, krętymi liniami kolejowymi, szlakami drogowymi i rzeczkami, wsiami, miasteczkami oraz stolicami powiatów i okręgów. Igor przyłożył wskazujący palec do powieki i naciągnął ją: mapa utraciła kolorową płynność, jej kontury stały się wyraziste i ostre. Uświadomił sobie nagle, gdzie się znajduje. Przypomniał sobie, co stało się wczoraj rano i dziś w nocy.

Łóżko, na którym spał Machow, było puste.

Igor zauważył ze zdziwieniem, że na jego kołdrze leży jeszcze fufajka (pracownicy laboratorium wkładali je podczas mrozów, kiedy wychodzili do innych budynków).

W pokoju było duszno. Ktoś w sąsiednim pomieszczeniu ostukiwał żebra centralnego ogrzewania.

— Zbudził się — skonstatował Machow, wchodząc do pokoju. Był w spodniach i jedwabnej koszulce gimnastycznej. Wycierał ciało włóchatym ręcznikiem tak energicznie, że na ramionach pojawiły się czerwone smugi.

— Co nowego w tym domu?

— Podano do stołu. Tylko przystawka nie naj-

lepsza. Makaron. Jest kakao i po kawałku kijowskiego tortu.

— To kaput — Igor aż gwizdnął. — Jak nas tak zaczęli karmić...

Machow powiesił ręcznik na poręczy łóżka i zaczął wdziewać trykotową koszulę w paski. „Skąd on bierze te okropne koszule? — pomyślał Igor. — Chyba dostaje w prezencie.”

— Wyspałeś się? — spytał Machow.

— Gdzie tam — skrzywił się Igor. — Tu w nocy był sądny dzień.

— Co takiego?

— Szeff omal nie wykitował. Stenokardia.

— Ach tak...

Machow bez pośpiechu pozapinał koszulę na wszystkie guziczki, poprawił kołnierz i zawiązał brudny krawat. Łóżko jego było już zaścielone według wszystkich reguł wojskowego regulaminu. Rogi poduszki sterczały zadzierzyscie jak atamańska papacha.

Igor stanął boso na linoleum.

— Nie, panowie — powiedział głośno. — Łóżka nie będą słać.

— Przestań.

— Przystępujemy teraz do mycia * — deklamował Igor.

— Jesteś chudy — powiedział z zazdrością Machow. — Żresz jak słoń, a chudyś jak trzaska. A mnie nie wolno jeść żadnych potraw mącznych. Nawet z tortu musiałem zrezygnować.

— Brawo! Twardy jak krzemień. Stałowa wola. Ciebie można by w kosmos wysłać. Dojrzałeś już do tego zupełnie.

* Stały zwrot spikera prowadzącego gimnastykę radiową w rozgłośni kijowskiej

— Coś za bardzo się rozbrykałeś — spojrzał spode łba Machow. — Nie masz się z czego cieszyć.

— Byłeś kiedyś na wspinaczce? — spytał Igor. — Chociaż raz w życiu?

— Nie.

— Więc ty tego nie zrozumiesz.

— Być może.

Igor wdział wreszcie wełnianą koszulę musztardowej barwy, klepnął się po brzuchu i ziewając powiedział:

— Ciekaw jestem, co w gazetach o nas napiszą. Jak myślisz? Urodził się w skromnej chłopskiej rodzinie... Wysoko oceniono zasługi zmarłego S. O. Machowa, przyznając mu zaszczytny dyplom okręgowego DTSAAF*... Nie wiadomo tylko, jak napiszą: „po długiej i ciężkiej chorobie” czy „nagle”? I jedno, i drugie nietrafne. No bo jeśli po długiej, to wszyscy pomyślą, że rak. A jak nagle, to się rozejdzie, że w mieście grasuje epidemia zawałów. Jak napiszą „zginęli śmiercią tragiczną” — to też nieklawo: powiedzą, że gdzieś rozwaliliśmy się po pijanemu. Kłopot będą mieli z nami.

— Niech ciebie o innych głowa nie boli — powiedział Machow.

— Żebyś ty wiedział, jak ja sam siebie przeklinam.

— Za co?

— Za to, że wyjechałem z Dombaju. Proponowali mi tam pracę. Miałem być lekarzem obozu alpinistycznego. Domek, góry, szarotki, hale alpejskie, jezioro Turjel, ładne nowoczesne dziewczęta, wzmożone promieniowanie ultrafioletowe. To jest

* Odpowiednik naszej Ligii Obrony Kraju

życie! I forsa też nie taka jak tu. Pożyłby sobie człowiek sto pięćdziesiąt lat. Dureń ze mnie!

— Nie siebie trzeba przeklinać.

— Daj spokój, Machow. Obrzydła mi już ta piosenka. I bez tego można kręcka dostać.

— A co, rozczulił ciebie? — uśmiechnął się złośliwie Machow. — Ech, ty! Pleciesz, co ci ślina na język przyniesie. Alpinista... Jeleń!

— Jeleń? Dobra. To zupełnie przyzwoity zwierz. A mnie okropnie obrzydły wybitne indywidualności, rozumiesz? Ty, Dżingis-chan, Bałandin... O silnie rozwiniętych kłach. W górach jest piękniej. Czyściej... bez was.

Machow nie odpowiedział. Chodził po przekątnej, cztery i pół metra, licząc machinalnie kroki; spacerował wolno po białym pokoju z szarą boazerią w skąym świetle jesiennego poranka, zastawionym martwymi w swej bieli meblami; tylko wisząca nad ich łózkami mapa Ukrainy ożywiała pokój, wszystko inne utrzymane było w tonacji chłodnej, tak znamiennej dla gabinetów lekarskich i naukowo-doświadczalnych laboratoriów. Łóżka, a zwłaszcza nie zasłane łóżko Igora, wydawały się tu bluźnierstwem. Machow zatrzymał się i spojrział na Igora.

— W życiu nie można być Chrystusikiem. Wzięliśmy raz z Szurką Smirnowem do niewoli pewnego fryca. W czterdziestym piątym. A on podsuwa nam fotografię. Frau, Kinder. Rozczuliliśmy się. Zresztą zwycięstwo już i tak pewne. No cóż, bierz nogi za pas. Więc on do lasu, do lasu. A potem jak wygarnie stamtąd! Szurkę na śmierć. Rozumiesz teraz?

— A z czego on wygarnął? — spytał kpiąco Igor. — Z odbyticy? Czy może z palca? Bujasz!

— Z automatu, jeleniu. Tam w lesie czekał na niego jego przyjaciel.

— A teraz ty mnie posłuchaj. Wieczór wspomnień. Siedzimy na Biłalakaju. W tym roku w lecie. Prowadził nas Hilia Pohrebniak. Śnieżyca, ciemno. Myślał, że się jakoś przebijemy. Źle obliczył. Żywności już ani na lekarstwo. Ledwie zipiemy. Hilia powiada: „Bijcie mnie, chłopaki. Po mordzie. Chociaż raz w mordę. Zasłużyłem. Chociaż raz. Bo będziecie potem żałować”. Ale my milczymy. Dzień, drugi, trzeci. Trzeciego dnia były Hilii urodziny. Była z nami jedna dziewczyna, Hala Kałajdiuk. Pierwsza klasa. Wyjmuje puszkę skondensowanego mleka. „Hilia, powiada, wszystkiego najlepszego w dniu urodzin!” I cmok go. A my go za uszy. Otworzyliśmy puszkę — i w kurs... Na czwarty dzień słońce. Ruszyliśmy dalej.

— Taniutka romantyka — powiedział pogardliwie Machow.

— Jaka tam romantyka? Głupiś. Siedzimy na jednej gałęzi, rozumiesz? I dlatego nie możemy się wzajemnie potrącać. Jesteśmy, jak na wspinaczce, związani jedną liną... Musimy trzymać się razem. No, pójdę się umyć.

W korytarzu Igor spotkał Bałandina. Duża rdzawa plama nad górną kieszenią jego fartucha zdrwiła nieco Igora, szef był bowiem zawsze bardzo schludny. Bałandin zmarniał, jego twarz utraciła świeżość, włosy były zmierzwiłone, zarost gęsty jak u mężczyzn, którzy golą się codziennie rano. Bałandin spojrział na Igora sennymi, roztargnionymi oczyma, przeszedł obok niego i dopiero potem się odwrócił.

— Czy pan... nie mówił nikomu?

— O czym?

— O tej nocy.

— Nie — skłamał Igor.

— To dobrze.

Balandin lekko skinął głową, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną, a sprawę za wyczerpaną, i ciężkim krokiem poszedł do gabinetu serologicznego.

Igor chlusnął w twarz wodą o metalicznym zapachu i szybko się wytarł.

— Dzień dobry — powitał Doroszenko, która niosła z zakaźnego gabinetu statyw z próbkami. Była w fartuchu i chustce nasuniętej na czoło; wyglądała kiepsko.

— Jak pani spała? — spytał Igor.

— Sufit przecieka — westchnęła. — Może się zawalić.

— Trzeba naprawić.

— Zadzwoń zaraz do blacharza — w jej głosie i w ruchach odczuwało się zmęczenie.

— Sam naprawię. Machow mi pomoże.

— Dobrze, Igorze — ożywiła się nieco. — Spróbujcie, bardzo pana proszę. Tam wszystko już na wskroś przemokło. Tylko patrzeć, jak runie. Szeł się wtedy wścieknie.

— Dobra. Nie ma po co dzwonić. Skorzystam ze świeżego powietrza. A co pani niesie? Szczepionkę?

— Tak, szczepionkę. Nowa seria. Dzwonił Osadczy. Przez całą godzinę dyktowałam mu protokół. Podał nowy schemat. Będziemy dziś immunizować według tego nowego schematu.

— Była pani w wiwarium?

— Tak.

— Siedzą?

— Na razie siedzą.

— To nic. Wszystko musi mieć swój czas.

— Boję się, że nic z tego nie wyjdzie.

— Wyjdzie.

— Tylko niech pan będzie ostrożny. Drabina jest mokra.

Igor zawołał Machowa i przez wiwarium przedostali się na małe podwórko gospodarcze, ogrodzone wysoką drucianą siatką. W lesie pasły się tu króliki. Teraz podwórko było zagracone połamanymi klatkami i pogniecionymi pudełkami po zakupionych w Berlinie termostatach („Aparatenbau, Schultz und Ko”); walały się tu kartonowe przegródki od kurzych jaj i stary aparat Kocha, który odsłużył swoje sześćdziesiąt lat.

Igor i Machow przyciągnęli mokrą, brudną drabinę do drzwi wiodących na strych.

— Będiesz mnie ubezpieczać — powiedział Igor. — Tylko solidnie.

— Ale jak?

— Kiedy będę leciał w dół, szybko biegnij po materac.

— Nie wygłupiaj się — odpowiedział kwaśno Machow. — Brr, zimno.

Igor wdrapał się na górę i wyjąwszy skobel zanurzył się w ciemności strychu. Czuć tu było spaleniżnę. Przez małe okrągłe okienko przenikało słabe światło. Igor od razu dostrzegł dziurę, przez którą przeciekała woda. Krople deszczu bębniły o dach. Igor obejrzał dziurę, potem zaczął rozglądać się po strychowej graciarni. Uwagę jego zwróciły prostokątne ramy, leżące w najciemniejszym kącie strychu wśród drewnianych statywów. Schyliwszy się, żeby nie zawadzić głową o sterzące w belkach gwoździe, ostrożnie przedostał się do kąta. Obraz był pokryty grubą warstwą kurzu. Przyciągnął go bliżej światła i przesunął po nim ręką, która od razu stała się szara. Z myszatego tła wyłonił się świecący but. Igor stał

kurz z drugiego końca obrazu. Błysnęło złoto, pojawił się różowy policzek i — jak żywy — groźny, czarny wąs. Igor gwizdnął i postukał palcem w płótno. Nasycone olejną farbą, mocno naciągnięte na ramie, odpowiedziało zaczepnie, nieprzyjaźnie, jak gdyby to była skóra z bojowego bębna.

Wreszcie znalazł kawałek blachy.

— Machow! — krzyknął. — Wiesz, czym różni się optymista od pesymisty? A wiesz, co to takiego wykopki archeologiczne?

— Kończ już — odpowiedział Machow z niechęcią. — Bardzo zmarzłem.

Igor wyszedł na dach. Rozciągała się przed nim panorama tysiącletniego miasta, z siecią połyskujących jak chromowana stal szyn kolejowych, nądladowanych odgłosami niewidocznych jeszcze pociągów. W bezkresnej szklanej masie wody i powietrza Igor rozpoznał zarysy kościoła polskiego — nad domami sterczały dwie wieże jak dwa dobrze zatemperowane ołówki. Był w tym kościele po wojnie, jeszcze jako mały chłopak: spustoszenie, koński gnój, zetlała słoma, na chórze kamienny anioł z urodziwą, ale cierpiącą twarzą, okrągłe otwory w dachu; początkowo zdawało mu się, że to od niewypału bomby, okazało się jednak, że to ciężkie serca dzwonów, nie wiadomo przez kogo odcięte, przeszły kościół jak mściwe pogąńskie strzały.

Teraz Igor dostrzegł narciarską skocznnię na Czerepanowej Górze; wznosiła się bezsensownie nad południowym miastem o łagodnych zimach, w którym przecież nigdy nie będzie dobrych narciarzy ani łyżwiarzy. Kiedyś Igor wspiał się na trampolinę, obleciał go jednak strach przed bezkresną przestrzenią.

A tam, za grzbietem góry, za urwiskiem —

Igor znał tam każdy najmniejszy drobiazg — był Dniepr. Silny wiatr przewalał się przez dniesprzańską nizinę, chłodził i pokrywał zmarszczkami rzekę, która mknęła niepowstrzymanie wśród potężnych urwisk z żółtymi płachtami jesieni i żółtozielonymi baniastymi wieżami ławrskich cerkwi.

Igor byle jak załatał dziurę kawałkiem blachy i zszedł z drabiny. Przepuścił Machowa przodem, zamknął za sobą drzwi wiwarium, podszedł do drzwi laboratorium i zapukał.

— Proszę — usłyszał głos Lili.

— No i jak? — zapytał. — Sufit się jeszcze nie zawalił?

— Jeszcze nie.

— Teraz się już nie zawali.

— Proszę chwilę poczekać. Zaraz dam śniadanie.

Lila siedziała przy mikroskopie, oglądając preparaty mózgu. Uważana była za niezastąpioną laborantkę. Wzorowo wykonywała odczyn wiązania komplementu* z substancjami powstałymi w organizmach szczepionych zwierząt a także odczyn na zahamowanie hemaglutynacji**, świetnie sobie radziła z kulturami tkanek, żywymi komórkami, wyizolowanymi z organizmu i umieszczonymi w specjalnych naczyniach. Komórki te były potem zarażane wirusami, które wdzierając się w tkankę bezlitośnie ją niszczyły. Umiała się obchodzić z kurzymi embrionami — tymi malutkimi, białociennymi cysternami, gdzie zbierały się zapasy wirusów. Miała bardzo zręczne ręce. Nikt nie potrafił lepiej od niej pobrać krwi z serca

* Dopelniaacz — rodzaj fermentu znajdującego się w surowicy

** Łączenie się czerwonych ciałek krwi

świnki morskiej: była tu potrzebna wyjątkowa precyzja ruchów i szczególnie wyczulony dotyk. Wodząc palcem po ciepłych piersiach świnki trzeba było wyczuć bicie małego serca, znaleźć pulsującą między żebrami skórę, gdzie wbijało się igłę; jeśli trafiła w serce, wówczas pulsowała razem z nim, a strzykawka zapełniała się powoli gęstą krwią.

Mimo to między Lilą a Bałandinem dochodziło do ostrych kłótni, Lila przeciwstawiała się bowiem kategorycznie namowom, by wstąpić na medycynę lub uniwersytet, chociaż lata mijały, a ona ciągle pozostawała laborantką z pensją siedemdziesiąt pięć rubli miesięcznie: za te pieniądze trzeba było wyżywić się, ubrać, opłacić czynsz i jeszcze pójść na koncert. A włoskie pantofelki wiśniowego koloru ze srebrnym znakiem fabrycznym wewnątrz, o spiczastych noskach i stalowych obcasach, podobnych do narzędzi tortur, kosztowały czterdzieści pięć rubli...

Ale Lila powtarzała ciągle to samo: „Nie chcę. Nic nie umiem. Nie pamiętam ani jednej formuły. Nie wiem, do kogo się zwrócić”.

W laboratorium łóżka zsunięto tak, żeby było dojsie do stołu. W pokoju unosiła się woń perfum. „Za tydzień porozwieszają wszędzie damską bieliznę” — pomyślał Igor, przeżuając chleb.

Machow siedział przy swoim biurku w kancelarii, ponury jak puszczyk. Przed nim leżała sławetna teczka z napisem: „Badania własne”. Przechowywał tam protokoły posiedzeń, obszarpany tom opowiadań Maupassanta bez okładki, fotki Iriny Skobcewej i Mariny Vlady, odbitkę artykułu Osadczezo „Teoretyczne założenia likwidacji wszystkich chorób zakaźnych” z dedykacją

autora, konspekt tez przygotowanych na wszechzwiązkową konferencję w Rostowie oraz kilka wy-cinków z gazet o rozrachunku gospodarczym i eko-nomice produkcji; Machow należał bowiem do kółka zainteresowań ekonomicznych. Lekarze cho-dzili przeważnie na seminaria „O materializmie dialektycznym w biologii i medycynie”, ale Ma-chow wolał zapisać się do kółka ekonomicznego, bo jego kierownik Iziასław Jakowycz Kuzymenko dość liberalnie traktował sprawę dyscypliny zajęć.

Teczka była związana sznurkami.

Do pokoju wszedł Igor, pogwizdując jakąś me-lodię.

Machow siedział dalej nieruchomo, podpierając rękami podbródek. Za oknem wlokło się leniwie pozornie spokojne życie: przeczłapał przez kałużę stajenny w gumowych butach i welurowym ka-peluszu; ze stajni wybiegł gniady źrebak i rżąc jak oparzony podskoczył w górę; obok laborato-rium przeszły dwie preparatorki, melancholijnie potrząsając buteleczkami z baranią krwią, w któ-rych tańczyły szklane paciorki, mające utrudniać krzepnięcie krwi; przywiezione przed kilku dnia-mi worki z sianem mokły pod gołym niebem, tra-cąc miodny aromat.

„Uciec stąd — pomyślał Igor. — Uciec na ko-niec świata. O niczym nie myśleć, odejść, przeska-kując lekko przez kałużę, wdychać woń trawy, gnoju i wilgotnej ziemi.”

Machow siedział dalej, pogrążony w teczce z na-pisem „Badania własne”.

„Trzeba coś robić — myślał Igor. — Tak dalej być nie może.”

Ze stajni wyszedł rumiany brzuchacz, wetery-narz Horobejczyk, oraz tęga kobieta o czerwonej twarzy, w wybrudzonym fartuchu. Śmiali się głoś-

no, żywo gestykułując. Potem Horobejczyk klep-
nął ją poniżej pleców i rozstali się, roześmiani,
bardzo zadowoleni.

„Trzeba coś zrobić, żeby nie zwariować.”

W pobliżu budynku laboratorium stało trochę
gapiów, z ciekawością patrząc na Igora.

„Jak na własnym pogrzebie — pomyślał, odcho-
dząc do okna. — Trzeba koniecznie coś zrobić.”

— Sergiusz!

— Czego chcesz? — spytał Machow, nie odwra-
cając się.

— Chodź, pójdziemy pomóc.

— Ja nie pójdę.

— Chodźmy. Pluń na niego. Nie o niego prze-
cież chodzi.

— Nie pójdę — powtórzył Machow. — Mam
terminową pracę.

— Chodźmy, słyszysz? Im bez nas ciężko.

— Lepiej zasałbyś łóżko — odpowiedział Ma-
chow. — Stajnia, a nie laboratorium.

Igor spojrział na zegarek.

— Pozostała jeszcze równo jedna doba. Nie warto.

— Nie idź.

— Nie, Machow. Pójdę. Trzeba im pomóc.

— Szmata! — uniósł się Machow. — Gdzie twoja
ambicja? Jeleń.

— Ambicja? — spytał Igor, podchodząc blisko
do biurka, przy którym siedział Machow. — A co
to takiego? Może mi wyjaśnisz.

— Niczego nie zrozumiałeś — Machow odwrócił
wreszcie do Igora swą chłodną twarz. — Sądzisz,
że uda ci się tak całe życie przedowcipkować?
Zapędzili ciebie tu, zarazili, po mordzie ci dali...
A ty chcesz im dopomagać?

— Słuchaj, Machow — Igor zdjął z oparcia
krzesła swój fartuch z wyszytymi na lewej górnej

kieszoni literami „I. Ł.” i włożył go. — Zostało już bardzo mało czasu. Wszystkiego tysiąc czterysta czterdzieści minut. I nie pora na kłótnie. Nie chodzi przecież o Bałandina. Czort z nim. Ale jeśli mam zdechnąć, to chcę zdechnąć jak człowiek. Ja! Zrozumiałeś?

Wolno, jakby się spodziewał, że i Machow pójdzie za nim, wyszedł z pokoju.

Machow siedział nieporuszenie, z głową opartą na dłoniach, wpatrując się w tekturową teczkę, na której przed dwoma laty napisał zielonym, wyblakłym już teraz atramentem: „Badania własne”.

Bałandin i Doroszenko pracowali w gabinecie serologicznym. Bałandin przygwintowywał do ramy, na której zmontowana była pompa próżniowa WN-461-M, nowy motor elektryczny zamiast starego, który się spalił. W pokoju panował rozgardiasz: po całym gabinecie porozrzucane były różne narzędzia, na podłodze leżał niepotrzebny już stary silnik, obok „Makbeta” walały się trzy kapsułki z odkręconymi główkami.

Bałandin i Doroszenko unikali spojrzeń, tylko od czasu do czasu wymieniali niezbędne słowoszyfry, dla kogoś postronnego zupełnie niezrozumiałe. Doroszenko znaczyła fuksyną świnki przed doświadczeniem: dotykając cienkim pędzelkiem sierści, pozostawiała czerwociliowe ślady na łebkach, na wszystkich czterech łapkach, na grzbietach i brzuskach.

— Trzeba wymienić przewód — powiedział Bałandin.

— A jak motor?

— Zaraz podłączę — odpowiedział, dopasowując do klemy motoru końcówki trójżyłowego przewodu.

Bałandin włożył do pracy fartuch nie jak zawsze niebieski, który upodabniał go do majstra oddziału mechanicznego, lecz biały. Igor zauważył to ze zdziwieniem i zmarszczywszy brwi nad swymi krótkowzrocznymi, prześwietlonymi od wewnątrz, żółtymi jak u młodego szczeniaka oczami, zagadnął:

— Mam pewną myśl: w komorze umieszczamy zwierzęta razem z rozpylaczem. Trzeba będzie oczywiście zrobić nową komorę. Korpus hermetycznie zamknięty. Na zewnątrz wyprowadzi się gumowe rękawice. Prosto i bezpiecznie. Jak się to panu podoba?

— To nic nowego — warknął Bałandin. — Taką komorę zbudował już Rosebury. W pięćdziesiątym trzecim. Ta lepsza. Kapsułę przykręcisz i pracuje. Zainstalujemy sygnał awaryjny. W razie czego motory będą się wyłączać automatycznie.

— Może być — zgodził się pobłażliwie Igor.

Sam nie miał absolutnie żadnych zainteresowań technicznych i nie lubił niczego, co miało jakikolwiek, choćby luźny związek z matematyką. Wspominał często półżartem, że na medycynę pchała go pasja zaprzeczania, a nie stwierdzania: zaprzeczania matematyce. Zmartwił go bardzo stosowany ostatnio wymóg, by dysertacje medyczne zawierały opracowane dane statystyczne; w drugiej połowie dwudziestego wieku jak miecz Damoklesa zawisło nad głowami lekarzy oschłe słowo: wiarygodność. Aparat matematyczny poddawał wszystko bezwzględnej rewizji, przetwarzając w próchno najwspanialsze idee, zbudowane na sypkim gruncie wzniosłych słów (Pasteur! Koch! Miecznikow! Pawłow! Miczurin!) i niedokładnych obliczeń. Wbrew swej woli musiał jed-

nak zapisać się do koła studiów nad tą zwariowaną statystyką.

Doroszenko pracowała w milczeniu. W nocy dokuczał jej ból głowy, teraz jednak była całkowicie pochłonięta robotą: wstrzykiwała kolejnej serii świnek wirusy Jossera; odciągała na brzuchu skórę i wbijała igłę — od razu wyskakiwał w tym miejscu pokryty puszką biały bąbelek. Świnki były szczepione przed dwoma tygodniami.

Bałandin wyszedł z pokoju.

— Gdzie Sergiusz? — podniosła głowę Doroszenko.

— Pracuje.

— Co robi?

— Kończy dysertację. Chcę, powiada, umrzeć jako kandydat nauk.

— Niech pan pomoże. Proszę trzymać mocniej.

Powrócił Bałandin. „Zasłużony bokser republiki — pomyślał Igor. — Czy to możliwe, żeby on się nigdy nie zajmował boksem? Chyba cygani. Wstydzi się. Niemożliwe, żeby się nie boksował. Gębę ma wspaniałą.”

— Myślę, że trzeba zawołać Machowa — powiedziała bezosobowo Doroszenko, zamykając klatkę, w której hasały, jak tresowane koniki cyrkowe, poznaczone fuksyną świnki morskie. — Ja jestem gotowa.

— Na nikogo nie będziemy czekać.

Bałandin podszedł do dźwigni.

— Proszę śledzić urządzenia ssące. Damy sobie sami radę.

Nacisnął dźwignię. Zawarczały silniki.

Warkot motorów wyrwał Machowa z odrętwienia. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył wiele rzeczy, które w jakiś sposób przywodziły na myśl bliskość śmierci. Zobaczył dwa lekarskie łóżka

z pikowanymi materacami i cienkimi wełnianymi kołdrami, termometr w tekturowym futerale na biurku, obok w lśniącej okładce czasopismo „The Journal of American Medical Association (Igor wymawiał nonszalancko „Dzi-Ej-Em-Ej”, Machow czytał „Zurnal Amerikan Medikal Asocjacji). Pismo to miało też bezpośredni związek z jego śmiercią: był w nim zamieszczony artykuł Forresta Jossera, D. M. (Departament of Bacteriology, Tennessee University, Knoxville and National Laboratory, Oak Ridge, Tennessee), o wybuchu epidemii wywołanej nieznanym wirusem neurotropowym. Epidemia ta objęła pięć ferm, przynosząc sto procent śmiertelności. Mapa Ukrainy też miała związek ze śmiercią Machowa: można tu było odnaleźć ledwo dostrzegalne, wydrukowane najdrobniejszym krojem słowo: Stefanówka.

Szczególnie irytowało Machowa łóżko Igora. Zmięta poduszka, poskręcana kołdra, ściągnięte prześcieradło, spod którego wyzierał pasiasty materac, i leżąca na pościeli fufajka — wszystko to pozostawało w jakimś stosunku do śmierci Machowa, do żywiołowego absurdalnego przypadku, którego nie potrafił przewidzieć, chociaż — trzeba mu to przyznać — przewidywał na ogół trafnie, nawet to, że naukowym promotorem dysertacji został „ministerialny profesor” Osadczy, a nie błyskotliwy akademik Werchratski, do którego cisnęły się tłumy dysertantów. Machow miał duże doświadczenie życiowe, umiał dostrzec to, czego jeszcze nie widzieli inni. Chłubił się tym swoim „jasnowidztwem”. W wypadku Osadczego odpowiedź była łatwa: różnica wieku (Osadczy miał pięćdziesiąt pięć lat) i zdrowia (Werchratski miał w ubiegłym roku zawał) oraz inne okoliczności przesądzały sprawę.

Po chwili Machow zakrył czasopismo arkuszem czystego papieru, zamknął szufladę, termometr schował do biblioteczki, a potem zabrał się do siania łózka Igora: wygładził prześcieradło, trudniej było z kołdrą, której koperta była bardzo zmięta, powiesił w przedpokoju fufajkę.

W gabinecie serologicznym warczały motory.

12

Machow jadł obiad jako ostatni, siorbiąc wystygłą grochówkę. Po zielonkawej powierzchni pływały złote oka tłuszczu; wyławiał je ostrożnie zanurzając łyżkę. Wkrótce wszystkie oka zniknęły.

— Co na drugie? — spytał.

— Befszyk z ziemniakami i ogórkiem — odpowiedziała Lila. — A na deser kompot.

Siedziała nad wanną — dużą metalową skrzynią o grubych brzegach; w wannie, napełnionej ciepłą wodą, stały statywy z probówkami. Wszyscy byli już po obiedzie. W gabinecie preparatorskim unosiła się sucha, lekko gorzkawa woń przypalonego agaru*. Lila uważnie śledziła termometr.

Machow odsunął talerz.

— Nie chce pan więcej?

— Nie, dziękuję. Żeby tak barszcz...

— To niech pan weźmie drugie.

Dolała do wanny trochę gorącej wody. Słupek rtęci podpełznął w górę, zatrzymując się na cyfrze 38. Sporządzanie odczynu na wiązanie dopełnia-

* Wyszuszony śluz wodorostów, używany jako podłoże do hodowli bakterii

cza wymagało właśnie trzydziestu ośmiu stopni ciepła.

— A pani już jadła? — spytał Machow rzucając się na mięso.

— Nie.

— Dlaczego?

— Nic mi nie przejdzie przez gardło. Dziwię się, jak wy wszyscy możecie jeść.

Twarz jej była niezwykle blada. Jak u artystki z teatru pantomimy — wszystkie barwy wyraziste, ostre, żadnych półtonów, umownie schematyczna w kontraście kolorów twarz: czarne włosy, czarne brwi, czarne oczy, blada cera, jaskrawo ukarminowane wargi.

— Chciałam prosić, żeby mi pan poradził, co mam robić. Postanowiłam zapisać się do instytutu. Przygotowuję się, zrobiłam pewne postępy. Tylko jeszcze fizykę muszę podgonić. Ale, jak pan myśli, do jakiego instytutu?

— Medycznego. — Machow szczęknął widelcem i popatrzył zdziwiony na Lilę. — No bo gdzie?

— Za nic w świecie! Nie pójdę, choćby prosili.

— To może na biologię. Bardzo ciekawa dziedzina.

— Nie — zaprzeczyła ruchem głowy. — Właściwie to sama nie wiem, czego chcę. Marzyłam kiedyś o szkole teatralnej, a wstąpiłam do technikum felczerskiego.

— W teatralnej ciężko — powiedział Machow. — No i przede wszystkim potrzebny jest talent. „I uroda” — pomyślał, a głośno powiedział:

— Nie, proszę iść na medycynę.

— Już wiem, dokąd pójdę: na wychowanie fizyczne. Przyjmą mnie tam. Mam pierwszą kategorię w siatkówce.

(„Pierwsza kategoria w siatkówce — pomyśla-

ła. — Za trzy miesiące ledwie będę mogła chodzić, pilnując, żeby się nie pośliznąć, lękając się przepelnionych tramwajów, uważając na każdy swój ruch.”)

— Czy pan wie, jaki ja mam szybki refleks przy piłce?

Machow skończył obiad, usiadł koło wanny. W probówkach stojących w wodzie o temperaturze trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza działy się przedziwne procesy: gdyby w surowicy zaszczipionych świnek morskich pojawiły się obronne białe ciała — antyciała przeciw chorobie Jossera, połączyłyby się wówczas z białkiem noszącym frywolną nazwę „komplement”; wówczas erytrocyty, ciała napełnione czerwoną hemoglobina, pozostałyby nieszkodzone i szczepiwszy się opadłyby na dno probówki. W przeciwnym razie powinny były zginąć. Było to misterne i pomysłowe równanie z jedną niewiadomą, wymyślone przez dowcipnych Francuzów jeszcze na początku stulecia według wszelkich prawideł dramatu miłosnego: On i Ona, oszukany mężczyzna i zazdrosny kochanek. Los wszystkich bohaterów sztuki zależy od tajemniczego, wszechmocnego Wędrowca. Takim właśnie Wędrowcem była globulinowa frakcja białka, zdolna do walki z wirusami choroby Jossera.

Machow położył ręce na ciepłych ścianach wanny.

— Dla mnie piłka jest wszystkim — powiedziała Lila. — Kiedy byłam mała, bawiłam się piłką na podwórzu, odbijając ją od muru albo rzucając do góry przez nogę i łapiąc w powietrzu. Nabrałam takiej wprawy, że chwyciłam ją z zamkniętymi oczami.

— Ja chowałem się na wsi — powiedział Machow. — U nas piłek prawie nie było. To dopiero

teraz wszędzie grają w futbol. Myśmy grali w guziki.

— Sama sobie się dziwię. Zamykam oczy i mimo to wyczuwam, dokąd ona leci. Ręce same się wyciągają. Raz chłopcy postawili mnie na bramkę. Dwie cegły koło szopy. Strzelają, strzelają bez przerwy. Coraz ciemniej, piłki już nie widać, a oni ciągle strzelają a ja ciągle ją łapię. Nie widzę jej, ale łapię.

— Gratuluję — powiedział uprzejmie Machow.

Lila pochyliła się obserwując termometr. Jej ciężkie piersi dotykały lekko wanny.

— Kiepsko trzyma temperaturę. Ciągłe się nie zgadza. Trzeba dolać.

— Doleję sam — powiedział i z kolby, która stała na gazowej płytce, wylał wszystką gorącą wodę.

— Dosyć! — przeraziła się chwytając go za rękę. — Proszę dolać teraz zimnej.

Machow nigdy o Lili nie myślał. Po godzinie szesnastej przestawała dla niego istnieć. Wiedział o niej znacznie mniej niż o Lyndonie Johnsonie, o Jacku Ruby, o Leonidzie Żabotyńskim, Konradzie Adenauerze, Edith Piaf, Michale Szołochowie, generale de Gaulle czy o nieszczęsnej kasztanowłosej Jacqueline Kennedy. Leżąc wieczorami w swoim pokoju na piątym piętrze standardowego budynku na Czokołowskim osiedlu, przeglądał poranne gazety (prenumerował czasopisma „Prawda”, „Izwiestia”, „Krasnaja Zwiezda”, „Sowieckij Sport”, „Sportywna Gazieta”, „Trud”, „Medycyńska Gazieta”), popołudniówkę „Wieczirnyj Kyjiv”, „Ogoniok”, „Krokodil”, „Błoknot agitatora”, „Za rubieżom” i polski „Ekran”. Raz na tydzień, w niedzielę, chodził do kina. Stołował się w jadłodajni (na obiad barszcz, sznyceł, butelka piwa,

wieczorem pierożki z mięsem i przysmażaną cebulą). Nie myślał o Lili w dni świąteczne, kiedy cienkie ściany domu drżały od ryku radiol, a sufit trząsał się od charlestona, hopaka, czeczotki, rock and rolla, polki, cyganeczki, walca i twista. Nawet w nocy, kiedy paląc papierosa wsłuchiwał się w spóźnione odgłosy ulicy, dokonując w pamięci przeglądu kobiet, z którymi zetknął go los (nie było ich zbyt wiele, dlatego wspomnienia o nich były wyraźne i dokładne), nawet w nocy, myśląc o kobietach, nigdy nie wspomniął Lili.

Ciągle jeszcze trzymała jego dłoń.

— Zaraz doleję — powiedział, nie ruszając się z miejsca.

Miała silne ręce. Kiedy wychodziła na czwarte stanowisko, drużyna już wiedziała: krótkie podanie z trzeciego stanowiska, podskok, ścięcie — i piłka ląduje na boisku przeciwnika: punkt albo uzyskanie serwu. Miała mocną rękę: jej myślących serwów bali się wszyscy.

Lila spojrzała na Machowa i puściła rękę.

Machow nabrał do kubka wody i wrócił do wanny. Stał teraz blisko, ledwo jej dotykając. I nagle pomyślał, jakie wspaniałe i jędrne musi być jej ciało.

Latem całymi godzinami wystawał przy żelaznym ogrodzeniu na rogu Wołodymyrskiej i bułwaru Szewczenki, przyglądając się trenującym siatkarkom z Akademii Nauk. Karcił siebie, że nie może przejść obok tego ogrodzenia obojętnie, i gniewało go, że stoi razem ze staruszkami i dojrzewającymi chłopcami.

— Proszę łać ostrożnie — powiedziała Lila.

Często myślała o tym tęgim, milczącym mężczyźnie. Zjawił się w ich laboratorium trzy lata temu. Bałandin z miejsca poczuł do niego antypa-

cię, bo Machow został aspirantem Osadczego, a więc w hierarchii laboratorium był pracownikiem samodzielnym i niezależnym. Tego mu Bałandin nie mógł wybaczyć.

Bałandin stosował metodę bata i piernika; białem były jego chłoszczące wystąpienia na radzie naukowej; zamiast piernika dawał potrzebnym mu ludziom spirytus z wiwarium — najcenniejszą walutę, jaka była w obiegu na terenie instytutu naukowo-doświadczalnego. Bałandin otrzymywał doświadczalne zwierzęta ponad określoną normę, mimo to nigdy nie dawał ich na doświadczenia Machowa. Lila współczuła mu, bo znała kulisy niechęci Bałandina.

Machow miał jednak wpływowych sprzymierzeńców. Iziąsław Jakowycz Kuzymenko wierzył, że kiedyś wzejdzie gwiazda Machowa, i widział go w swych marzeniach jako dyrektora instytutu. Lila znała doskonale kulisy sprawy, pracowała bowiem w laboratorium już osiem lat. Kiedy tu przyszła po raz pierwszy, nie było jeszcze ani Bałandina, ani Doroszenko, ani Machowa, ani Łozickiego. W nocy, kiedy za ścianą płakało chore dziecko, Lila, przewracając się z boku na bok, często myślała o Machowie, mężczyźnie o powolnych ruchach, z workami pod oczyma. Ale Bałandin przydzielił do Machowa inną laborantkę — niedoświadczoną, lękliwą Marusię. Lila była ulubioną laborantką Bałandina i nie wolno jej było pracować z innymi lekarzami.

— Umie pani czytać bajki? — spytał Machow.

— Bajki?

— Tak, bajki. Wymagają tego w instytucie teatralnym. Trzeba oczywiście czytać je z właściwym wyrazem. Trochę pani poćwicz i naucz się. Ma pani wszystkie dane ku temu. Oglądałem niedaw-

no pewną sztukę. „Dwoje na huśtawce”. Aktorka była szalenie do pani podobna. Bardzo ładna.

— Ładna sztuka?

— Taka sobie. Pesymistyczna. Wiele z Remarque'a. Tylko że tam ktoś umiera na gruźlicę, a tu na chorobę żołądkową. Nieźle. Ja co prawda wolę malarstwo. Kiedy byłem w Niemczech po raz drugi, oglądałem Galerię Drezdeńską. Zna pani „Madonnę Sykstyńską”? W pałacu Zwingera. Przed pałacem łośa zalana wodą. W zimie chłopcy jeżdżą tam na łyżwach. A na pałacu złote banie; jak na naszych cerkwiach. I proszę sobie, Lilu, wyobrazić: wchodzi pani do sali, a ze ściany patrzy na panią kobieta o dużych, smutnych i łagodnych oczach. I czuje pani, że coś dziwnego dzieje się w pani duszy... I anicły... Co za twarze! Gdyby pani je mogła zobaczyć... Coś niewiarygodnego. Kiedy wychodzi się stamtąd, chciałoby się przewrócić cały świat, żeby coś takiego stworzyć... Też trochę maluję. Przeważnie karykatury. To dużo łatwiej. Nigdzie się tego nie uczyłem. A w malarstwie najważniejsze są ręce. Trzeba umieć malować przede wszystkim ręce. Reszta to głupstwo. A właśnie rąk nie umiem dotąd malować. Dlatego przerzuciłem się na karykatury. Chłopcom w wojsku podobały się.

— A muzykę pan lubi? Beniamina Gigli?

— Któż jej nie lubi... Gigli? Kto to, chyba kompozytor.

— Śpiewak. Estradowy. Włoch.

— Lubię muzykę poważną. Byłem w Lipsku. Jest tam pewien kościół... och, jak bym chciał, żeby pani tam kiedyś się znalazła... Taka muzyka, że można uwierzyć w Boga... Ta muzyka gdzieś się unosi, płynie z nią na srebrnych falach...

— Zazdroścę panu — powiedziała Lila. —
Wiele pan już w życiu widział.

— Tak, na to nie mogę narzekać — odparł
Machow.

Nieznacznie przysunął się do Lili, pewny, że
zaraz odsunie się od niego, nie poruszyła się jed-
nak; Machow stał zmieszany, opierając dłoń o jej
ramię.

— Ja prawie nigdzie dotąd nie byłam — powie-
działa Lila. — Do Kaniewa i z powrotem.

Mieszała spokojnie wodę w wannie. „Za późno
— pomyślała. — Za późno mnie dostrzegłeś. Za
późno zabraliśmy się do wytworzenia szczepionki.
Za późno zrozumiałam, że nie powinnam była
jeździć do Kaniewa. Za późno matka poszła do
rentgena. Wszystko za późno...”

Czas, potrzebny do zakończenia miłosnego dra-
matu w próbkach, dobiegał mety, jakkolwiek
nie było jeszcze wiadome, czy uczestnikiem tego
dramatu jest tajemniczy Wędrowiec — białko —
który mógłby obronić organizm od wirusów Joste-
ra. Machow zamarł, kiedy na moment Lila przy-
tuliła się mocno do niego, szybko jednak odeszła
od stołu, na którym stała wanna, i wyłączyła prąd.

— Lilo, jaki pani ma numer pantofli?

— Trzydziesty ósmy — odpowiedziała z wyraź-
nym zdziwieniem, siadając. — A po co to panu
potrzebne?

— Ot tak, po prostu zapytałem. Zdaje się, że
coś wychodzi — powiedział zaglądając do próbki,
choć nie wiadomo było, czy nastąpiła hemo-
liza erytrocytów*, bo z wierzchu nie można było
tego zobaczyć. Dopiero po wyjęciu z wody statywu

* Rozpuszczanie czerwonych ciałek krwi i przechodzenie
barwnika krwi do osocza

z próbkami można było na pewno stwierdzić, czy erytrocyty są nie uszkodzone, czy też znikły, zabarwiając roztwór na różowo; to właśnie nazywa się hemolizą.

— Lubię tę reakcję — Lila poprawiła swe lśniące czarne włosy. — To ładnie wygląda.

— Wymaga sporo zachodu.

— Ale piękne.

Szczególnie interesujący efekt wizualny dawała reakcja na drugi dzień: w tych próbkach, w których erytrocyty ocalały, roztwór stawał się kryształowo czysty, na dzień zaś, jak egzotyczny kwiat w akwarium, leżała okrągła, purpurowa, wielkości guzika, kolonia czerwonych krwinek.

— A jaka korzyść z tego piękna? Brat mówi mi zawsze: „Podchodź do wszystkiego praktycznie. Zachód słońca jest piękny? A co będzie miał z tego mój okrąg? Suchy, gorący wiatr? Albo na przykład: piękne pantofle. Ale jaki sens praktyczny? Przejdziesz się po oborze i będziesz marzyć o butach”. To mój starszy brat. Iwan Machow. Może pani słyszała o nim?

— Nie, nie słyszałam.

— Gdyby go pani była знаła... Co to za człowiek! Jaka siła! Zaszczuli!... Był człowiek i nie ma człowieka. A głośno było kiedyś o nim w całym kraju.

— Gdzie jest teraz?

— Zagnali do powiatu. Dyrektor cegielni.

— Lilu, jak tam reakcja? — spytała Doroszenko zaglądając do pokoju.

— Można wyjmować.

Doroszenko podeszła szybko do wanny i wyjęła srebrzysty statyw, z którego spływały strumyczki ciepłej wody. We wszystkich próbkach drżał przezroczysty czerwony płyn.

Doroszenko ze śtukiem postawiła statyw na stole.

— Proszę się nie martwić, Jewdokio Iwanowna — powiedziała Lila. — Spróbujemy jeszcze raz. Wanna kiepsko trzyma temperaturę.

— Spróbuj zrobić RZK* na zimno — poradził Machow.

— Jest bardziej wrażliwa.

— Doradca się znalazł — nastroszyła się Doroszenko. — Dlaczego nie przyszedłeś pomóc?

— Dusiu, zrozum — powiedział miękko Machow — nie chcę się z nikim kłócić. Tym bardziej z tobą. Po co? Ale nie chcę brać w tym udziału. To bardzo proste. Nie chcę. Tu chodzi o sprawy zasadnicze. Pracować z zepsutą komorą to przestępstwo. Chyba jasne. Nie mamy żadnego moralnego prawa do prowadzenia tej roboty. To wszystko. Jeśli ci to potrzebne, mogę zająć się odczynem. Proszę bardzo. Ale z komorą pracować nie będę.

...Kiedy wiosną 1947 roku przyszła na pierwszy wykład anatomii profesora Spirowa, usiadła obok pyzatego chłopca w wojskowej bluzie i cywilnych spodniach, wpuszczonych w chromowe buty z cholewami. Nad lewą kieszenią bluzy widniała wąska wstążeczka orderu. Chłopiec, mrugając porozumiewawczo, przedrzeźniał lektora i jego ruchy, zwłaszcza nawyk kiwania głową w takt wypowiadanych słów. Miał na imię Sergiusz. Był w szóstej grupie. Kurs ich składał się w większości z byłych żołnierzy frontowych: prości, bezpośredni, weseli chłopcy, często głodni, ale rozbrykani. Gdzie ich nie nosiło w te lata! Posyłali ich podczas wylewu Irpenia na teren zagrożony powodzią, na zwózkę

* Odczyn wiązania komplementu (dopełniacza)

drzewa z lasu, do sortowania jarzyn, owoców w hurtowniach, na żniwa. Przebywając razem w lesie, w namiotach oblepionych chmurą komarów, dowiadawali się o sobie wielu rzeczy, których przedtem nawet się nie domyślali.

Był na ich roku Sasza Tyszko, przysadzisty, sprytny chłopak wiejski o chytrym spojrzeniu i jakby zażenowanym uśmiechu na rumianej twarzy. Ojciec jego, przewodniczący kołchozu, posyłał Saszce różne wiktuały: słoninę, cebulę, kartofle, mąkę żytnią i pszenną, kaszę gryczaną, domową kiełbasę. Tyszko żarł to wszystko sam. Chłopców z czterdziestego siódmego pokoju w „akademiku” aż mdliło, kiedy słyszeli w nocy, jak Saszka zajada się po ciemku słoniną, zagryzając kiszonym ogórkiem. Wszystkie swe skarby przechowywał w dużej walizie zamkniętej stale na ciężką kłódkę.

Sergiusz Machow ćwiczył w tym czasie silną wolę. Pasjonowała go hipnoza. W jego nocnej szafce leżało kilka starych, postrzępionych książek z zamazanymi fotografiami hipnotyzerów i leciwych dam, egzaltowanych mediów. Machow wszędzie, gdziekolwiek się znajdował — w kinie, w tramwaju, na wykładach — ćwiczył swój wzrok: patrzył ludziom prosto w oczy, bez mrugnięcia, w napięciu, popadając niemal w stan ekstazy. Spojrzenia jego nie można było wytrzymać. Potem Sergiusz przeprowadził szereg udanych eksperymentów z usypianiem kolegów, zyskując dużą popularność. Ale prawdziwej sławy zażył dopiero po zorganizowaniu seansu hipnotycznego z Tyszką.

Było to w dniu, w którym Tyszko otrzymał z domu paczkę. Machow zamknął się z nim w pokoju, skąd dochodziły jakieś niegłośne, krótkie, ale władczym tonem wypowiedane zdania. Potem

Saszka Tyszko wyszedł na korytarz z obiecującym uśmiechem trzymając w rękach rozpakowaną paczkę. Sennie krążył po internacie, pukał do drzwi i rozdawał oniemiałym ze zdumienia studentom artykuły żywnościowe. Machow, skrzypiąc butami, kroczył za nim i uśmiechał się z zadowoleniem, jak pogromca. Później co prawda, kiedy Tyszko otrząsnął się z hipnozy, wybuchł skandal, który z trudem udało się załagodzić.

Po tym wydarzeniu, które było przedmiotem obrad uczelnianego komitetu komsomolu, Machow przestał zajmować się hipnozą. Ukończył medycynę, wyjechał do Niemiec jako lekarz wojskowy — i Doroszenko nie słyszała już więcej o jego eksperymentach hipnotycznych.

— Bardzo się zmieniłeś — powiedziała Doroszenko. — Chyba postarzałeś. Nie poznaję cię.

— Za to ty jesteś coraz młodsza. A człowiek im młodszy, tym bardziej naiwny.

— Co zrobić z surowicami? — wtrąciła Lila.

— Fatalnie pani pracuje, Lilo — powiedziała ostro Doroszenko. — Zamiast paplać z tym... doradcą, trzeba było uważniej śledzić reakcję. Marnujemy tylko czas. Tak pracować nie można. Za takie rzeczy dostaje się po rękach... A ty tu czego sterczysz?! — krzyknęła na Machowa. — Wycność się stąd. Nie przeszkadzaj pracować. Obejdziemy się bez ciebie. Pisz lepiej swoją dysertację.

Machow obrażony trzasnął drzwiami. Doroszenko zaczęła oglądać pod światło probówki z krwią, by się zorientować, ile w nich pozostało surowicy — bursztynowej cieczy, która spływała nad gęstą masę erytrocytów. Znowu zaczęły ją boleć piersi, przypomniały się jej łakome usta Iwasyka, jego rączki, kiedy zaspany wpierał się nimi w piersi,

cmokając i cichutko postępując z zadowolenia. A w nocy Iwasyk wyciągał przez siatkę rączkę, ściskając w piąstce palec matki; dopiero wtedy spokojnie zasypiał.

Lila wzięła statyw i wylała z probówek do zlewu czerwoną ciecz. Doroszenko ciągle jeszcze przeglądała probówki. Lila usłyszała ciężkie kroki. Obejrzała się. Do pokoju wszedł Bałandin.

— Jewdokio Iwanowna! Lilu! — zawołał. — Przyniosłem wam t a k ą nowinę!

Podszedł do Jewdokii, wziął probówkę i położył ją z powrotem do puszki od konserw.

— Dzwonił przed chwilą Biłan — powiedział. — Słyszysz pani?

— Słyszę — odpowiedziała cicho Doroszenko.

— Wydarzyło się coś niezwykłego. Słuchacie mnie czy nie? Za nic nie uwierzycie!

— Co się takiego stało? — spytała z lękiem Doroszenko.

Lila stała koło wanny, trzymając w rękach mokre probówki; chciała je umyć, bała się jednak odkręcić kran, by plusk wody nie zagłuszył słów Bałandina. Ale Bałandin mówił tym razem bardzo głośno, tak że nawet ostry strumień wody nie mógł go zagłuszyć.

13

Pierwszych dwóch dzwonekóW Welta nie słyszała. Czyściła pałta zimowe, wycie odkurzacza zagłuszało wszystko. Kiedy wreszcie wydawało jej się, że ktoś dzwoni, wyłączyła odkurzacza, wyszła do przedpokoju i otworzyła drzwi.

Stała przed nią starsza kobieta w przemokniętym zielonym płaszczu z aksamitnym kołnierzem i w szarej wełnianej chustce. Miała żywą twarz o miękkich rysach i żałośnie zaciśniętych ustach. Lustrowała gospodynię czarnymi oczyma surowo i bezceremonialnie.

— Młoda pani jeszcze — powiedziała wreszcie nieznajoma.

— Czym mogę pani służyć?

— Ja do pani — odpowiedziała, wchodząc do mieszkania tak zdecydowanie, że Wełta usunęła się, zmieszana, z przejścia. — Ja właśnie do pani — powtórzyła. — Jestem żoną Mikołaja Petrowicza Bałandina.

— Proszę bliżej — powiedziała Wełta, mocując się z zasuwą u drzwi. — Proszę się rozebrać.

— Zapomniałam dodać: była żoną. Proszę mi wybaczyć.

— Nie szkodzi. Bardzo proszę.

— Ja tylko na krótko — powiedziała. — Mam do pani sprawę. Skoro już los nas zetknął, to się poznamy. Walentyna Mikołajewna.

— Wełta.

— Imię raczej u nas nie spotykane.

— Urodziłam się na Łotwie.

— Wiem — powiedziała przybyła, rozglądając się wokoło.

Stare, ciemne, różnorodne meble. Komfort był mu zawsze obojętny. Stelaż zbity z prostych desek. Półki aż po sufit zapchane książkami. Zawsze gromadził książki. W kącie zakurzony futerał od skrzypiec. Czyżby rzucił muzykę? No tak, nie ma na to czasu. Dziecinne łóżeczko z białą siatką jak w piłkarskiej bramce. Więc mają dziecko. Duże niezgrabne biurko z porzrzuconymi papierami, protokołami doświadczeń, monografiami. Nic się

nie zmieniło. Koło przyborów do pisania — ciemnobłękitna makieta jakiegoś urzędnika. To coś nowego. I obok — wiotkie, zielone wspomnienie przeszłości, odbłaski słońca na krymskich skałach, jej młodość, kiedy — szybko konoga — uciekała przed nim, a on ją gonił... Wiotki zielony konar sięgał już sufitu — jej szybko upływająca młodość, jej samotność, mierzona centymetrami wzrostu tego drzewka: nasienie cyprysu, rzucone w szarą ziemię w wazonie, ledwie wzeszło, kiedy zabrali Mikołaja. Odblaski słońca i różowiejące na widnokręgu morze... Nie była już więcej nad morzem, ale urok tych dni, ale słoneczne refleksy na przedwieczornych skałach i fale z krągłymi jak u delfinów grzbietami prześladowały ją w samotne noce w pustym pokoju. Kiedy się dowiedziała, że powrócił, zmierzyła linijką giętkie zielone drzewko: pięćdziesiąt dziewięć centymetrów. Tak długo trwała jej samotność. Podczas ich ostatniego spotkania dała cyprys Bałandinowi.

— Słucham panią.

— Proszę się tylko nie denerwować. Przychodzę z niedobłą wiadomością.

— Mikołaj! — krzyknęła Wełta.

— Zaraził się niebezpieczną chorobą. Są teraz na kwarantannie. Nikogo do nich nie dopuszczają.

— Kiedy?

— Wczoraj. Moja przyjaciółka pracuje w instytucie. Awaria.

— Dzwonił wczoraj — powiedziała Wełta, ciężko siadając na krześle, podczas gdy gość stał ciągle przy drzwiach. — To jakieś nieporozumienie. Zapewniał mnie, że jedzie do Żytomierza. Na seminarium. On często wyjeżdża. To chyba pomyłka.

— Niestety to prawda. Tak też właśnie myślałam; Mikołaj Petrowicz chciał panią oszczędzić... Trzeba coś zrobić.

— Choroba Jossera?

— Być może. Nie wiem. Przyjaciółka mówiła mi, że jakaś sprawa wirusowa. Nie znam się na tym.

— To pewnie Josser — powiedziała Wełta. — Ostatnio prowadził właśnie nad nim badania.

— Nie wiem.

Wełta wstała, podeszła do biurka i zaczęła gorączkowo nakręcać jakiś numer.

— Zajęte — powiedziała z rozpaczą. — Tam zawsze zajęte. Łatwiej dodzwonić się do Pana Boga niż do instytutu.

Walentyna Mikołajewna objęła ją ramieniem.

— Nie trzeba dzwonić. Pojedziemy tam razem.

— Dlaczego on mi nic nie powiedział?

Walentyna Mikołajewna zaczęła delikatnie Wełtę popychać.

— Proszę się ubierać. Nie wolno nam tracić czasu. Musimy pójść do instytutu. Trzeba postawić wszystkich na nogi. Niech się pani ubiera. Może być za późno.

Wełta poczuła nagle, jak przenika ją chłód, jak gdyby stała na lodowatym wietrze. Ubierała się w pośpiechu, nie mogła trafić rękami do rękawów palta. Walentyna Mikołajewna pomogła jej, Wełta włożyła na głowę biały kapelusik-toczek, rozmyśliła się jednak, rzuciła kapelusz na stół i zarzuciła ciemną chustkę.

— Chodźmy — powiedziała.

— Zdaje się, że zabrudziłam podłogę — powiedziała Walentyna Mikołajewna.

— Głupstwo. Jutro posprzątam. Chodźmy.

Wełta zamknęła drzwi. Szybko zbiegły na dół.

— A gdzie mała? — spytała ostrożnie Walentyna Mikołajewna, kiedy znalazły się na ulicy.

— W przedszkolu.

— Oddaliście dziecko do przedszkola?

— Ja pracuję — powiedziała Wełta.

— Pracuje pani?

— W szpitalu imienia Października. Jako pielęgniarka.

„Za dwie godziny powinnam być na dyżurze — pomyślała Wełta. — Zapowiada się ciężka noc.”

— Jeśli pani chce — zaproponowała Walentyna Mikołajewna — mogę przez te dni pani pomóc. Zdaje się, że nie ma pani z kim zostawić dziecka?

— Nie, nie mam nikogo.

— Przypilnuję. Bo, widzi pani, ja nie pracuję.

— Wcale?

— Daję lekcje muzyki.

„Ach tak — pomyślała Wełta. — Przecież jest pianistką. Mówił mi o tym. Poznali się w filharmonii. Przepisywała mu nuty.”

Szły ulicą Czerwonoarmijską. Przechodniów było mało. Ludzie przemykali się pod domami. Cienie ich pełzały po spływających deszczem wystawach sklepowych. Przeszły koło sklepu z tkaninami. Wełta nawet nie spostrzegła, kiedy Walentyna Mikołajewna zaczęła opowiadać.

— ...Najgorzej było z paczkami... Przychodzisz na pocztę, a tam kolejka niewiarygodna. Po piętnaście, dwadzieścia osób. A każdą paczkę trzeba zważyć, potem obwiązać szpagatem... Stoisz, stoisz, nóg już nie czujesz. Kładłam zawsze paczkę tak, żeby nie było widać adresu. Wie pani, jak to jest, różni ludzie się przyglądają. Na poczcie też. Było dwóch do przyjmowania. Jeden bardzo miły. Intelligentny. Siwy. Wyglądał na nauczyciela. Ukończył gimnazjum. „Gdyby pani wiedziała — mówił

— ile takich paczek przeszło przez moje ręce. Pani myśli, że pani jedna?” Norma — dziesięć kilogramów. Nie zawsze uda się tak dokładnie. Czasem wyszło dziesięć i pół albo nawet jedenaście. Kiryło Matwijowicz weźmie i słowa nie powie. Pokiwa tylko głową i weźmie. A ten drugi — jak wściekły pies. Kiedy tylko spostrzegł, że trochę więcej, od razu robił się ważny. Ani grama. Najgorzej było, jak Kiryło Matwijowicz zachorował. Chorował kilka miesięcy... Norma dla Mikołaja wynosiła: dwa kilogramy słoniny, kilogram kiełbasy...

„Wiem — pomyślała Wełta. — Wiem, co ty wkładała do paczek; przez oddanych felczerów Mikołaj przekazywał mi żywność: dwa kilogramy słoniny, kilogram wędzonej kiełbasy moskiewskiej, dwa kilogramy cukru-rafinady, dwadzieścia paczek papierosów »Prima«, kilogram pieczywa, półtora kilograma kaszy gryczanej. I czasami tabliczkę czekolady.”

— Przepraszam panią — powiedziała Wełta, zatrzymując się przy kiosku. — Chwileczkę. Papierosy „Dżebeł” są? Proszę cztery paczki. Nie, nie mam drobnych.

Walentyna Mikołajewna wzięła od Wełty paczkę papierosów, obracała ją w rękach.

— Jak to gusta się zmieniają. Przed wojną palił „Kazbeki”. W czasie wojny machorkę. Po wojnie „Katusze”. W paczkach posyłałam mu „Primy”. No a teraz te...

Na placu koło stadionu grzmiała dęta orkiestra okręgu wojskowego. Lśniące trąby zmatowiały od wilgoci. Na sygnał dyrygenta chłopcy z wojskowej szkoły muzycznej uderzyli z całej siły w bębny w paradnym rytmie. Szeregi muzykantów w szarych płaszczach zastygły, poderwane starym jak krok marszowy rytmem.

I znów dopiero po pewnym czasie Wełta zorientowała się, że Walentyna Mikołajewna opowiada.

— ...najpiękniejsze. I za to mu jestem wdzięczna. To jednak były najpiękniejsze lata. Żeby go pani znała przed wojną: wysoki, barczysty, wyprostowany. Niezwykle przystojny. Pobraliśmy się w trzydziestym siódmym. Najszczęśliwszy okres. Pracowałam wtedy w filharmonii saratowskiej. Bywało, przyjdzie z instytutu na repetycję, usiądzie na sali i słucha. A potem mówi: „Nie, Walusza, to jeszcze nie Chopin. Wychodzi u ciebie jakoś za bardzo konkretnie. A musisz sobie uzmysłowić, powiada, że takich jak on wszystko dziwi na ziemi: chmury, drogi, karety, kobiety... Jak gdyby widział je pierwszy raz...” Mikołaj już wtedy męczył się nad mikrobami. Był w Saratowie taki instytut. Nazywał się właśnie tak: „Mikrob”. Mieszkaliśmy wówczas u jego rodziców. Ojciec był powszechnie znanym profesorem. Profesorem medycyny sądowej. Petro Nikodemowicz Bałandin. Tęgi mężczyzna, z brodą. Kawał chłopca. Wszyscy go się bali, a on był dobry jak dziecko. Nie mogłam zrozumieć, jak właśnie taki człowiek mógł zajmować się medycyną. Ciągle w kółko to samo: tam kogoś zamordowali, tu otruli, gdzie indziej znowu pożar. Milicja dobrze go znała, cieszył się u niej szacunkiem. A on sobie strzelał. Takie doświadczenia: postrzał z bliska, z daleka. Pisał książkę „Ekspertyza urazów postrzałowych”. Stosunki między nami były jak najlepsze. Mawiał do mnie ciągle: „Walusza, strzeż swoich palców”. W zimie bez rękawiczek by mnie nie puścił. Kiedy dawałam koncerty, przychodziła cała rodzina. Siadali w drugim rzędzie. Siostry Mikołaja z mężami, no i starzy. Wspominam to dziś jak sen. Grałam wtedy Liszta, Chopina, Rach-

maninowa. A w lecie — nad Wołgę. Rodzice mieli willę. Na wiosnę Wołga tak przybierała, że brzegów nie było widać. I te wieczory... Samowar szumi, cieniutko pogwizduje... Lubię swąd węgielków. W willi był fortepian. Petro Nikodemo-wicz prosi: „Zagraj, Walusza”. Ale ja się bronię. „Dajcie mi odpocząć”, powiadam. Wtedy on siada do fortepianu i urządza kocią muzykę. Chytrus. Wie, że tego nie wytrzymam... Najpiękniejsze moje lata... Aż trudno uwierzyć, kiedy teraz myślę o tym. Nie mam jednak żalu do Mikołaja. Przykro, co tam dużo gadać. Ale i ja nie jestem bez winy... Dzieci nie mieliśmy, a on tak pragnął dziecka... Nigdyśmy o tym nie mówili, ale rozumiałam to dobrze. Gdy zobaczy dziecko, u znajomych, na ulicy nawet, zasepi się tak, że lepiej do niego nie podchodzić. Pytam: o co chodzi? Nigdy nie powie prawdy. „Po prostu podle się czuję — powiada. — Miałem nieprzyjemności w instytucie.” Ale ja wszystko doskonale rozumiałam. Chodził ze mną do najwybitniejszych ginekologów, nic jednak nie pomogło. Dokąd to ja nie jeździłam, do jakich kurortów...

Rozwarte paszcze trąb orkiestry rzygnęły miedzianym zgiełkiem marszu: „Wciąż wyżej i wyżej, i wyżej — w podniebne z ptakami zawody...” Dźwięki drżały w wilgotnym rezonatorze miasta. Dudniły bębny, podporządkowując ciężkiemu jak uderzenia młota rytmowi — melodię: „...I w każdym śmigle dyszy — spokój naszych granic”.

— Sama jestem wszystkiemu winna — ciągnęła Walentyna Mikołajewna. — Wyłącznie sama. Gdyby nie ja, nic by mu się nie stało. Zachciało mi się wracać do Kijowa. Saratow niemiły mi już, na Wołgę patrzeć nie mogę. Wspominam Dniepr. Aż tu słyszę, że Kijów wolny. Kreszczatik, po-

wiadają, zrujnowany, Ławra rozbita. Boże mój, myślę sobie. I serce do gardła podchodzi. Wciąż tylko Kijów i Kijów. Żeby chociaż rzucić okiem, jak wygląda. Jak tylko Mikołaja zdemobilizowali, natarłam na niego ostro: jedziemy do Kijowa. Jedziemy i nie ma o czym mówić. Zgodził się. Załatwił w Moskwie przeniesienie z instytutu i wyjeżdżamy do Kijowa. Rodzice Mikołaja już wtedy nie żyli. Przyjechaliśmy do Kijowa ósmego marca. Dobrze pamiętam ten dzień. Na dworcu rozplakałam się. Dali nam mieszkanie. Mikołajowi miasto się spodobało. Czyż wiedziałam, że czeka nas takie nieszczęście...

Dźwięki orkiestry zgasły. Opodał błękitniały wątle dzwonnice kościoła. Trolejbusy, idące w kierunku Wołodymirskiego Bazaru, były przepelnione. Tylne koła piszczały, napełniając powietrze swądem rozgrzanej gумы.

„Nie pójdę do szpitala — postanowiła Wełta. — Nie zostawię z nią Marynki. Za nic w świecie.”

— ...a teraz pozostała mi szkoła Beyera. Kiedyś wykładałam w szkole muzycznej, ale rzuciłam. Nie mogę. Dzieci mnie męczą. Hałas, bieżanina. Udzielanie lekcji to znacznie spokojniejsze zajęcie. Wynajmuję pokój dziewczętom z uniwersytetu. Bardzo przyzwoite. Nie włóczą się po nocach. A wczoraj przybiega przyjaciółka. „W instytucie, powiada, popłoch. Pięć osób zarażonych. I twój Mikołaj Petrowicz, powiada, też.” Całą noc nie spałam, ciągle myślałam. Co robić? Trzeba użyć jakichś sposobów. Póki nie jest za późno. No i postanowiłam wpaść do pani. Wiedziałałam, że on nic pani nie powie. Zawsze był taki. Kiedy był ranny, to nawet nie wspomniał o tym w liście. Dowiedziałam się dopiero po wojnie... Pół dnia się za-

stanawiałam, czy pójść. Bałam się pani, tego spotkania...

— Dziękuję, że pani przyszła — powiedziała Wełta.

Koło strzelnicy, skąd pięła się w górę droga do instytutu, stał niebieski skuter. W pobliżu kręcił się chłopiec w czarnej skórzanej kurtce, stukając pięścią w deski.

„Czeka pewnie na kogoś — pomyślała Wełta. — Szczęśliwi ludzie. Każdy ma jakieś swoje sprawy. I nic na to nie poradzisz. Takie już twarde prawo życia. Jeszcze przedwczoraj z taką samą zazdrością patrzyli na mnie krewni chorych. A ja, włożywszy na głowę ten niezgrabny kapelusz, wybiegłam z oddziału, zapominając od razu o ludziach, którzy tam leżeli, i pobiegłam do teatru. Tak, to chyba jego dziewczyna spieszy. Dokąd oni pójdą w taką pogodę? A przedwczoraj wieczorem czyśmy nie byli szczęśliwi? Przenajświętsza Panienko! Gdybym wiedziała, że mu to pomoże, pomodliłabym się.”

— Dokąd? — spytał surowo wartownik w portierni.

— Do Tarana — odpowiedziała chłodno Wełta.

— Do jakiego Tarhana?

— Trzeba znać swoich pracowników — odcięła Wełta. — Nie do Tarhana, tylko do Tarana.

Ruszyły w kierunku głównego gmachu, którego fasada ozdobiona była meandrem i pseudokolumnami. Na frontonie widniały na alabastrowej owalnej ozdobnej tarczy złote cyfry: 1896.

Stary wartownik patrzył podejrzliwie za oddalającymi się kobietami.

Najpowolniejszym człowiekiem w instytucie był niewątpliwie Sergiusz Sergiejewicz Biłan. Ale Sergiusz Sergiejewicz miał przynajmniej dwie jeszcze rzadkie cechy, które odróżniały go od innych dyrektorów instytutów naukowo-doświadczalnych. Po pierwsze — nigdy nie podpisywał się pod artykułami wychodzącymi z instytutu, jeśli sam nie brał udziału w doświadczeniach; nie bardzo miał zresztą czas zajmować się nauką, dlatego miał na swoim koncie zaledwie jednaście prac, łącznie z dysertacją kandydata nauk. Po drugie — do jego gabinetu wchodził bez zameldowania każdy, kto tylko chciał. Niekiedy zbierało się u niego jednocześnie kilkanaście osób.

Wysunięty został na kierownicze stanowisko jeszcze w 1937 roku. Zaraz po ukończeniu medycyny mianowano go kierownikiem okręgowego wydziału służby zdrowia. W budynku okręgowego komitetu wykonawczego było smutno i cicho. Wiązające na drzwiach szklane tabliczki były puste. Kierownicy działów zmieniali się z taką szybkością, że nie warto było wypisywać ich nazwisk. Kilku cudem ocalonych pracowników wydziału starało się nie pokazywać nowemu kierownikowi na oczy. W ich rzucanych ukradkiem spojrzeniach można było wyczytać współczucie; w podobny sposób ludzie zdrowi patrzą na chorego na raka. Ale Biłan jak gdyby nie zauważał tych spojrzeń i z całym spokojem wyznaczył termin okręgowej konferencji pracowników służby zdrowia.

Sala Pałacu Kultury była przepełniona. Referat o stanie świadczenia lekarskich usług mieszkańcom okręgu wygłosił naczelny lekarz szpitala

okręgowego, Nikifor Stepanowicz Puszkina — gładki, okazujący* mężczyzna o bardzo jasnych brwiach i rzęsach, w czarnej rubaszce i żółtych bucikach. Potem udzielono głosu felczerce Kożynnej, szczupłej, niepokazanej kobiecie o egzaltowanej twarzy i krótko obciętych prostych włosach. „Stara panna” — pomyślał Biłan, kiedy szła na trybunę, poprawiając sterczący na niej zakiet mysiego koloru.

— Towarzysze! — smagnął Biłana jej ostry głos. — Zdemaskowaliśmy i zniszczyliśmy wrogów ludu, krwawych psów, faszystowskich łotrów, zartwardziałych bandytów i zdrajców!

Wyciągnęła chudą rękę i sala, wstrzymując oddech w piersi, śledziła ruch jej dłoni, jak gdyby w tym ruchu krył się jakiś szczególny, tajemniczy sens.

— Ale towarzysze! — kontynuowała Kożyna. — Czy oznacza to, że wykryliśmy do końca wszystkie wrogie elementy? Nie, towarzysze! Nie oznacza! Te niezwykle sprytne wyrodky naszego społeczeństwa do tego czasu tkwią jeszcze we wszystkich komórkach naszej organizacji medycznej. Przysięgając na każdym kroku, iż wierni są partii, wierni władzy radzieckiej, dopuszczają się ohydnych przestępstw! Jak długo jeszcze, towarzysze, będziemy tak krótkowzroczni?! Trzeba uważniej przyglądać się otaczającym nas ludziom. Oto na przykład ordynator naszego oddziału, doktor Szarkowski...

Kożyna sięgnęła po karafkę i szklanekę. Słychać było bulgot nalewanej wody. Ktoś westchnął na

* Właściwość akcentu wołyńskiego, nie uwzględniającego przekształcenia się samogłoski „o” w „a” przy wymawianiu sylab nie akcentowanych

sali. Ludzie zaczęli się rozglądać. Zatrzeszczały krzesła. Kożyna jednym haustem wypła wodę.

— Na razie nie mogę nic konkretnego powiedzieć o szkodliwej działalności doktora Szarkowskiego. Faktów nie mogę jeszcze dostarczyć. Ale spójrzcie, towarzysze, na jego twarz. Na tej twarzy zastygł grymas niezadowolenia. Z czego jest niezadowolony doktor Szarkowski? Dlaczego pozwala on sobie na złośliwe malkontenctwo w sprawie pewnych usterek w zaopatrywaniu naszego szpitala w leki? Kto mu dał takie prawo? Kto stoi za plecami doktora Szarkowskiego? Dlaczego nie zorganizowano dotąd w naszym wydziale współzawodnictwa pracy i ruchu stachanowskiego wśród sanitariuszek? Pytanie to kieruję personalnie do was, towarzyszu Biłan.

Bezpośrednio po niej zabrał głos Biłan. Widział przed sobą w pełnym napięcia oczekiwaniu tłum ludzi, którzy zapomnieli, że stoi przed nimi człowiek, który nie dokonał w życiu żadnej operacji wyrostka robaczkowego, żadnej punkcji opłucnej ani odmy płuc, który nie zoperował ani jednego migdałka i nie napisał żadnego raportu o stanie sanitarnym stołówki.

— Chcę złożyć krótkie oświadczenie — powiedział głośno Biłan, nie wiedząc, co ma zrobić z rękami: oprzeć je o trybunę czy schować za plecy. — To dotyczy was, towarzyszeko Kożyna — zawołał za nią, kiedy schodziła z trybuny. — Otóż chcę podać do wiadomości wszystkich tu obecnych, że Kożyna jest notoryczną prostytutką.

Sala zamarła od niespodzianki.

— Naprawdę — ciągnął z uporem Biłan. — I nie patrzcie tak na mnie, towarzyszeko Kożyna. Jesteście prostytutką. Faktów, co prawda, nie

mogę dostarczyć. Ale spójrzcie, towarzysze, na jej oczy. Na jej chód. I przekonacie się...

Ludzie tarzali się ze śmiechu. Było w tym rechoście coś chorobliwego, histerycznego. Biłan też zresztą nie wytrzymał i roześmiał się.

— No, dość już, towarzysze — powiedział. — Pożartowaliśmy, ale dość już tego. A wam, towarzyszeko Kożyna, czas już wiedzieć, do czego doprowadzają podskórne zastrzyki calcium chloratum. Wstyd nie znać takich rzeczy. Jeszcze jedna taka nekroza i zabierzemy wam dyplom. Chcę wam jedno powiedzieć, towarzysze: dość już donosów! Trzeba zabrać się do pracy. Szpitale są zapuszczone — to nie placówki medyczne, lecz szopy. Dość tego! — uderzył pięścią w trybunę.

Po zebraniu podszedł do Biłana mały łysy człowiek ze smutnymi złocistopiwymi oczami i uściśnął mu rękę.

— Skąd się pan dowiedział o tym calcium chloratum? — spytał.

— Powiedzieli mi.

— A o tym, że Kożyna... no... jak by to powiedzieć... jest dla wszystkich... dostępna... to też?

— Naprawdę? — zdziwił się Biłan. — A ja myślałem, że to stara panna. Taki numer!

— Dziękuję — powiedział Szarkowski, którego oczy zaszyły jakby lśniąca mgłą. — Nigdy tego nie zapomnę.

— A wygląda pan rzeczywiście... Co za kłopoty?

— Żona mi choruje — zamrugał oczyma Szarkowski.

— W czym możemy panu pomóc?

— W niczym — odpowiedział. — Dziękuję za dobre słowo.

I odszedł.

Pod koniec trzydziestego dziewiątego roku wysłano Biłana na Zachodnią Ukrainę na stanowisko dyrektora instytutu naukowo-doświadczalnego, którym przez wiele lat kierował światowej sławy uczony Adam Bryll, twórca najnowszej teorii immunitetu. Instytut mieścił się w jasnoszarym, nowoczesnym, żelbetonowym gmachu na jednej z arystokratycznych ulic miasta, wśród obrosłych bluszczem pałacyków, ogrodzonych ładnymi metalowymi siatkami. W instytucie przyjęto Biłana z pewnym uprzedzeniem. W tamtych latach, gdzie trzeba i nie trzeba zwykle się wtrącać nieokreślone, ale i wieloznaczne: „Aha...” Pusty, zdawałoby się, dźwięk, nic więcej. Biłan chodził po laboratoriach. Polacy byli poprawni, milczący. Okazało się, że nikt z nich nie zna ani rosyjskiego, ani ukraińskiego. Adam Bryll nie zjawiał się w instytucie, chociaż mieszkał w pobliżu. Wówczas Biłan postarał się o słownik polsko-rosyjski i usiadł, żeby napisać przemówienie. Męczył się nad nim przez cały tydzień. Potem nauczył się go na pamięć. Konsultantem w zakresie fonetyki polskiej była jego gospodyni, drobna, schludna kobieta, pani Stasia Dyjeczynska, która paliła papierosa za papierosem. Z nie ukrywaniem przerażeniem słuchała zniekształconych słów, które wymawiał ten uparty, łysiejący mężczyzna ze śladami po ospie na twarzy. Machając zapalonym papierosem, z którego popiół sypał się na podłogę, pani Stasia uczyła Biłana trudnej wymowy tych wszystkich „psze”, „ę”, „ą”, „el” i „ł” zbliżonego do „w”. Jako tako uporawszy się z tymi trudnościami, Biłan włożył świeżo odprasowane czarne ubranie („garnitur” — jak mówiła pani Stasia), kupione na bazarze wąskie lakierki — i tak ubrany zjawił się u Adama Brylla.

Uczony siedział w swoim gabinecie w jedwabnym ciemnowiśniowym szlafroku. Szczupły brunet o starannie zaczesanej fryzurze, rybich ustach, człowiek zawsze czynny, patrzył na Biłana ze zdziwieniem.

Gdy tylko wyszła pokojówka, wyglądająca na zakonnicę, o bladej, nieruchomej, surowej twarzy — Biłan wygłosił swe pierwsze w życiu „międzynarodowe” przemówienie.

— Panie Adam Bryll. Kilka dni temu otrzymał ja list od mego druha profesora Netrebki z Kijowa. On powiadamia mnie, że nowe fakty, otrzymane przez niego niedawno, w całej pełni zaprzeczają pana serologicznej teorii dziedziczności.

Bryll otworzył usta, ale nic nie powiedział.

— Sądzę, że pan, jako naukowy kierownik naszego instytutu, da na to wyczerpującą odpowiedź i przedłoży przekonujące dowody słuszności pańskiej teorii.

Biłana gardło już bolało od wymawiania tylu trudnych słów.

— Mogę panu zagwarantować w tym względzie — mówił dalej — pełne poparcie władz radzieckich. Co do mnie, mogę pana zapewnić, że będę się czuł szczęśliwy, jeśli będę mógł pracować pod kierownictwem tak znakomitego uczonego jak pan. Profesor Netrebko ma wielką ochotę odwiedzić nasz instytut, nie mogę go jednak zaprosić, nie wiedząc, jak pan się ostatecznie do tego odniesie...

Tu Biłan ostatecznie zaplątał się w polskich końcówkach i umilkł, przeklinając siebie w duchu, że zawałił sprawę międzynarodowej wagi.

Ale Bryll podniósł się powoli z fotela, zbliżył się cicho po dywanie do Biłana i mocno uściśnął mu dłoń.

— Miło mi pana poznać — powiedział po rosyjsku z ledwie wyczuwalnym obcym akcentem. — Otrzymuję codziennie informacje o pańskiej działalności w instytucie. I muszę powiedzieć, że jak na radzieckiego komisarza politycznego zachowuje się pan dziwnie. Nie tak sobie wyobrażałem pańską działalność.

— A jak? — uśmiechnął się Biłan.

— Do tego czasu nie wygłosił pan w instytucie żadnej prelekcji o sytuacji międzynarodowej. Nie było też dotąd żadnej... yy... jak wy to tam nazywacie... pogadanki politycznej...

— Informacji politycznej — poprawił Biłan.

— Właśnie. I czytał pan moją monografię. Wiem na pewno. Poza tym niektórzy moi współpracownicy czują, że nadają się bardzo na ofiary waszego NKWD. Pan jednak pozostawił ich w spokoju. Wszystko to zbiło mnie z tropu. Jeśli bolszewicy mają w dostatecznej ilości takich ludzi jak pan, szybko opanują Europę.

— Co mam odpowiedzieć profesorowi Netrebce? — spytał Biłan.

— Będę jutro w instytucie. Omówimy z panem wszystkie sprawy.

— Więc do widzenia — powiedział Biłan.

— Jeszcze chwileczkę.

Biłan zauważył, że kiść dłoni Brylla była wydłużona, z żółtymi stwardnieniami na opuszkach palców. „Uprawia wioślarstwo albo stolarkę” — pomyślał.

Bryll podszedł do ciężkiej hebanowej szafy bibliotecznej, wyjął z niej butelkę złocistego likieru i dwa kieliszki.

— Za dyrektora instytutu — powiedział. — Wszystkiego dobrego.

— Za naukowego kierownika instytutu — odpowiedział Biłan.

— Proszę mi teraz opowiedzieć o tym liście Netrebki — zwrócił się Bryll do swego gościa po wypiciu likieru.

— Jutro — odpowiedział Biłan. — Jutro omówimy wszystkie problemy.

I znowu przez cały rok Biłan mruczał swoje „aha”, przypatrywał się, zwlekał, nic nie robił, by przeciwstawić się antyniemieckim nastrojom wśród współpracowników, chociaż porozumienie z Niemcami wydawało się wówczas samo przez się zrozumiałe. Ale będąc z natury człowiekiem powolnym, o czym sam często przekonywał się z goryczą w chwilach osamotnienia, Biłan milczał, słuchając, jak Polacy, którzy przestali się go bać, wygadują na Wielkie Niemieckie Imperium, jak współczują Francji i Anglii.

W ciągu roku instytut wyprodukował trzysta litrów szczepionki przeciw durowi plamistemu według metody profesora Brylla. Biłana nagrodzili „Medalem pracy”, Adama Brylla — wyjazdem na wystawę rolniczą do Moskwy. Biłan nie musiał też już więcej posługiwać się słownikiem rosyjsko-polskim: okazało się, że większość współpracowników rozmawia albo po rosyjsku (ci, którzy ukończyli gimnazjum rosyjskie w Królestwie Polskim), albo po ukraińsku (ci, którzy żyli wśród galicyjskich chłopów).

Wspominając te odległe czasy Biłan doznaje zawsze tego samego uczucia, nie poddającego się żadnym rozumowym kryteriom: uczucia goryczy. Gorycz: rozpalony początek tego lata, kiedy zniecka ziemia wstrząsnęły wybuchy. Gorycz: oto ludzie, których już nigdy więcej nie ujrzy. Gorycz: wyrwa na jezdni ulicy Akademickiej i roz-

bita witryna restauracji „George”. Gorycz: pełne tragizmu oblicza aniołów nad brązowym Mickiewiczem. Gorycz — biały motylek trzepoce na dnie leju po bombie.

Biłan okazał się bardzo kiepskim dyrektorem: z nakazem ewakuacji podjechał samochodem do willi profesora Brylla. Drzwi otworzyła mu wyniosła blondynka w czarnych pończoszkiach, w narzuconym niedbale na czarną halkę peniuarze. Biłan usiłował nie patrzeć na różowy ciepły rovek między piersiami. Kobieta nie wpuściła go nawet do przedpokoju.

— Adam nie pojedzie, proszę pana — powiedziała po polsku, umacniając swe słowa zaprzeczającym ruchem głowy. — Nie pojedzie. Nie boimy się Niemców. My zostaniemy. Tak, tak. To nas nie obchodzi. Nie boimy się — trzasnęła drzwiami.

Na drugi dzień po wkroczeniu Niemców Adam Bryll został rozstrzelany przez żołnierzy batalionu „Nachtigall”.

Podczas wojny Biłana mianowano dyrektorem instytutu w Czelabińsku. Instytut produkował szczepionkę przeciwtyfusową Brylla. Dzięki tej szczepionce została natychmiast opanowana epidemia tyfusu plamistego, panująca w szeregach wojsk frontu stalingradzkiego. Biłan otrzymał order Czerwonego Sztandaru Pracy.

W 1944 roku powrócił na Ukrainę.

Ale w ciągu tych lat charakter Biłana nic się nie zmienił: pozostał tym samym powolnym, opieśzonym człowiekiem, który nie potrafi wygłaszać przemówień, podejmować stanowczych decyzji, człowiekiem, który na wszystkie palące aktualne problemy miał tylko swoje „aha” lub „zobaczymy”.

Dziwny to był człowiek; przecież na zastanawianie się nie było czasu. Z niesamowitą siłą zagrzmiały pierwsze salwy batalii w imię czystości nauki. Nadszedł kres podstępnych kno-
wań mendelistów-morganistów*, którzy osiodłali
wprawdzie jakąś tam muszkę drozofilę, ale wiado-
mo, że mleka z niej nie nadoisz. Szybkiego
i surowego sądu dokonano też nad zwolennikami
metafizycznych teorii O. O. Bohomolca. Śpiewano
natomiast hosanna największemu odkryciu, które
godnie wieńczyło epokę — badaniom lekarza we-
terynarii Boszjana, który ostatecznie zapędził w
kozi róg Pasteura, Kocha i całą zgniłą naukę świa-
tową.

Ale Biłan okazał się słabym człowiekiem. Po-
pełnił w tamtych latach pomyłkę. Nie potrafił
wykazać bezwzględnej pryncypialności, w imię
czystości nauki użyć całej mocy dyrektorskiej
władzy. A było z kim walczyć, oj, było!

Byli w instytucie zaciekli mendeliści-morgani-
ści, zwolennicy mistycznego w roku 1948, bezcie-
lesnego gena, którego nukleinowe kontury rysow-
wały się z taką precyzją na ekranach mikrosko-
pów elektronowych w roku 1953. Byli też uczni-
wie dawnego ukraińskiego prezesa Akademii
Nauk, nie żyjącego już Ołeksandra Ołeksandro-
wicza Bohomolca, którzy święcie wierzyli w zbaw-
czą siłę jego szczepionki ACS, chociaż dzień siód-
my lipca 1952 roku ostatecznie rozświetlił mroki;
na fizjologicznym Olimpie obwieszczono gromko,
że centralny system nerwowy jest jedynym ośrod-
kiem wszystkich obronnych właściwości organiz-
mu i że tylko pies z dziurą w żołądku może god-

* Zwolennicy teorii dziedziczności J. G. Mendla i T. H. Morgana

nie reprezentować najwyższy poziom nauki o człowieku.

Na to olśnienie ślepi jednak byli badacze japońscy i amerykańscy, zajmujący się problemami wynikającymi z użycia broni jądrowej, którzy zaproponowali wykorzystanie surowicy Ołeksandra Bohomolca jako niezwykle skutecznego leku w chorobie popromiennej. A czyż nie było w instytucie sceptyków, którzy złośliwie i — jak się miało okazać — słusznie szeptali, że wszystkie te sztuczki Boszjana to jedynie bluff sprytnego aferyzisty?

I oto zamiast działać Biłan nabrał wody w usta, pokaszliwał, coś tam bąkał, ciągle mędrkował, medytował, kwękał, starał się możliwie najrzadziej chodzić do ministerstwa, żeby nie włączyć w oczy Iwanowi Iwanowiczowi Osadczemu i unikać kolejnych kampanii. Nie, nie było w nim orlej, uskrzydlającej siły niektórych gromowładców, co wysoko pofrunęli w te lata... A Sergiusz Sergiejewicz, małomówny i niepokaźny, wlaźł po uszy w nudną prozę spraw trzeciorzędnej wagi: to gromadził cegłę na budowę domu dla pracowników, to postanowił zaprowadzić w wiwarium instytutu hodowlę królików, żeby nie płacić za nie brzęczącą monetą, to znów kupował siano dla koni; Bóg jeden tylko wie, ile było w tym mądrości.

Taki był naprawdę Sergiusz Sergiejewicz Biłan, urodzony w 1904 roku, syn najmity, absolwent uniwersytetu robotniczego, charkowskiego instytutu medycznego, od 1920 roku komsomolec, członek partii od 1924; brał udział w walce z kułactwem, był przewodniczącym pierwszego na Charkowszczyźnie kołchozu. I wszyscy w instytucie wiedzieli, że lubi wyjeżdżać w naukowej delegacji

do powiatu tokmackiego w zaporoskim okręgu, bo nie było dla nikogo tajemnicą, że tam mieszka- ją jego krewni: bliscy i dalsi kuzyni, siostrzeńcy, i podobno żyje jeszcze nawet dziewięćdziesięcio- letnia siostra jego matki.

Dziwnie zachował się Biłan również w sprawie Bałandina. W dniu aresztowania Bałandina czyjś oschły głos zawiadomił Biłana, że ma zwołać ogólne zebranie w celu podniesienia wydajności pracy w instytucie. Biłan wyszedł z gabinetu na ośnieżone podwórze i wyczyściwszy starannie mio- tełką obuwie ze śniegu, wszedł do laboratorium. Było tam pusto. Lekarze poszli do biblioteki, a laboranci, którzy sztucznie zakażali wszy, sie- dzieli w izolatkach. Biłan wszedł do gabinetu i otworzywszy szufladę biurka wyjął z niej grubą teczkę, w której Bałandin przechowywał ukoń- czoną już pracę porównawczą na temat działania różnych szczepionek przeciw durowi plamistemu, w tym również szczepionki Brylla. Powróciwszy do siebie Biłan zamknął teczkę w dyrektorskim sej- fie, odsapnął trochę i zarządził telefonicznie zebra- nie w auli wszystkich pracowników instytutu.

W dziewięć lat później, kiedy Bałandin, wy- chudły, ale nie postarzały, siedział w gabinecie Biłana, niechętnie i skąpo opowiadając o swojej poniewierce, Sergiusz Sergiejewicz, mruknąwszy swoje „aha”, wstał i otworzył sejf... W jesieni 1956 roku Bałandin obronił dysertację.

...Biłan siedział w nie opalonym gabinecie pod dużym portretem Lenina. Na biurku stał tylko kalendarz i marmurowa płytką z przyborami do pisania, przypominająca płytę grobową, pod szkłem zaś widniał stary prospekt czasopisma „Geografia medyczna”. Przed Biłanem leżał jesz-

cze od wczoraj pomazany arkusz papieru, upstrzony fioletowymi piątkami różnego kształtu.

Spojrzał w okno. W kierunku głównego gmachu szły przez podwórze dwie nieznanym kobietom. Odszedł od okna i narysował jeszcze jedną piątkę o surowych, ostro załamujących się liniach.

— Żona Bałandina? — zapytał ze zdziwieniem, patrząc na młodą, zmarzniętą, nieładną kobietę o jasnych, prawie niewidocznych brwiach. — Bardzo mi przyjemnie. — A kim pani jest?

— Jego krewną — odpowiedziała Walentyna Mikołajewna.

Dopiero teraz Biłan przypomniał sobie, jak na Sylwestra 1946 roku tańczył z Walentyną walca „Na stokach Mandżurii” i że Bałandin przez cały czas siedział, bo nie umiał tańczyć.

— Proszę siadać — zaproponował Biłan.

— Co wy tu, towarzyszu dyrektorze, wyprawiacie? — zaatakowała go z miejsca Walentyna Mikołajewna. — Dlaczego nie zawiadomiliście rodzin? Co tu się stało?

„Mówiła wtedy o Skriabinie — przypomniał sobie Biłan. — Nie wiedziałem, o jakiego jej Skriabina chodzi. Myślałem, że o helmintologa. Przez cały wieczór opowiadała o tym Skriabinie. Jedliśmy schab i sałatkę.”

— Wydarzyła się mała awaria — odpowiedział Biłan. — Nie ma żadnych powodów do paniki. Żeby uniknąć możliwych nieporozumień, Mikołaj Petrowicz zarządził kwarantannę. Wszystkiego trzy dni. Nie chciał pani niepokoić. Myśmy chcieli zawiadomić, ale on kategorycznie się sprzeciwił..

— Choroba Jossera?

— Tak.

Wełta postawiła dwie paczki papierosów i przykryła trzecią: wyszedł dom.

— No i co dalej?

— Myślę, że wszystko będzie dobrze. Mam nadzieję... Przekazaliśmy im właśnie bardzo ciekawy preparat...

— Antybiotyki? — spytała Wełta.

Zaczepiła ręką o domek z papierosów; zawalił się, a paczki upadły na podłogę. Biłan wstał z za biurka, przykląkł i podniósł paczki.

— Przepraszam — powiedziała Wełta. — Dziękuję.

„I co on w niej takiego widział?” — pomyślała Walentyna Mikołajewna, przypatrując się bezradnej twarzy Wełty.

— Nie — odpowiedział Biłan na pytanie Wełty. — To nie antybiotyki.

— Szczepionka?

— Nie, i nie szczepionka. Jest u nas tak zwany ósmy problem. Zajmuje się nim taki sobie Ordyncew, osobnik niezwykle utalentowany. Ma zwańowane pomysły, uzyskał teraz cudowny preparat. Jak by to paniom wyjaśnić... Pani kim jest z zawodu?

— Pielęgniarką.

— A pani? — zwrócił się do Walentyny Mikołajewny.

— Gospodyni domowa.

— To nie jest ani antybiotyki, ani szczepionka. Jak paniom zapewne wiadomo, antybiotyki nie działają przy chorobach wirusowych. A odpowiedniej szczepionki jeszcze nie wyprodukowano. Właśnie nad tym pracowali. Ale gdyby nawet udało im się ją uzyskać, i tak by im nie pomogła. Potrzebny jest przecież pewien okres, żeby szczepionka zaczęła działać. Poza tym szczepionkę trzeba zastosować przed zarażeniem, a nie po...

— Rozumiem — powiedziała Wełta.

— No więc tak. Preparat, jaki im przekazaliśmy, w zasadniczy sposób różni się i od antybiotyków, i od szczepionki. Zawsze jest w pewnych ilościach w organizmie, przeszkadzając rozmnażaniu się wirusów. Wszystko będzie dobrze. Jestem pewny. Czują się świetnie, proszę podejść do laboratorium, same panie zobaczą. Nie trzeba się tym zbytnio przejmować... Na razie nie ma powodu do niepokoju. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Przychodzą tu do mnie całe delegacje. Przed chwilą byli komsomolcy. Ofiarowują krew albo skórę. Z trudem ich przekonałem, że nie potrzeba.

— Jak się nazywa ten preparat? — spytała Wełta.

— To preparat dotychczas zupełnie nieznan. Interferon — odpowiedział Biłan, rysując na papierze jeszcze jedną piątkę, podobną do łacińskiej litery S.

15

W 1937 roku w Wielkiej Brytanii wydarzyła się rzecz niezwykła, która zresztą niemal zupełnie uszła uwadze szerokiej opinii publicznej. Nie było w tym nic dziwnego: pozostało jeszcze osiem lat do dnia, w którym grupa fizyków dała ludzkości złowieszczą lekcję, zmuszając od tej pory do uważniejszego śledzenia doniesień naukowych. Ale w gorącym roku 1937 czytelników gazet interesowały inne sprawy.

W tym czasie wysłano do Niemiec zwłoki dwudziestu dwóch niemieckich pilotów, straconych

w Hiszpanii, kremacja zwłok odbyła się z wojskowymi honorami w Delmenhorst i Bremerhaven; opinia światowa zaintrygowana była zmianami personalnymi w armii japońskiej, w wyniku których szef sztabu armii kwantuńskiej, Itahaki, bożyszcze młodych oficerów, został przeniesiony do głuchoj mieściny Hiroszimy;

radzieccy skrzypkowie Dawid Ojstrach, Liza Gilels, Busia Holdsztejn, Maryna Kozołupowa i Misza Fichtenholz podbili Europę swą natchnioną grą;

z rozkazu Hitlera aresztowano w Monachium dwustu wyższych oficerów SS;

w Stanach Zjednoczonych został zbudowany największy na świecie bombowiec czteromotorowy typu „Wasp”, udoskonalony wariant bombowca typu U-17, znanego pod nazwą „latającej fortecy”.

W tym samym czasie H. W. Findley i F. O. MacCallum z Anglii opisali niezwykle zjawisko, które trudno było wyjaśnić na podstawie różnych teorii immunitetu: małpy, zarażone wirusem febry z doliny Ryftu, stały się odporne na zarażenie żółtą febrą. Uczeni, którzy odkryli to zjawisko, wprowadzili do codziennego języka nauki nowy termin: interferencja wirusowa. Okazało się, że jeśli wewnątrz komórki znajduje się już wirus, wówczas wirus innej choroby nie może przeniknąć do tej komórki. Ta właśnie blokada otrzymała nazwę interferencji.

W 1943 roku Werner i Gertruda Henle, którzy pracowali w dziecięcym szpitalu w Filadelfii, jeszcze bardziej zadziwili uczonych wirusologów: udowodnili twierdzenie, że nawet nieżywe wirusy, wprowadzone do komórki, przeciwstawiają się agresji innych żywych wirusów patogennych. Za-

gadka pozostawała nie wyjaśniona przez dwadzieścia lat. Dopiero w 1957 roku A. Isaacs i J. Lindemann z Narodowego Medycznego Instytutu Doświadczalnego w Anglii wyprodukowali tajemniczą substancję, która chroniła tkanki przed zarażeniem wirusami różnych chorób. Ta substancja — białko [waga molekularna 63 000] otrzymała nazwę „interferon”.

Była to epoka szerokich spodni, lotniskowców, workowatych płaszczy nieprzemakalnych, prosperity, pierwszych nylonowych pończoch, radaru, swinga, kolorowych fotografii z walk na Oceanie Spokojnym. Schludni Amerykanie z Filadelfii nie podejrzewali oczywiście, że w głodującym, skazanym na zagładę mieście (niemieckim operatorom filmowym udało się z nisko lecącego samolotu dokonać zdjęć wspaniałej panoramy dawnej stolicy Rusi: ruiny, ruiny, ruiny, zlizywane przez pożary kości miasta; w jakiś czas potem kijowski reżyser znalazł tę taśmę i podłożył pod nią „Mandfreda” Beethovena) — że w mieście tym żyje człowiek, który w 1943 roku powziął twarde postanowienie poświęcenia całego swego życia wirusologii, chociaż w 1943 roku ludzie woleli nie myśleć o przyszłości, a życie swoje poświęcali walce z wrogiem, walce z głodem, chociaż byli i tacy, którzy poświęcali wtedy swe życie handlowi złotem na czarnym rynku lub rabowaniu opustoszałych mieszkań. Ale schludni Amerykanie z Filadelfii nie mogli przypuszczać już absolutnie, że nauce tak pięknie przysłuży się święty Mikołaj Cudotwórca, albowiem tylko dzięki niemu Żora Ordyncew został wirusologiem.

Dwadcat wtarogo iunia, rowno w czetyre czasa. Kijew bomgili, nam objawili, czto naczałaś wajna. Wojna zastała go na czwartym roku kijow-

skiego instytutu medycznego. Ojciec optymistą zapewnił, że za dwa tygodnie będziemy w Berlinie. Jeśli zawtra wajna, jeśli zawtra w pachód, jeśli czornaja tucza nagrianiet. Matka pesymistka płakała. Jego jednostka została okrażona pod Boryspolem. Trafił do jednego z licznych zaimprovizowanych stalagów. Pracował w cegielni przy wydobywaniu gliny. Razctwietali jabłoni i gruszi, popłynęli tumany nad rieką. Wychodziła na bierieg Katusza.* Była to kobieta o poczciwej twarzy, oczach jak wyblakły niebieski perkal, o ciężkich, popękanych nogach. „To przecież mój! Mój mąż! — biła się w piersi. — Iwan Petrenko!” Wypchnęli go na górę. Wychodziła, piesniu zawodziła pro stepnogo sizogo orła. Była już po trzydziestce. Jej Iwan zagubił się gdzieś w ogniowym wirze wojny. Była w nocy nienasycona. Kładła mu na ramieniu ciężką głowę o szorstkich włosach (w tu-tejszej wodzie była duża domieszka soli), jej żelaziste ręce zawładnęły jego wątłym, chłopięcym ciałem; nie tylko uratowała go od śmierci: zrobiła z niego dojrzałego mężczyznę.

Ordyncew poszedł o świcie po zamarznętej, wyboistej drodze, wyszklonej łamliwym lodem późnej jesieni. Poluszko, pole... Poluszko szerokoje... Jechali po polu... Zatrzymał go patrol żandarmerii. Grasowali po całej Ukrainie na nowiutkich motocyklach „Zündap”. Miał jednak przy sobie „lipny” auswajs, wydany przez miejskiego starostę, kuma Marii Petrenko... Odnalazł swą rodzinę po licznych niewiarygodnych przygodach i ponie-wierce. Wiktor Wikentijowicz znalazł wraz z żoną przytułek w domku przy ulicy Nowołybickiej, w pobliżu tężni, z daleka przypominającej dużą

* Słowa radzieckich pieśni żołnierskich.

beczkę z kiszoną kapustą; sterczała nad miastem jak hipertroficzne marzenie jego mieszkańców o jedzeniu: beczka była pusta.

W izbie stał mały żelazny piecyk. Dniem i nocą w odległości trzystu metrów od nich dudniły ciężko pociągi towarowe. Ziemia drżała, drżały w szklance pędzle akwarelowe. Ojciec zarabiał na życie malowaniem.

Najtrudniej było pozostać czystym. Wiktora Wikentijowicza zaproszono do zarządu miasta i zaproponowano urządzenie wystawy jego płócien. „Jest pan przecież ofiarą bolszewizmu” — powiedział jeden z tych, którzy mu kiedyś doradzali, żeby się zajął szczególnie tematyką kołchozową. Wiktor Wikentijowicz zdecydowanie odmówił. Najtrudniej było się nie splamić. Ale i wyżyć było nielekkie. Wiktor Wikentijowicz nawiązał stosunki z obrotnym Rumunem (według dokumentów był właścicielem zakładu fotograficznego z Trans-Nistrii), który zwierzył się Ordyncewowi ze swej niedawnej przeszłości mołdawskiej i napomknął o żydowskim pochodzeniu. Nazywał się Ion Dumitrescu. Jedno oko miał własne, z żółtawą siatką sklerotycznych czerwonych niteczek, z wyrazem ciągłego zmęczenia; drugie lśniło połyskiem nowej porcelany, nadając prawej połowie twarzy młodzieńczy wygląd. Niski, wąsaty, o słoniowych ruchach Ion Dumitrescu okazał się wnikliwym psychologiem: rozumiał, że podczas wielkich światowych katastrof i nieszczęść dusze ludzkie, a zwłaszcza dusze kobiet, zwracają się do wszechmogącego Boga. Dlatego też w swoich pracowniach w Odessie i Kijowie zorganizował produkcję kolorowych obrazów, drukowanych litograficzną techniką na szarym, mocnym papierze. Głównym plastykiem przedsiębiorstwa był Wiktor Wiken-

tijowicz. Właściciel przedsiębiorstwa miał bardzo prymitywne upodobania artystyczne. Do Wiktora Wikentijowicza mawiał często: „Tylko bez żadnych tam futuryzmów i innych szmizmów... Nie chcę żadnej mazaniny. Trzeba, żeby ludzie płakali. Ja produkuję dla narodu a nie dla jakiegoś tam lumpenproletariatu...”

Wiktor Wikentijowicz wspomniał stare dzieje: u szczytu jego twórczości stał święty Mikołaj Cudotwórca. Siwobrody starzec był przedstawiony w tradycyjnej pozie: błogosławiący gest prawą ręką i Ewangelia w lewej. Na głowie miał złoconą mitrę z miniaturową emaliową ikoną, pod którą lśniły perły. Twarz jego, względnie poprawna, wyrażała nie jakąś ludzką indywidualność, lecz ideę Boga-Człowieka. Tylko zamiast bizantyjskiej surowości i oschłości promieniowała z obrazu głęboka łagodność; zwłaszcza oczy Cudotwórcy, podkreślone ultramaryną, miały wyraz głębokiego współczucia i wszechogarniającej miłości. Dumitrescu zachwycał się szczególnie ubiorem Mikołaja Cudotwórcy: lśniącym złotogłowieм rzy, śnieżną białością paliusza, realistycznie oddanymi fałdami szat i zmarszczkami na delikatnych starczych palcach wyciągniętej do błogosławieństwa ręki. Na jaskrawoniebieskim tle jaśniał złotym kwiatem nimb nad głową.

W obawie przed wywiezieniem na roboty do Niemiec Żora zapisał się do instytutu medycznego, otwartego przez Niemców w Kijowie. Całymi dniami kręcił się po Żydowskim Bazarze, który stał się teraz jakimś gigantycznym, groteskowym rojowiskiem ludzkim. Kwitł tu handel wymienny szarą mąką z otrębami, pochodzącą ze zmielonego na prymitywnych żarnach zboża, zjełczałym olejem, wełnianymi swetrami, sacharyną, węgierski-

mi papierosami „Hunny”, antykwarycznymi statuetkami, starymi książkami, wojskowymi butami rumuńskimi, zawszonymi szynelami, kuponami przedwojennej manufaktury, mętnym samogonem buraczanym i biletami kredytowymi więziennego koloru z tekstem ukraińskim i niemieckim, wypuszczonymi przez Centralny Bank Emisyjny w Równem: na pięciorubłowce uśmiechała się jasnowłosa wiejska dziewczyna z kwiatkami w rękach; obok widniał cesarski orzeł ze swastyką, a lakoniczny brunatny napis głosił: „Fałszowanie walorów pieniężnych karane będzie ciężkim więzieniem”.

Wokół bazaru tuliły się sklepiki, chałupiny, bary, bufety, w których można było wypić, dobić targu, przeprowadzać walutowe transakcje lub zawrzeć znajomość z „panienkami”. Szczególną sławą cieszył się jeden z barów, w którym na wspaniałym niemieckim akordeonie grał wysoki niemy chłopiec Saszka z natchnioną twarzą morfisty. Rozamunda ty dla mienia całego mir. Rozamunda, moj ideał i kumir.

Żora handlował Mikołajami Cudotwórcami, których Wiktor Wikentijowicz otrzymywał od Dumitrescu zamiast honorariów. W jego kieszeni szeleściły okupacyjne karbowance, zaczął więc coraz częściej odwiedzać knajpę Saszki Akordeonisty. Tam właśnie poznał się pewnego razu z Borysem Ołeksandrowiczem Pryjmakiem. Siedział w starym kapeluszu, w niemieckim czarnym ceratowym płaszczu przeciwdeszczowym w rogu tej cuchnącej nory, z rękami na stole zalanym czerwonym winem. Przed nim stała nie dopita butelka. Prymak uważnie przyglądał się gościom. Przypominał postać z ukraińskiej sztuki obyczajowej ubiegłego wieku: wydatny nos, zaporoskie wąsy, krzaczaste

brwi. Tylko wyraz twarzy miał nie głupawo-chytry, lecz chmurny. Było widoczne, że jest pijany.

Żora wznosił w jego stronę szklanę wina, kładąc na kraju stołu nie rozprzedane obrazy Cudotwórców.

— Co to? Zdjęcia pornograficzne? — zainteresował się człowiek w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, nie zmieniając wyrazu twarzy, po czym, nie czekając na odpowiedź, poinformował:

— Urządzam stypę. Po koniu. Najlepszy. Najlepszy reproduktor w Europie. Umarł. Na tęcza. Ten bałwan źle przefiltrował anatoksynę *... Orgia śmierci. Tak. Trzeba było wprowadzić surowicę — powiedział Żora.

Człowiek w płaszczu przeciwdeszczowym spojrział na niego, wylał do szklanki resztę wina, wyjął chutkę do nosa i zaczął wycierać nią zalane winem rękawy płaszcza. Chustka poróżowiła.

— Szyja mu stwardniała na kamień. Skurcze mięśni. Trzecia powieka wypadła. I nie może zrobić kroku w tył, jak przerażony żołnierz. Potem obrzęk płuc. A kim pan właściwie jest?

W ten sposób poznali się. Wypili. Żora pokazał Pryjmakowi obrazy, ten jednak spojrział z odrazą na Mikołaja Cudotwórcę.

— Rzuć pan te głupstwa — poradził. — Ma pan zawód... Patrzcie go, jaki elegant! Ludzie w podartych waciakach, a ten w złotogłowie. Boga, młody człowieku, malować nie można. I wieszać na ścianie. Jego trzeba tu nosić! — uderzył się pięścią w pierś — chodź pan lepiej do mnie pracować.

Kierował produkcją szczepionki przeciwospowej i pasteurowskiej oraz surowicy przeciwteżcowej.

* Szczepionka zawierająca osłabiony jad chorobotwórczy

Wytwarzano je w jednym z budynków opustoszałego instytutu bakteriologicznego.

Tak rozpoczęła się ich przyjaźń: w nauce i w pijaństwie.

Kiedy w jesieni czterdziestego trzeciego roku Niemcy wysiedlili mieszkańców całej dzielnicy przydworcowej i rodzice Żory Ordyncewa zmuszeni byli opuścić miasto (wyjechali do Umania), Żora przeniósł się do Pryjma na Batyjową Górę. Borys Ołeksandrowicz nie tylko zaszczepił u Żory miłość do nauki — do tajemnic wirusologii, która zawierała milczenie mumii egipskich ze śladami ospy na skórze, sławną mądrość pism Hipokratesa, geniusz Pasteura i Iwanowskiego — ale zrobił też z Żory alkoholika. Pryjmak pił niewiarygodnie dużo, choć prawie nigdy się nie upijał. Twardniało tylko wówczas jego spojrzenie, a słowa i gesty nabierały precyzji.

— Mam najzdrowszą wątrobę na świecie — mawiał. — Sam Ołeksander Ołeksandrowicz Bohomolec był zdumiony jej dezintoksykacyjnymi właściwościami. Zresztą niech pan pamięta, Żora, że straszna jest nie wódka, lecz zakaska. A jeszcze gorzej, kiedy pan, upodabniając się do nędznego rosyjskiego inteligenta, zacznie się zastanawiać nad sensem życia. Proszę się tego wystrzegać jak ognia — pouczał gładząc wąsy.

Pewnego razu Pryjmak opowiedział Żorze o niezwykłym doświadczeniu, jakie przeprowadził przed samą wojną. Interesował się wtedy wścieklizną, chorobą bezwzględnie śmiertelną. Postanowił sprawdzić, jak będzie przebiegać choroba wścieklizny w połączeniu z nieszkodliwym dla królików jaszczurem. Zaraził więc króliki wirusem jaszczura, po czym za kilka dni wprowadził do ich mózgu emulsję z silnym wirusem wścieklizny.

Jakież było jego zdziwienie, gdy żaden z królików nie zachorował na wściekliznę. Wojna przerwała niestety te doświadczenia. Żora miał wątpliwości co do prawidłowego przebiegu doświadczenia, rezultat jego wydawał się bowiem wręcz niewiarygodny. Zresztą sam Borys Mikołajewicz podzielał te wątpliwości.

Kijów płonął. Nad miastem kłębiły się ciężkie chmury dymu, obrzeżone roztopioną miedzią. Z daleka dolatywał huk artylerii. Pryjmak pił jeszcze więcej. Przynosił z piwniczki rektyfikowany spirytus i pił, zagryzając jabłkiem.

— Et — skarżył się pijaniuśkiemu i głodnemu Żorze — dlaczego się urodziłem w dwudziestym stuleciu? I właśnie tu na Ukrainie? Dlaczego nie w Boliwii? Niech pan tylko pomyśli: w ubiegłym wieku mógłbym odkryć coś niezwykłego. Chorób było dosyć. Mógłbym nawet jako pierwszy wytworzyć szczepionkę przeciw wściekliznie. Ja! Wierzy mi pan? Mógłbym! Pech jednak chciał, żem się narodził o sto lat za późno. Po to, żeby na własne oczy oglądać Apokalipsę, i to w tandetnym, amatorskim wykonaniu. Cała tragedia w tym, Żora, że dla ludzkości skończyły się czasy pokoju. W naszych czasach mobilizacja obejmuje wszystkich — i na zawsze. Ten, kto się z niej wymiguje, to dezterter. Jesteśmy obaj, Żoro, dezterterami. Chcesz czy nie chcesz — dezterterzy. A znajdą się może jeszcze tacy, co powiedzą: zdrajcy, psy niemieckie.

— Przecież my pracujemy dla własnego społeczeństwa — próbował się usprawiedliwić Żora. — Przecież nie dla Niemców.

— Daj spokój, gołąbeczku — zachnął się Pryjmak. — Jesteśmy dezterterami. Tu siedzimy

w ciepłe, a tam nasi żołnierze topią się w Dnieprze. Wyobrażasz sobie, jaka teraz musi być lodowata woda? Brr... Trzeba było pójść do partyzantki. Inni mogli, a my nie?

Żora nienawidził go w takich chwilach.

Z tego domku na Batyjówce wyniósł Żora nie tylko nieodparte pragnienie sprawdzenia doświadczeń Pryjmaka oraz pociąg do alkoholu, ale coś znacznie ważniejszego: to, co nazywa się wyrzutami sumienia — wbity w pamięć rozpalony gwóźdź, który parzy do dziś.

...Przez dwadzieścia lat zdążył po omacku do tej chwili, w której włączywszy bakteriobójcze lampy, zaczął naświetlać kulturę tkanek z wirusami encefalitu, wydzielając z niej drogocenne krople oczyszczonego interferonu. Pochłonęło mu to dwa lata życia — bez wolnych dni i urlopów, bez ubocznych zarobków, bez koncertów, kina i innych rozrywek (pozwalał sobie jedynie na kupowanie albumów z reprodukcjami Van Gogha, Boticellego, Toulouse-Lautreka). Dwa lata zawarte w suchej, kancelaryjnej nazwie „ósmego problemu” — aż do chwili, kiedy jego laborantka, wyciągnawszy z lodówki buteleczkę z interferonem, zawinęła ją w watę i pergamin i zaniosiła na dół do laboratorium Bałandina, kładąc ją na werandzie.

...Lila biegła, głośno klapiąc sandałami po asfalcie porysowanym kredą „w klasy”. Było ciepło, wiosenny wiatr pędził po niebie wesołe chmurki. Bezbrzeżny plac lśnił asfaltem, przez pęknięcia przebijała się tu i ówdzie trawka. Lila biegła roześmiana, szczęśliwa; jej pierwsza w życiu piłka podskakiwała, odbijana ciągle dłonią. Zachłystując się śmiechem i czując na sobie słoneczny oddech rześkiego wiosennego wiatru, dziewczynka

biegła strzelając czarnymi oczkami. Nie pamiętała teraz o niczym, cały świat zmałał dla niej do tej gumowej powłoczki, zamknął się w sprężonej próżni, wirującej po każdym zetknięciu się z asfaltem. Była to jej pierwsza, jej własna piłka: czerwona z zieloną smugą. A tam, już niedaleko, stali jej rodzice, patrząc z uśmiechem na małą kędzierzawą dziewczynkę, niemal zagubioną na olbrzymiej przestrzeni placu...

Lila wzięła ostrożnie pakuneczek z fiolką po penicylinie, zawierającą trzy centymetry sześciennie substancji podobnej do rzadkiego kleju. Na fiolce wypisano niebieskim laboratoryjnym ołówkiem: INTERF. Stała na ganku, wsłuchując się w szum wiatru. Laborantka z oddziału Ordyncewa wdrapała się już na górę. Odwróciła się, pomachała Lili ręką i zniknęła za rogiem budynku mikrobiologii. Zbocza góry lśniły ochrową barwą opadłych liści. Na sąsiednim wzgórzu, na którym budowano domy, wolno wznosiły się ramiona dźwigów. Po gliniastej drodze, biegnącej od gmachu mikrobiologii, biegł w dół wartki strumyk, cicho bulgocąc w koleinach po oponach samochodowych.

Lila dotknęła czerwonych, mokrych od rosy listków winorośli zwisającej nad wejściem. Nic nie poruszało niemej ciszy, dzień pracy w instytucie się zakończył.

Lila ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

— To jest to — powiedziała wchodząc do laboratorium. — Przyniosłam.

„Trzy centymetry — obliczał w myśli Bałandin. — Po sześć dziesiątych na każdego. Nie za wiele. A poza tym czy można mieć pewność, że ten preparat, podobnie jak tysiące jego poprzed-

ników, tak bardzo będzie się różnił właściwościami od zwyczajnej wody? Żora to prawdziwy uczo-ny, ale i on nie jest wolny od złudzeń. Zresztą — myślał Bałandin — jest już chyba za późno. Prawdopodobnie interferon nie zdąży już zablokować komórek i ochronić ich przed wtargnięciem wirusów Jossera. Być może zaczął się już nieodwracalny proces, kiedy my z całą naszą silną wolą, pięknymi myślami, żartami, z naszym lękiem przed dochodzeniem w sprawie awarii oraz innymi głupstwami, znaleźliśmy się już bardzo blisko tej granicy, po przekroczeniu której tracą moc wszelkie prawa społeczne, a dochodzą do głosu odwieczne biologiczne żywioły; giną i rozpadają się jak zbutwiałe państwa najbardziej złożone kompleksy fermentów, a chaos i rozpad znacmionują szybką i nieubłaganą śmierć.

Nie — próbował otrząsnąć się Bałandin. — Kto jak kto, ale właśnie ja nie mam prawa do wątpliwości. Nie mogę pozwolić sobie na taki luksus jak zwątpienie. Bo kto wtedy uwierzy? Interferon nas uratuje. I nie może być inaczej.”

...Bałandin podrzucał Marynkę do góry. Dziewczynka piszcziała i śmiała się, marszcząc pozbawione brwi czoło: „Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze!” Welta też się śmiała. Morze ledwie oddychało, liżąc śliskie kamienie, między którymi kręcił się rybi drobiazg; stalowe nożyki ich ciał przecinały gęstwą burych wodorostów. Przy brzegu w zielonej wodzie, nasyconej kwantowymi cząsteczkami słońca, przelewały się po krętych orbitach błękitne przezroczyste planety meduz. „Jeszcze! Jeszcze!” — krzyczała Marynka. Bałandin podrzucał ją, wypuszczając na moment z rąk, chwycił znowu i znów podrzucał. Potem, posadziwszy ją na ra-

mionach, biegał zadyszany samym brzegiem, przeskakując niezgrabnie przez kamienie w ciągłym strachu, by się nie potknąć i nie upaść...

— Proszę przygotować strzykawkę i igły — powiedział Bałandin. — Tylko niech się pani pospieszy, Lilu, tu droga każda minuta.

Igor pierwszy nastawił swe masywne plecy. Bałandin wylał wodę ze sterylizatora, włożył igłę do gorącej strzykawki i sprawdził działanie tłoka.

— No i co? Zawsze mówiłem, że Żora to wielki człowiek — powiedział Igor. — Jeśli wykaraskamy się z tej paskudnej historii, postawię mu baryłkę wódki.

Bałandin nabrał do strzykawki sześć milimetrów interferonu, posmarował skórę na łopatkę spirytusem i zręcznym ruchem wbił igłę.

— Oj! — krzyknął Igor. — Boję się zastrzyków. Jesteśmy teraz z panem kwita.

— Dlaczego? — uniósł brwi Bałandin.

— Ja panu zrobiłem zastrzyk, teraz pan mnie. Człowiek człowiekowi bratem. To już? Dziękuję.

— Proszę zawołać Machowa.

Machow bez słowa zadarł koszulę. Przez prawą łopatkę przebiegała czerwona pręga. Nawet się nie skrzywił. Wpuścił koszulę w spodnie i wyszedł z pokoju.

„Patrzcie — pomyślał Bałandin. — Nie wiedziałem, że jest taki.” Przejęło go współczucie dla tego samotnego, pochmurnego mężczyzny.

— Jewdokio Iwanowno! — zawołał.

— Przeczuwałam, że coś się stanie. Ilko ma grypę. Prawdziwą. Dzwonił Fedia. Zupełnie stracił głowę. A siostra jeszcze nie przyjechała.

Obróciła się plecami do Bałandina, krzyżując ręce na piersiach.

„Chłopka — pomyślał — a plecy jak u bogini.” Po raz pierwszy zobaczył jej nagie plecy, a pracował z nią już cztery lata. „Staję się sentymentalny — pomyślał. — Starzeję się. Zobaczyłem nagle nie starszego pracownika naukowego, z którym wyklócam się przy omawianiu tematyki na rok następny albo przygotowywaniu sprawozdania naukowego, lecz po prostu kobietę o pięknych ramionach i plecach, która jest na pewno szczęśliwa ze swoim niedołągą Fedią, jeśli regularnie rodzi mu dzieci; i chociaż nie pierwszej już młodości i chłopcy nie oglądają się już za nią, może jeszcze uszczęśliwić mężczyznę. Ale nie o to teraz chodzi — skarcił się Bałandin. — Rozdzawił gębę na zwykłe babskie plecy i zapomniał o najważniejszym.”

Nabrał do strzykawki dwanaście mililitrów interferonu i wbił igłę w fałdę skóry.

— Bolesne — powiedziała.

— Niech pani trochę pocierpi. Pan Bóg cierpiał i nam kazał cierpieć.

— Dziękuję, Mikołaju Petrowiczu.

— Co pani będzie teraz robić?

— Przygotujemy z Lilą kolację. Trzeba usmażyć mięso.

— Lilu, proszę do mnie! — zawołał.

Rzucił wykorzystaną igłę na pokrywkę sterylizatora i nabrał do strzykawki resztkę interferonu. Spojrzał na podziałkę na szklanym cylindrze: pięć milimetrów. „Chyba jeden milimetr przelałem — zauważył w myśli. — Jej szanse zmniejszyły się więc tym samym o... szesnaście procent. A szanse Jewdokii zwiększyłem o sto procent. Możliwe, że z punktu widzenia statystyki czy abstrakcyjnego humanizmu te dwie kobiety winny mieć równe szanse, ale z punktu widzenia zdrowego ludzkiego

rozsądku jest jednak inaczej. Lila jest samotna i nieprędko będzie miała dzieci. Jeśli w ogóle będzie je kiedykolwiek miała. A Doroszenko... Nie, wszystko w porządku — uspokoił się. — Postąpiłem jak najbardziej słusznie.”

— Proszę się odwrócić — powiedział trzymając napełnioną strzykawkę.

— A w rękę nie można? — spytała Lila.

— W rękę? Dlaczego w rękę?

— No bo... w plecy... — jakoś niezręcznie. Lepiej w rękę.

— Boże — powiedział Bałandin — kiedy wreszcie uwolnisz naukę od kobiet! Od tych wstydliwych głupiątek. Proszę dać rękę.

— Mikołaju Petrowiczu, a wierzy pan w interferon? Wierzy pan?

— Oczywiście. Wierzę w Żorę jak w Pana Boga. Cuda przecież wypisują o interferonie.

— Dlaczego ten pański Ordyncew od razu go nie dostarczył? Dlaczego dopiero dziś?

— Bo go najpierw próbował na sobie. Dopiero wczoraj wstrzyknął sobie trochę. Wczoraj jeszcze bał się nam go dać.

Bałandin wrzucił pustą fiolkę po interferonie do kosza na śmieci.

— A panu kto wstrzyknął? — spytała Lila.

— Igor — skłamał Bałandin obojętnym tonem.

— Proszę pozwolić, wypłuczę strzykawkę.

Bałandin został nareszcie sam. „Kości rzucone — pomyślał. — Teraz pozostawało już tylko czekanie. Orzeł albo reszka. To nie takie straszne, jak by się wydawało. Nie, nie trzeba się okłamywać. Moje szanse zmniejszyły się o sto procent. Moje szanse są równe zeru. To jednak straszne.”

Odczuł znajomy ból w piersi i chłód w gardle, jak gdyby zjadł miętowego cukierka. Dużego nudnowosłodkiego miętowego cukierka.

16

„Leżymy na dnie oceanu. Mała łódź podwodna z cienkimi ścianami z cegły, z dziurawym dachem, z gorącymi kaloryferami. Kaloryfery łuszczą się jak po szkarlatynie: to opadają pomarszczone płyty olejnej farby.

Leżymy na dnie oceanu. Gdzieś wysoko w górze, na jego powierzchni, świecą ogniki: to przepływają nad nami sputniki i duże statki, niosą w sobie ludzki sen, popiskiwanie Morse'a w kabine radiotelegrafisty, drzenie strzałek na tarczach i pełne napięcia milczenie szturmanów.

Leżymy na dnie oceanu. Już drugą dobę. Niekiedy zapala się sygnałne światełko telefonu: to woła nas ziemia. Jest nas pięcioro w tej łodzi podwodnej, która ugrzęzła na dnie oceanu. Słyszymy głosy naszych bliskich, ale oddziela nas od nich mur nie do przebycia, granica, której nie wolno nam przekroczyć. Dysproporcje są olbrzymie: za cenę naszego małego życia — bezpieczeństwo miasta, w którym, niczego nie podejrzewając, tysiące zmęczonych w ciągu dnia ludzi oglądają ostatnie programy telewizyjne, jedzą kolację, czytają książki, ścielą łóżka, całują senne dzieci, siedzą na dworcach czekając na autobusy i pociągi. Oto dlaczego leżymy na dnie oceanu: odpowiadamy za to miasto. Zbyt duża jest dysproporcja, by mówić o jakiejś możliwości wyboru.

Nasza małeńka łódź podwodna na razie jeszcze żyje: pracują termostaty, lodówki, świecą niebiesko lampy bakteriobójcze, zwierzęta w wiwarium biegają, ludzie oddychają. Mamy jeszcze zapasy żywności. Ale nie jesteśmy już podobni do innych ludzi. Nie jesteśmy już tacy, jacy byliśmy dwa dni temu. I nawet jeśli nasza małeńka łódź podwodna, nasz wąły stateczek będzie uratowany, jeśli wypłynie na powierzchnię oceanu, dobije do przystani wielkiego miasta — gdy zejdziemy na ziemię, spojrzymy na świat innymi oczami...”

„...innymi oczami” — przeczytał cicho Igor, gryząc koniec długopisu.

Machow wyciągnął się na łóżku, paląc „Dżebeła”. W ciągu wieczora wypalił już pół paczki. Położył się, nie zdejmując nawet marynarki, na prześcieradło i kołdrę. Strącał popiół do szklanki, w której nagromadziło się już mnóstwo zaschniętych niedopałków. Machow był człowiekiem praktycznym.

— Pisziesz testament? — spytał zaciągając się papierosem.

— Wiersze — odpowiedział Igor. — Traktor ciągnie kultywator — jaki równy ślad zostawia. — Ojciec mój mechanizator — kukurydzę on uprawia.

— Obłeci. Przypomina Stepniaka. Mogą wydrukować — pochwalił Machow.

— A według mnie to bzdura.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Można? — spytała Lila.

Machow zerwał się z łóżka i otworzył drzwi.

Lila przyniosła dwie butelki kefiru i postawiła na stole przed Igorem.

— Aleście nadymili!

— Znowu kefir? — spytał Machow.

— Zwariować można — poparł go Igor.

— A co ja temu jestem winna? Ja sama też go nie cierpię.

— Przydałoby się coś mocniejszego — przytknął wymownie palcami Machow. — Co ty na to, Igorze?

— Podtrzymuję wniosek towarzysza Sergiusza Onysymowicza Machowa.

— No to jak, Lilu? Ma pani klucz?

— Mogę nalać. Tylko żeby Mikołaj Petrowicz nie widział.

— Mur — uśmiechnął się Machow. — Dobra?

— Ile?

— Myślę, że dwie setki wystarczy. Profilaktycznie. Żeby wszystkie wirusy wyzdychały.

— Za chwileczkę — powiedziała Lila.

— Zupełnie do rzeczy babka — powiedział Machow, kiedy Lila wyszła z pokoju. — Tobie się nie podoba?

— Ujdzie.

— Babka jak się patrzy.

Igor podszedł do stojącego w kącie kubła na śmieci, nacisnął pedał i wrzucił zmiętą kartkę papieru.

— Szkoda — powiedział Machow. — Piękne wiersze.

Igor zdjął nogę z pedału.

— Wiersze są okropne. Nie nadają się na poetę. Za bardzo deklaratywne. Nie ten czas... Teraz patos nie w modzie.

Powróciła Lila, niosąc stożkowatą kolbę ze spirytusem.

— Uważajcie tylko — prosiła. — Jak Mikołaj Petrowicz się dowie, zamorduje mnie.

— Nie zamorduje — powiedział lekceważąco Machow. — Dziękuję, Lilu.

— Kwarantanna dobrze ci zrobiła — zauważył Igor. — Zrobiłeś się wytworny jak lord Hume.

— Niech nas pani nie opuszcza — poprosił Machow. — Wypijemy po naparstku.

— Dziękuję — odparła Lila. — Nie mogę. „Berezowskiej” napiłabym się chętnie. Cokolwiek musującego... Ale to paskudztwo.

— Proszę zostać. Posiedzimy, porozmawiamy.

— Nie, nie mogę. Czym zakąsicie?

— Będziemy obgryzać łokcie — powiedział Igor.

— Popijemy kefirem — dodał Machow. — Więc zostaje pani?

— Naprawdę dziękuję, ale chyba pójdę. Czeka na mnie Jewdokia Iwanowna. Przygotowałyśmy nowy odczyn. Tylko nie hałasujcie, dobrze?

— Dobrze — odpowiedział Igor. — Dlaczego mamy hałasować? Na własnej stypie?

— Jak skończycie, niech pani przyjdzie — prosił Machow.

— Zobaczą — odpowiedziała Lila wychodząc. — Tylko zachowujcie się cicho.

— Ładna dziewczyna — westchnął.

Na dworze było już całkiem ciemno. Nad miastem zawisała mokra, niespokojna noc. Monotonnie brzęczał haczyk przy otwartym lufciku, poruszanym podmuchami wiatru.

— Słyszysz zwon bubiencow izdaleka. Eto trojki znakomaj razbieg. — Igor podszedł do zlewu i odkręcił kran.

— Zaczekaj — powiedział Machow. — Niech rdza zejdzie.

— Wiem. Biłym sawanom iskritsia snieg. Ile wody?

— Zrób sznapsa. Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

— Chętnie, mon général. Fifty-fifty. Mamy chlorowaną wódkę. Weź szklanę.

- Ciepła — skrzywił się Machow.
- W sam raz. Nie dostaniesz anginy.
- Za co wypijemy?

Igor wziął szklanekę w rękę i spojrzał pod światło: wewnątrz wirowały banieczki. Popatrzył na Machowa: zawiązany krawat, te same oczy, powieki niemal pozbawione rzęs, porządnie zaczesane czarne włosy (zdążył się przeczesać, kiedy Lila poszła po spirytus). Po chwili rozpuszczony alkohol ustał się, zrobił się przezroczysty.

— Wypijmy za sens — powiedział Igor.

— Za co?

— Za sens. Wszystko powinno mieć sens. Życie, śmierć. Inaczej nie warto żyć. Lepiej od razu do trumny.

— Filozofia — splunął Machow. — Wypijemy za to, żeby nie zdechnąć. Nie widzę w śmierci sensu. Rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedział Igor. — A ja jednak piję za sens.

Wypił jednym haustem ciepłąwą, obrzydliwą ciecz, która parzyła i wysuszała gardło.

Machow wypił także. Dwoma łykami. Chuchnął i pokręcił głową.

Igor ułamał kawałeczek chleba, żuł go przez chwilę, popił kefirem.

— Cocktail imienia towarzysza Jossera — powiedział.

Upili się z miejsca. Igorowi zdawało się, że rozcodzi mu się po całym ciele jakieś ciepłe światło, rozprowadzane przez strumyki krwi. Wszystko nagle stało się inne, wesołe i dobre, chociaż zdawał sobie sprawę, że nic się nie zmieniło. Tylko jak gdyby z oczu spadło bielmo. Igor odkrył nagle, jaki ten Machow szczerzy i serdeczny chłop, tylko jakoś żał mu go było, chociaż w tym pijackim

chaosie pozostały nietknięte ośrodki kontrolne, które wnikliwie analizowały każde słowo Machowa.

— A ja mu mówię, praktycznie, coś ty tak gały na mnie wytrzeszczył — opowiadał Machow. — Jeśliś ty, praktycznie, sierżant... A nie chcesz pogadać z patrolem? Ty sukinsynu, mówię i chwytam go za bluzę. A on mi mówi...

— A wiesz, Machow — przerwał mu Igor — że w trzydziestym pierwszym roku w Londynie obchodzono uroczyste trzechsetlecie odkrycia kory chininy?

— Cuda — zaśmiał się Machow. — Czego to ludziska nie wymyślą... No a ten sierżant, jak się okazało, wcale nie był sierżantem. On był, praktycznie, starszym sierżantem.

— Czyś ty czyścił kiedyś buciki u pucybuta? — spytał Igor, widząc, że Machow nie panuje już nad językiem.

— Czyściłem buty. Chromowe. Drogi towar.

— A ja nie czyściłem. Raz nawet chciałem wyczyścić. Podchodzę do budki, patrzę, siedzi stary Grek. Siwe wąsy. Glansuje pantofle jakiemuś frajerowi. Strasznie zadyszany. Pewnie astmatyk. No i odszedłem.

— Posłuchaj, co było dalej — ciągnął Machow, wlewając do szklanki resztę spirytusu i rozpuszczając go wodą. — Ja mu mówię, praktycznie, coś ty, mówię, na wigilię przyjechał, czy jak? No to ja cię mogę nakarmić.

— A wiesz, Machow, żal zdychać. Przecież ja tak naprawdę, po ludzku, nie byłem jeszcze ani razu zakochany. Ale tak naprawdę. Były kobiety, były dziewczęta, miłości nie było. Tego lata poznałem się z jedną. Swietłana. Moskwiczanka. Kiedy byliśmy razem, było cudownie. A jak się

potem rozjechaliśmy, to jakby nigdy nic nie było. Zwyczajna żołnierska miłość. Das ist eine soldatische Liebe. Chciałbym mieć swoje dziecko. Nigdy mi to do głowy nie przyszło, a teraz o tym myślę. Wyobrażasz sobie? Jasnowłosy chłopczyk... Choć coś pozostałoby po tobie...

— A ty się żołnierskiej miłości nie czepiaj — powiedział Machow. — Ty nic nie rozumiesz. Miałem taką jedną w czterdziestym piątym. Wiesz, jakie wtedy sukienki nosiły? Wiesz?

— Wyobrażam sobie. Powyżej kolan, do pasa. Modna była wtedy taka piosenka: Ich ciebie czekała, warum ty nie przyszedł...

— Słuchaj, jeleniu — przerwał Machow. — Nazywała się Helga. Helga Freudenberg. Poznaliśmy się w czterdziestym piątym. Tak, w czterdziestym piątym. Czy wiesz, jakie tam są dworce? Pod ziemią, praktycznie... Bałem się, żeby nas patrol nie spotkał. Piwo piliśmy. Schwarzes Bier, słyszałeś? Ciemna masa z ciebie. A Helga tylko gapiła się na mnie, po rosyjsku ani w ząb. Tak się gapiła, że na płacz się zbierało... tak się gapiła... A ty powiadasz — soldatische Liebe... Chciałem wtedy napluć na wszystko... No więc poszliśmy z nią... No, myślę sobie, zaprowadzi mnie gdzieś w ciasną ulicę i stuknie... Prowadzi mnie przez jakieś ruiny, idziemy, idziemy, a ja sobie myślę: poczekaj, Fräulein... Czy wiesz, jakie tam ruiny? Tam, bracie, zupełna Sodoma i Gomora. Ciepło u nich w jesieni, wiesz? Te fryce to w jesieni chodzą bez kapeluszy. No więc idziemy, czuję woń cegły, mokra. Helga była blondynką. Włosy miała jasne, miękkie, jak u dziecka. Schule, powiada. Meine Schule. Schody tam ocalały. Pod schodami sucho. Nie wiedziałem, co robić z automatem. Helga powiesiła go na poręczu. Wiesz, co ci powiem? Wtedy

po raz pierwszy zrozumiałem, co to znaczy ostatni raz w życiu... Ostatni, rozumiesz? Wiedzieliśmy oboje, że się więcej nie spotkamy. A piwo mają doskonałe. Piłeś kiedyś? Taak... Ostatni raz w życiu. Za miesiąc przerwali nas do Magdeburga. Sprawa jasna. Helga niczego ode mnie nie wymagała. Pluła na wszystko...

...Sam z sobą rozmawiał? Czy z Igozem, który siedział podpierając dłońmi głowę? Czy z swoją przeszłością, z czterdziestym piątym rokiem, z brunatnordzawym miastem, na którego murach jak piętno widniały nieprzejednane słowa: „Festung Breslau”? To właśnie we Wrocławiu, wśród ruin fabryki wagonów, w jednym z zaułków, utworzonych przez spalone wagony, Machow wyciągnął ze schowka człowieka w pogiętym hełmie. Człowiek ten przyciskał do twarzy czerwone, lepkie ręce i szeptał: „Rozmawiaj ze mną, mów, mów do mnie! Dlaczego milczysz? Dlaczego ja ciebie nie słyszę, powiedz! Czy wojna się już skończyła?” Czy może właśnie z tym człowiekiem rozmawiał teraz Machow, z człowiekiem, który nie usłyszał jego głosu? Czy może rozmawiał z Bałandinem, przedkładając mu rachunek swoich pretensji, swej spóźnionej i nikomu niepotrzebnej dysertacji, swoich porażek i swej samotności? A może Machow rozmawiał z Lilą? Nie, szeptał teraz chyba z Helgą, która postarzała się, utyla, mieszka obecnie w Halle, mąż jej wykłada na uniwersytecie, mają jasnoszarego „Wartburga” i dwoje dzieci, Detlew i Ewelin; uczą się w szkole języka rosyjskiego, chociaż Helga znała tylko jedno rosyjskie słowo: lublju. Z kim spośród nich wszystkich rozmawiał Machow, gdy z zaciśniętymi zębami zastygł przed szklanką ciepłego napoju?

— A co było potem? — spytał w zamyśleniu Igor.

— Co potem? Postanowiłem się ożenić... Nie mogłem, co prawda, trafić na odpowiednią dziewczynę. Byłem wtedy jeszcze w Niemczech, no więc zacząłem skupywać różne ciuchy... Dla przyszłej żony... To był numer.

Machow roześmiał się niewesoło.

— Skąd miałem wiedzieć, jaki rozmiar? Diabli wiedzą. Koledzy mi poradzili... Kupowałem pantofelki numer trzydzieści pięć, trzydzieści sześć, i trzydzieści siedem. A odzież czterdzieści cztery i czterdzieści sześć. Koledzy mówili, że to najczęściej używane rozmiary. Rozumiesz, ciemna maso?

— A Helga? Już więcej Helgi nie spotkałeś?

— Nie. Zresztą... Posłuchaj. Kiedy byłem drugi raz w Niemczech, wstąpiliśmy z chłopakami do piwiarni. Patrzą, podjeżdża czarna „Wołga”. Rozumiesz? A z „Wołgi” wysiada dziewczyna w wąziutkich spodniach, włosy jasnoblond, jak u Maryny Vlady. Wchodzi, praktycznie, do środka, na nas nawet nie spojrzę. Nylonowy sweterek, a pod nim piersi, mówię ci... Słowem wszystko na swoim miejscu. Zamawia piwo. Wykapana Helga... Ein Bier. Danke schön. Bitte schön. Podchodzę do niej, patrzą, ale nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Nie, to chyba nie Helga. Tamta była starsza. Ta całkiem jeszcze młodziutka. Własny samochód. Taka złość mnie wzięła!... Twoju mat’ — myślę. — Myśmy krew przelewali... W naszej wsi wałęsali się chałupy wdów po żołnierzach... Z chlebem kiepsko, a ona samochodem się rozbija. Gdzież tu sprawiedliwość? Wsiadła i odjechała. Nawet nie spojrzęła.

— Żeby nam się... — powiedział Igor.

Machow odsunął swoją szlankę na koniec stołu.

Potem, zauważywszy, że rozlał spirytus nierówno — Igor miał trochę mniej — odmierzył palcami, dolał Igorowi ze swojej szklanki, sprawdził raz jeszcze i, zadowolony, postawił szklankę przed Igorem.

— Pij.

— Za Ordyncewa — powiedział Igor.

— Za miłość — ogłosił poważnie Machow.

Igor zaniósł się pijackim śmiechem, od którego samemu było mu głupio.

— Genialny toast, Machow. Nawet na skraju zagłady młodzi rycerze nauki piją za uroczę kobietki! Kram-bim-bam-bim-bam-bambu-li!

— Jeleń — odparował Machow. — Ty nic nie rozumiesz. Rycerz. Jeśli tylko stąd wyjdziemy... Poczekaj... Będą jeszcze stać na baczność przede mną. Wszyscy. Wszystkich wezmę w swoje ręce. Dość już tego cackania się. Wszystko, co było dotąd, nieważne. Zobaczysz, jak się teraz zajmę nauką. Ja już nie ten, co dwa dni temu... Jestem teraz uczonym.

— Rwiesz się w kapitany? Wolnego. Tylko ciebie tam brakowało. Przy sterze nauki. Obok Osadczego.

— Nie rwę się w kapitany — odpowiedział Machow, uważnie spoglądając na pustą szklankę. — Tylko w admirały.

Zaskrzypiały drzwi w korytarzu. Ktoś wszedł do przedpokoju. Igor schował szybko puste szklanki do szuflady.

— Po co chowasz? — spytał Machow. — Kogo się boisz?

— Ciszej.

Ktoś stanął przy telefonie — słyhać było, jak szcęknięła słuchawka — i odszedł, zamykając ostrożnie drzwi; widocznie numer był zajęty.

— Kogo się boisz? — krzyknął głośno Machow. — Przed kim zginasz kark? Jego się boisz? Niech no tu tylko przyjdzie. Niech spróbuje. Wszystko mu wyrąbię. Za mało mu jeszcze powiedziałem. Zatańczy on przy mnie — Machow ze złością uderzył pięścią. — Zatańczy! Zobaczysz!

— Zostaw go, Machow — poskramiał go Igor, czując, że znika pijacka dobroć i wygasa w środku ciepłe światło.

— A mnie się nie chce! — jeszcze raz uderzył Machow pięścią w stół. — Czy wiesz, co to takiego planaria?

— Kobieta, która lata na planerze* — odpowiedział kalamburem Igor.

— Łziesz! Planaria to taki robak. Najstraszniejszy gatunek na ziemi. Potnij go na kawałeczki, na ile chcesz... a z każdego kawałeczka wyrasta nowy robak. Z głową, z mózgiem, z ogonem. Rozumiesz? Ty ją tniesz na kawałki, a ona się rozmnaża. Jest nieśmiertelna. Nie boi się niczego. Wszędzie jej dobrze. No więc ten twój Bałandin to planaria. Planaria!

Igor usiadł przed Machowem.

— Skończyłeś już? — spytał zniecierpliwiony bębniąc podszwą o podłogę. — Skończyłeś? — Uśmiechnął się kącikami ust.

— To jest właśnie twój Bałandin — powiedział spokojnie Machow. — A ty, chłopcze, jesteś jelen. Każdy może z ciebie zdrzeć skórę, nawet tego nie zauważysz. Tak żyć nie można. Zimno bez skóry, kapujesz?

— Kapuję — odpowiedział Igor. — Wszystko jasne. Tylko żeś ty Bałandinowi do pięt nie dorósł. My obaj zdechniemy, ale o nim będą pamięć

* Planer (ukr.) lub píanier (ros.) — szybowiec

tać. Coś ty robił, kiedy miałeś dwadzieścia trzy lata?

— Uczyłem się. Na drugim... nie, na trzecim roku.

— Zdawałeś farmakologię. Wkuwałeś recepty. A Bałandin mając dwadzieścia trzy lata dokonał już odkrycia. Przejrzyj przedwojenne roczniki „Żmei”. Spytaj pierwszego lepszego riketsjologa, to zobaczysz, co ci powiedzą. A może powiesz, że komora jest zła?

— Lipa — powiedział Machow.

— Dużo ty o tym wiesz... Przez jakąś idiotyczną rurkę... Ale to nic. Rurkę można zmienić. Wmontujemy na jej miejsce przewód metalowy z awaryjnym sygnałem. W razie czego ciśnienie obniży się automatycznie. Konstrukcja komory jest doskonała. Amerykanie przy niej wysiadają. Wiesz, jaki list napisał do niego Stableforth? Wypytywałem, co i jak. Więc lepiej, żebyś milczał. Cała różnica między nami a nim polega na tym, że on coś robi. Własnymi rękami. Lutuje, montuje, operuje świnki. A my mielemy ozorem. Obliczamy odsetki. Co po tobie zostało, Machow? Tezy na konferencję republikańską?

— Po tobie jeszcze mniej — burknął Machow.

— Wiem. Mniej. Tym gorzej dla mnie. Dlatego, że żyłem w krótkich porteczkach. To najgorsza diagnoza: przeciągnięte dzieciństwo. Infantyizm. Kociaki, futbol, stylonowa koszulka, och, ach, gdzieś ją dostał... Latem Kaukaz, dziś noszą buciuki z wąskimi nosami, jutro z owalnymi, plaża, zrobimy pulę... I co dalej? Czekać na sklerozę i chodzić na mecze piłki nożnej? Wydzierać się raz na tydzień na świeżym powietrzu? Nie, Machow. Ja się nie zgadzam. Tylko że zbyt późno to wszystko zrozumiałem. Powinienem być od razu,

jak tylko przyszedłem do laboratorium, wziąć za kark Bałandina: daj mi, staruszk, jakąś poważną robotę. A ja co? Imprezy rozrywkowe organizowałem. Quizy. Robiłem gazetki ściennie. Plotkowałem z każdym, kto się nawinął. A lata uciekają. Czy wiesz, ile ja mam lat? Dwudziesty siódmy. Już trzy lata pętam się po laboratorium. I co zrobiłem? Podliczałem odsetki. Czasopisma czytałem. „Przyroda”, „Osiągnięcia współczesnej biologii”, „Problemy filozofii”, cybernetyka, genetyka, wychowanie seksualne. To wszystko bardzo ciekawe, trzeba się wszystkim interesować. A wyniki pracy? Gdzież one? Czego dokonałem? Bałandin od razu to zrozumiał. Ma swój rozum. I silny. Myślisz, że i on nie miał ochoty trochę pobrykać? Ale siedział dniami i nocami w laboratorium. W czterdziestym szóstym. Opowiadano mi. Czasami trzeba umieć przyznać się do porażki, chociaż przyjemne to nie jest.

— Zawracanie głowy — powiedział Machow. — Jemu było łatwo. Profesorski synek. A ja musiałem się uczyć i pracować w pogotowiu ratunkowym. Przyjdiesz do internatu, przegryziesz byle co i padasz z nóg. Przez całą dobę na dyżurze, a potem prosto stamtąd rano na obowiązkowe ćwiczenia. Niech by on tak spróbował. Dużo by odkrył. Co ty wiesz o Bałandinie? To zdrajca ojczyzny. Przebaczyli mu, ale nie zapomnieli. I nigdy nie zapomną. Takich rzeczy się nie zapomina. Czy wiesz, kogo on leczył, kiedy go zabrali do bandy? Ich watażkę Hontara. Bydlę... Podczas wojny ten Hontar był Sturmfuehrerem w dywizji SS „Galizien”. W czterdziestym czwartym poszedł do lasu. Polskie wsie powyrzynał. Wiesz, co oni robili? Dziecko za nogi i głową o ścianę. A ta planaria, ten twój Bałandin, leczył go potem. Ilu

komunistów ten Hontar zabił! Ile krwi rozlał — nie daj Boże! Więc nie masz co tak bronić tego Bałandina. Odkrycia, powiadasz. Kiedy, praktycznie, takich odkryć chce też dokonać moim i twoim kosztem.

— Ciekaw jestem, jak byś ty śpiewał, gdyby ci przyłożyli do skroni automat? No?

— A co zrobiła Zoja Kosmodemiańska — spytał Machow przygryzając wargi. — No?

Białe szkielety ram okiennych przekreślały czarne przestworza nocy. Wiał wilgotny wiatr, rozrywając nad miastem szczelną zasłonę chmur; ukazały się na niebie wysepki gwiazdne, które ciągle się powiększały, rozjaśniały i zbliżały do siebie, aby się zlewać w jedno.

Po dłuższym milczeniu Igor powiedział:

— Chce mi się pić. A tobie?

— Nie.

— Skąd ty to wszystko wiesz? O Bałandinie?

— Wiem — odpowiedział Machow, wyjmując z szuflady zalatującą spirytusem szklankę. — Brat mi opowiadał. Wasyl. Zginął w Zachodniej Ukrainie. W czterdziestym ósmym. Banderowcy go zabili. Młodszy lejtnant. Miałby już teraz trzydzieści osiem lat. Wymyj szklanki.

Gazowy licznik tykał bez przerwy. „Co oni tam robią?” — pomyślał Igor.

— Zajrzę tam — powiedział. — Jak chcesz, to przyniosę jeszcze kefiru. Przynieść? Zimny.

— Nie trzeba. Nie znoszę kefiru.

— Jak wolisz — powiedział Igor.

Poszedł do laboratorium. Ledwie przekroczył próg, poczuł ostry zapach smażonego mięsa. Przełknąwszy ślinę, zapukał do drzwi. Lila, stojąca koło wanny, spojrzała na niego z wyrzutem. Doroszenko smażyła mięso na gazowej płytce,

przewracając je metalową łopatką, którą przekładała z jednej ręki do drugiej.

— Już niedługo — odezwała się spojrzawszy na Igora.

— Co „już niedługo”? — spytał Igor z pijacką podejrzliwością.

— I to ma być wołowina? — gderiała Doroszenko. — Same żyły. Chłopy może jeszcze zjedzą. Mają mocne zęby.

— Sądziłem, że pracujecie naukowo.

— Niech pani poprosi Mikołaja Petrowicza — powiedziała Doroszenko.

— Zaraz — Lila spojrzała na termometr. — Trzydzieści osiem.

— Igorze, proszę zawołać z łaski swojej Sergiusza — powiedziała Doroszenko po wyjściu Lili. — Chcę, żeby byli wszyscy.

— Zaraz go poproszę.

— Niech pan skosztuje — podała mu kawałek smażonego mięsa.

— Genialne — ironizował Igor. — Nie jadłem w życiu nic smaczniejszego.

Wszedł Bałandin. Ciągle jeszcze miał na sobie fartuch z rdzawą plamą z przodu po lewej stronie, stary felczerski fartuch ze stojącym kołnierzem; nigdy nie nosił fartuchów lekarskich, zapinanych z przodu. Policzki i podbródek pokryte były siwiejącym zarostem, ręce powalane olejem maszynowym.

— Co tu macie? Mięso? — zapytał wciągając idący od płytki zapach.

Za nim weszła Lila.

— Będę jeść z zamkniętymi oczami — powiedziała. — Wyobrażę sobie, że to pieczona kura.

— Lilu, co się z panią dzieje? — powiedział ze zdziwieniem Bałandin.

— O co chodzi? — Lila spojrzała po sobie.

— Do twarzy pani.

— W tym fartuchu?

— Nie, z tymi namalowanymi ustami. Patrzcie no, co za ślicznotka.

— Zaraz zetrę — obraziła się Lila.

— Nie, nie — zaprotestował Bałandin. — Mnie się to podoba. Serio. A jak wy, towarzysze, uważacie?

— Prawdziwa seksbomba — powiedział Igor. — Po damskiej linii bijemy na łeb wszystkie laboratoria.

— Znęćacie się nade mną — powiedziała Lila uśmiechając się.

— Ładnie, ładnie — przecięła dyskusję Doroszenko. — Igorze! Mikołaju Petrowiczu! Chcę, żebyśmy zjedli razem kolację. Ale wszyscy, Machow też.

— Zgoda — powiedział Bałandin.

— Tylko bardzo was proszę, nie kłóćcie się.

— Zgoda — powtórzył Bałandin.

— Zimna wojna zakończona — obwieścił uroczyście Igor. — Zwycięża zasada pokojowego współistnienia. Wspaniale. Szykujcie wino i mięso. Idę po Machowa.

Doroszenko odwróciła się do płytki. Z patelni pryskało na wszystkie strony. Przewróciła mięso, które zaskwierczało jeszcze głośniej.

— Machowa nie ma — oznajmił Igor wracając.

Lila spojrzała na niego. Brzęknął talerz, potrącony łokciem Bałandina. Doroszenko obejrzała się. Igor stał ciągle na progu.

— Nie ma go. Obszukałem całe laboratorium. Wyszedł.

Deszcz ustał. Tylko miejscami wiatr ciskał krople z drzew. Oczy Machowa oswoiły się już z ciemnością. Wspinał się po stoku wzgórza, omijając drzewa, których pnie rysowały się na tle nocnego nieba jak kolumnada z czarnego granitu.

Już z godzinę błąkał się bez celu po terenie instytutu, przedzierał się przez krzaki, podchodził do wiwarium, do szop, warsztatów, krył się w głuchych, porośniętych burzanem zapadlinach przy ogrodzeniu. Nogi miał już zupełnie przemoczone. Zajrzał również do stajni; w gęstej ciemności słyhać było stękanie śpiących koni i urywane rżenie. Koło wiwarium niebezpiecznie było chodzić, można się było natknąć na psy; łagodne za dnia kundły z nastaniem nocy stawały się złe i niebezpieczne, panując niepodzielnie nad całym dziedzińcem.

Słyszał, jak go wołali. Igor wyszedł na ganek i krzyknął z całej siły kilka razy: Sergiusz! Sergiusz!

Słuchał przyczajony, a potem zaczął znowu się walczyć. Kiedy się wdrapał na szczyt wzgórza, najwyżej położone miejsce na terenie instytutu, zatrzymał się. Był zupełnie zmarznięty, bo nie wziął palta, i próbował teraz grzać ręce wsuwając je pod pachy.

Stąd, z góry, widać było całe miasto — czarne pasmo antracytu, rozświetlone gdzieś ognikami okien. Gdzieś w dole z gigantofonu rozlegały się dźwięki zamasztyego marsza. Nad miastem przecinała niebo pionowa linia czerwonych światełek niewidocznej wieży telewizyjnej. Odsapnąwszy Machow zaczął iść przy samym ogrodze-

niu wzdłuż mokrych, pełnych zadziorów desek, ślizgając się i potykając.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Była to dziura w ogrodzeniu, którą przełazili robotnicy, mieszkający tam w polu, w małych drewnianych domkach. Przejście było dogodne, skracało drogę do domu, a takim, co nieśli deski, kawałki rur albo części zapasowe do lodówek, dziura w płocie pozwalała uniknąć nieprzyjemnych spotkań z wartownikami instytutu.

Machow westchnął i dał nura w otwór.

— Diabli wiedzą, co to jest właściwie! — krzyczał Bałandin, biegnąc po gabinecie. — Za takie rzeczy należy się kula w łeb.

Igor, Doroszenko i Lila siedzieli na kanapie. Igor, jak to było w jego zwyczaju, próbował założyć nogę na nogę, nie mógł jednak, ponieważ Bałandin ciągle krążył po gabinecie.

— Oto prawdziwe oblicze tego człowieka — mówił Bałandin. — Jak na dłoni. Naruszył kwarrantannę w najbardziej odpowiedzialnym momencie. Wszystkie nasze wysiłki, by zatrzymać wirus Josserra w granicach naszego laboratorium, straciły teraz sens. Oceniam to jako zdradę. I tchórzostwo. Jakie by nie były stosunki w laboratorium, jest to nasza wewnętrzna sprawa. Ale wyjść z laboratorium... Radźcie, co mamy teraz zrobić.

— Może podzwonić? — zaproponowała Doroszenko.

— Do kogo? Do kogo dzwonić? Do domu? Nie ma w domu telefonu. Na milicję? Ogłosić poszukiwania w całym kraju? Do wojskowej komendantury? Żeby otoczyli rejon instytutu? Dokąd?

— Nie trzeba nigdzie dzwonić — powiedział

Igor. — Przewietrzy się i przyjdzie. Widocznie źle się czuł. Wypiliśmy z nim trochę...

— Ach tak! Wypili! — rozeźlił się jeszcze bardziej Bałandin. — Pijaństwo sobie urządzili! Co to, święto jakieś czy co? Smarkacze! Lilu! To pani dała im spirytus?

— Ja.

— Jak pani śmiała?! — krzyczał Bałandin potrząsając pięściami. — Pytała mnie pani o pozwolenie?

— Lila nie jest winna — wtrącił się Igor. — To ja wziąłem spirytus z sejfu.

— Uspokójcie się wszyscy — powiedziała Doroszenko. — Trzeba spokojnie zastanowić się nad sytuacją. Nie sędzę, żeby on uciekł. To chyba nie to. Po prostu nerwy nie wytrzymały.

— Nerwy — przedrzeźniał gniewnie Bałandin.

— On na pewno wróci — zapewniał Igor.

— Bardzo wątpię — rzucił Bałandin.

— Jeśli w ciągu dwóch najbliższych godzin nie wróci — Doroszenko spojrzała na zegarek — za-telefonujemy na milicję i poprosimy o urządzenie obławy.

— Co to za termin te dwie godziny? — spytał Bałandin siadając okrakiem na krześle. — Czy może nam pani wyjaśnić, na jakich kryteriach go pani opiera?

— Na intuicji. Sergiusz wróci. Dwie godziny to termin ostateczny. Wytrzeźwieje.

— Za dwie godziny może być w Moskwie. Czy może pani zagwarantować, że ten osobnik nie narobi głupstw?

— Przyjdzie — zapewniała z naciskiem Doroszenko. — Opamięta się i przyjdzie. Na razie nic straszego jeszcze się nie stało.

— Na razie! — krzyknął Bałandin. — A jeśli

za pięć minut wystąpią u niego pierwsze objawy choroby? A jeśli on już wydziela wirusy?

— Musimy czekać — powiedziała Doroszenko. — Innego wyjścia nie ma. Nie pobiegniemy przecież za nim. I za wcześnie na panikę.

— Dobrze — powiedział Bałandin, chwytając się za czoło i uciskając palcami skronie. — Będziemy czekali. A z panią, Lilu, osobno sobie pogadamy.

— Jutro będzie piękna pogoda — odezwał się Igor. — Bez opadów.

Doroszenko podeszła do okna. Włożyła dłonie w kieszenie fartucha i z uwagą patrzyła na swój cień, który zarysował się na jasnym prostokącie czarnej ziemi, utworzonym z padającego przez okno światła.

— Piętnastego stycznia Iwasyk skończy rok. Będzie już chodził. To takie zabawne, kiedy uczą się chodzić... Zrobi dwa kroki, stanie i patrzy na ciebie. Chciałabym to jeszcze zobaczyć. Przedtem żałowałam, że nie mam dziewczynki.

Mówiła nie odwracając się, wpatrzona w swój poruszający się cień. Mówiła głosem równym i beznamiętnym, jak na konferencji, kiedy człowiek może mówić tylko o faktach, o samych suchych faktach.

— Teraz już nie żałuję. Ale dawniej modliłam się w duchu: daj Boże, żeby urodziła się dziewczynka. Szyłabym jej majteczki z koronkową lamówką... Lubię lalki. Podobają mi się zwłaszcza niemieckie. Ze szklanymi oczami. Kupowałabym jej lalki. Z prawdziwymi włosami. Ale urodził się Iwasyk. W pierwszych miesiącach kiepsko było u niego z żołądkiem. Męczyłam się z nim..

— Tak — westchnęła Lila — z chłopcami tylko kłopoty. Jadę niedawno tramwajem, siedzi przede

mną jakaś kobieta z chłopczykiem. Głowę ma omotaną chustką. Taka olbrzymia głowa. Oczu nie widać. Matka siedzi i ciągle go poszturchuje. I łokciem, łokciem go. A ten beczy. A ona go znowu łokciem, łokciem. „Dobrze ci tak, ty diable!” Pasażerowie nie mogli już dłużej wytrzymać. Obok siedział jakiś starszy pan. Podobny trochę do Filipowa. „Jakże to tak, matko, powiada. Oj, niedobrze. My do komunizmu idziemy, można powiedzieć, a wy dzieci bijecie. Dziecko trzeba wychowywać po ludzku.” Wszyscy oczywiście zaczęli bronić chłopca. No że niby tak nie można. Wtedy matka rozwiązuje chustkę. „Patrzcie, powiada. To diabeł. Nie tak mu jeszcze wsypię! Jedziemy, powiada, do ślusarza.” Patrzymy, a on ma na głowie nasadzony nocnik. „W wojnę zachciało mu się bawić. Założyć to założył, ale zdjąć już nie można. Trzeba teraz rozciąć. Tylko usta widać...”

— Pójdę się położyć — powiedziała Doroszenko. — Źle się czuję. Jestem zmęczona.

Ruszyła ku drzwiom.

— Proszę zaczekać. — Bałandin wstał, wyjął ze stojącej na biurku szklanki termometr i strząsnął go. — Niech pani zmierzy.

— Nic mi nie jest — odpowiedziała Doroszenko. — Po prostu czuję się dziś zmęczona. Chce mi się spać.

— Proszę jednak zmierzyć.

Doroszenko zdjęła fartuch, dokładnie go złożyła i włożyła rękę z termometrem w rozchylenie bluzki.

— Niech pani usiądzie — powiedział Bałandin.

— Jak w poczekalni na dworcu — uśmiechnęła się blado Doroszenko. — Wszyscy siedzą.

Bałandin spojrział na zegarek.

— A propos — powiedział. — Telefonował

wczoraj Twing. Chwalił panią, Lilu. Mówił, że weszła pani do reprezentacji dzielnicy. Gratuluję.

— Dziękuję. W poniedziałek finałowa rozgrywka, a myśmy jeszcze ani razu nie trenowały.

— To nic. Pani wszystkich wykończy swoimi serwami.

— Mikołaju Petrowiczu — zwróciła się Doroszenko do Baładina. — Wie pan, gdzie są notatki dotyczące szczepionki?

— Wiem.

— W prawej szufladzie są protokoły. Dzisiejszego nie zdążyłam napisać.

— Jutro pani napisze.

— Z jednym tylko nie mogę się zgodzić — powiedział Igor. — Jak ludzie szybko o wszystkim zapominają. Wyruszyliśmy w tym roku na szczyt. Bardzo interesująca wyprawa. Jeszcze nie nazwany. Pierwsi go odkrywamy, myśleliśmy. Ludzka stopa tam jeszcze nie stała itede. Szczyt żaden tam oho-ho, ale nasz. Weszliśmy. Słońce praży niemiłosiernie. Patrzymy — jakiś kopczyk. Rozgrzebaliśmy kamienie, a pod nimi zardzewiała puszka, wewnątrz jakaś kartka. Czytamy: „Wejście dla uczczenia bohaterskiego lotu sławnych sokołów stalinowskich — Czkałowa, Bilakowa, Bajdukowa. Uczestnicy wszechzwiązkowej alpiniady — Syniagin, Korolkow, Wasiutyński. 21 czerwca 1937 roku”. Kim oni są, co się z nimi teraz dzieje? Nasi chłopcy nie wiedzą. Pytałem potem wszystkich. Starych alpinistów i kogo się tylko dało. Nikt nie wie. A chłopcy przecież ryzykowali. Tam takie ściany, że oszaleć można.

— Strach! — powiedziała Doroszenko. — I na co to ludziom potrzebne?

— Dla jednego szczytu, dla drugiego staruszka... Ta, którą zarąbał Raskolnikow. Żeby się

przekonać, czy można się przewyciężyć. Ale zarać staruszkę to kłopot. Od razu odciski palców, wizja lokalna, grupa krwi... A potem wyrok. Góry to wspaniała rzecz. Nawet zachęcają do wspinaczki. Wejdiesz na szczyt, przewyciężysz się, więc jesteś silnym człowiekiem — uśmiechnął się Igor. — Dopiero tam, w górach, można się przekonać, kto jest prawdziwym człowiekiem.

— Bzdura — rzucił Bałandin. — Chce pan przemóc sam siebie? To jedź pan do kołchozu na pielnie buraków. Tam same baby się opalają. Pan oczywiście nie pojedzie, panu potrzebne są góry, widoki... Diabli wiedzą, ile mitów już narosło wokół tej całej pańskiej alpinistyki. Najodważniejsi, najwytrwalsi, naj, naj... Od zdobycia Dżomolungmy ani trochę nie jest mi lżej. I ludzkości również. Koń z naszej stajni przynosi ludzkości więcej pożytku niż wszystkie wasze Tensingi, Chanty... Jeden koń ratuje do dwóch tysięcy chorych na dyfteryt. A oni?

— Wyobrażam sobie, Mikołaju Petrowiczu, jakie społeczeństwo stworzyłby pan, gdyby miał pan władzę. Koń reproduktor w centrum wszechświata. Ludzkość nie sięga wyżej Battyjowej Góry. W miastach pomniki wszelakiej rogacizny, wstawionej wysokim udojem... Piękna perspektywa.

Igor włączył piecyk elektryczny, popularne „słoneczko”. Kiedy spirala się rozżarzyła, przybliżył dłonie do lustrzanej tarczy.

— Można już wyjąć — powiedział Bałandin. — Proszę pokazać.

Wziął termometr i spojrzał na lśniąca niteczkę rtęci.

— Ile? — spytała Doroszenko.

— Trzydzieści siedem — odpowiedział wolno Bałandin. — Trzydzieści siedem... i sześć.

Potrząsnął termometrem i włożył go z powrotem do szklanki. Igor stał koło okna, grzejąc przy „słonku” zmarznięte ręce. Doroszenko wzięła z kanapy złożony we czworo fartuch i zaczęła go wkładać na siebie. Lila pomogła jej.

— To nie temperatura — powiedział Bałandin, do nikogo się właściwie nie zwracając. — Prawdopodobnie Jewdokia Iwanowna się przeziębila. Warto by się napić herbaty z sokiem malinowym, żeby się dobrze wypocić. Proszę zdjąć fartuch. I kłaść się. Lilu, trzeba zrobić zastrzyk dożylny z oksytetracykliny.

— Nie trzeba — powiedziała Doroszenko zmęczonym głosem. — Po co? Naprawdę nie warto. To od Ilka. Pójdę już. Poproszę o papier, Mikołaju Petrowiczu. Dwa arkusze. Nie, więcej nie trzeba. Dziękuję.

— Oksytetracyklina jest w przedpokoju. W paczce.

— Dobrze — powiedziała Lila. — Zaraz wygotuję strzykawkę.

— Trzeba zatelefonować na milicję — powiedział Bałandin. — Niech zorganizują obławę. Wszystkich zaraz postawię na nogi.

— Proszę jeszcze poczekać — hamowała go Doroszenko. — Chociaż pół godziny. Nic mu się nie stanie. Przyjdzie. W przyszłą sobotę będzie pan rewakcynować dwudziestą piątą serię. Proszę nie zapomnieć...

— Pamiętam — odrzekł Bałandin. — Niech pani się już kładzie. Natychmiast. Musi się pani dobrze wygrzać.

— To przejdzie. Musiałam się pewnie zarazić od Ilka. Proszę się nie martwić. Dobranoc.

— Lilu, niech pani pomoże Jewdokii Iwanownie. I proszę koniecznie zrobić zastrzyk.

— Zrobię wszystko, co trzeba. Ile oksytetracykliny?

— Zero dwadzieścia pięć.

— Dobrze.

Wróciła Doroszenko.

— Zapomniałam o papierze.

— Proszę wziąć biały — powiedział Bałandin. — Nie, nie ten. Ten jest jakiś żółtawy.

Na jej spokojną twarz wystąpiły krople potu, oczy miała opuszczone, podkrążone. Kiedy wyciągnęła rękę po papier, Igor pomyślał o jej palcach: jak z gipsu.

Zaraz za Jewdokią Iwanowną wyszła Lila.

— A niech to wszyscy diabli!

Bałandin uderzył pięścią w kolano. Wyjął ze szklanki termometr i z roztargnieniem oglądał go w świetle lampy.

Igor śledził go w milczeniu.

— Ma trzydzieści osiem i cztery — powiedział Bałandin.

— Może to reakcja na interferon?

— Wątpię.

— Pójdę już.

— Niech pan zostanie — prosił Bałandin. — Czy pan też...

— Nie — odpowiedział z miejsca Igor. — Czuję się normalnie.

— No więc proszę zostać.

— Machow nie wierzy w interferon — powiedział Igor.

— A ja wierzę. Bo nic więcej nam nie pozostało.

Bałandin zbliżył papierosa do rozżarzonej spirali. Zapalił. Potem usiadł ciężko na kanapie, ściągając prześcieradło.

— Może ona rzeczywiście się przeziębiła — po-

wiedział. — Jak się zacznie, trzeba będzie dać ry-
stomocynę.

— Chyba się obejdzie — odpowiedział Igor. —
To grypa.

— Też tak sędzę — westchnął Bałandin. — Po
prostu się zaziębiła.

— Przeglądałem niedawno stare czasopisma —
zmienił temat Igor. — Patrzą: Pirquet. Francuz
z wąsikami. Zakończył życie samobójstwem. Ra-
zem z żoną.

— Który to Pirquet?

— Ten, co odkrył odczyn tuberkulinowy. Wszy-
scy o nim wiedzą. Nawet w przedszkolach. Ale
kto wie o jego tragedii? Kogo to obchodzi? Niko-
go. Żył człowiek, żył — i został po nim tylko od-
czyn Pirqueta.

— Dlaczego męczysz się pan nad tymi problema-
mi? — nachmurzył się Bałandin. — Rozwiązać
i tak ich pan nie rozwiąże, tylko nerwy... W mło-
dości też pasjonował mnie problem nieśmiertel-
ności.

— A teraz?

— To tak jak pracować nad wynalezieniem per-
petuum mobile. Nonsens. Co innego choroba Jos-
sera.

— Panu dobrze mówić. Pan już odwalił kawał
ładnej roboty, że daj Boże zdrowie. A po takich
jak ja nic nie zostanie.

— Niech pan da spokój — obruszył się Bałan-
din. — Po nikim nic nie zostanie. To wszystko
kłamstwo. Chodzi o co innego. Nie ma sensu piąć
się na Olimp. Trzeba po prostu robić swoją robotę.
Jeśli to sprawa czysta...

Rozpalone oko piecyka elektrycznego żarzyło się
w mroku pokoju, rozpraszanym jedynie stojącą
lampą osłoniętą abażurem z woskowanego papie-

ru; oświetlone było tylko biurko. Przy zasepionej, mocnej twarzy Bałandina żarzył się ognik papierosa, rzucając zmienne refleksy na jego wydatne szczęki.

— Z pańskiej strony to grzech się skarżyć — mówił dalej Bałandin. — Poszczyściło się panu przecież z tym Josserem. W pańskim wieku zdobyć wiedzę o zupełnie nieznannej chorobie, to po prostu szczęście. Zazdroszczę panu. A w ogóle, jeśli pan chce wiedzieć, takich jak my historia skazuje na zapomnienie.

— Nie rozumiem.

— To bardzo proste. Proszę to przyjąć jako rzecz oczywistą. Otóż pracowałem nad tyfusem plamistym. Teraz należy już raczej do rzadkości, ale w latach dwudziestych i trzydziestych stanowił czołowy problem patologii infekcyjnej. A dziś o wszystkich naszych pracach niemal zupełnie już zapomniano. Umrą, spełniwszy swoją służebną rolę... Tak właśnie stało się z cholera. Otóż nie możemy wymagać od historii więcej niż na to zasłużyliśmy. Archiwa historii i tak są przepełnione. Nie ma już gdzie pomieścić licznych generałów, wodzów, poetów... Gdzież nam do nich! Jesteśmy tylko nieznanymi żołnierzami. Tak jak w tej pieśni: „U nieznanomogo posielka, na bezymiannoj wysocie...”

— Mikołaju Petrowiczu — spytał nagle Igor. — A wtedy, w Zachodniej Ukrainie... długo pan był w niewoli?

Bałandin spojrzał uważnie na Igora, zaciągnął się papierosem i odpowiedział jakimś obcym głosem, jak wyuczoną dawno lekcję:

— Pięć godzin i czterdzieści minut. Obejrzałem rannego, nałożyłem szyny i obandażowałem. Po dwu godzinach zmarł. Niewiarygodna utrata krwi.

Rano mnie wyprowadzili. Ale już bez opaski na oczach. Szliśmy nad jarem. Była mgła. Skoczyłem do jaru i zacząłem uciekać.

— Strzelali?

— Strzelali. Dwóch. Z automatów. Niech pan już idzie spać. Chcę jeszcze trochę popracować.

...Machow otworzył drzwi wiwarium, przeszedł do laboratorium. Uderzył go w nozdrza ostry amoniakowy odór zwierzęcy, który miał teraz dla niego coś z domowego zacisza. Przeszedł ostrożnie przez korytarz, bojąc się zaczepić o dziecienną wannę, i szybko minął gabinet Bałandina (wybite przez Łozickiego w drzwiach szkło zaklejone było żółtym papierem). Zawarczał motor lodówki i Machow nabrał większej śmiałości. Pchnął drzwi pokoju biurowego.

— Sergiusz? — zawołał radośnie Igor. — Wróciłeś?

— Ciszej.

— Gdzieś ty łąził?

— Byłem na dworze. Zmarzłem. Zimno.

Trząsł się i chuchał na palce, twarz miał ściągniętą od chłodu.

— Szef bardzo się wściekał? — spytał obojętnym tonem.

— Głupstwo — odpowiedział Igor. — Jakoś cię wytłumaczyłem. Wszystko o key.

— Mróz bierze. Powinienem być włożyć płaszcz.

— Napędziłeś mi strachu. No, myślę sobie, Sierioża dopiero nam odstawi numer. Pójdzie, gdzie go oczy poniosą. Choćby w tajgę. To bardzo łatwo. Z komsomolską brygadą szturmową na budowę...

— Jeleń — rzucił z pogardą Machow. — Za kogo ty mnie uważasz? Znam swoje obowiązki.

Nie bój się. Nikogo nie spotkałem. Ani jednego człowieka.

— Kładź się, jak ci zimno. Zrobię ci zastrzyk z oksytetracykliny.

— Tam stoi automat z wodą sodową. Koło magazynu. Szklanka też tam jest. Chce mi się pić. Nie uciekałem, nie bój się. Miałem chęć się przewietrzyć...

— Kładź się. Dzwonisz zębami. Rozbieraj się. Przykryję cię fufajką.

— Ciężko mi — powiedział ze smutkiem Machow, zdejmując koszulę. — Nie mogę tak żyć. Nie mogę. Ty próbujesz wszystko w żart obracać, a ja nie potrafię. Nie wiedziałem, że jesteś taki. Ja całkiem już zeszmaciałem. Rozumiesz, Igor? Wiem przecież dobrze, że każdy musi umrzeć... Ale nie mogę... Przeraza mnie, kiedy próbuję to sobie wyobrazić. Muchy będą łązić po twarzy, rozumiesz? A ja nie będę się mógł nawet poruszyć. Muchy lubią łązić... Po wargach...

— Kładź się spać — powiedział Igor ze złością. — Też mi wymyślił. W jesieni przecież much nie ma. Zgłupiał zupełnie. No, pójdę przygotować zastrzyk.

18

Złotorudy kogut z karbowanym amarantowym grzebieniem na głowie zapiał, próbując pomachać skrzydłami, ale mu się nie udało. Żyły pod skrzydłami pokłute były igłami strzykawek, laboratorium potrzebowało ciągle erytrocytów. W miejscach nakłuć pod cienką pergaminową skórą wid-

niały sińce spowodowane wylewem krwi. Złotorudy kogut o czarnym, czerwonym i miodowopomarańczowym upierzeniu zapał z jakąś żywiolową, zwycięską pasją. Krzyk ten rozdarł cienką, przezroczystą tkanę ciszy spowijającej laboratorium.

Igor obudził się, wydobywając się wreszcie z labiryntu okropnych, apokaliptycznych zjaw. Rozwijały się też z przebudzeniem zwiewne tony przedporannego snu, czyste jak japońskie sztychy, jak wspomnienia z dzieciństwa.

Machow stracił kódrę na podłogę, leżał spocorny, ciężko oddychając. Igor przykrył go, ubrał się szybko i poszedł do wiwarium. Laboratorium spało. Stalowej martwoty przyrządów nie rozbudził jeszcze codzienny rozgardiasz. Jarzeniówki już się nie paliły; wyglądały jak napełnione mlekiem. W oszklonej ciemnej szafie połyskiwały wagi analityczne; czułość ich mechanizmu gwarantowała specjalna dźwigienka. Wagi, które utraciły czułość, stawały się martwymi detalami laboratoryjnego pejzażu. Na stole w statywach z setkami probówek załamywało się i rozszczepiało światło rodzącego się dnia. Purpurowo świeciły flakony z euzyną.

Złotorudy kogut ze zdziwieniem i gniewem spojrzął na Igora i znów zapał, bezsilnie poruszając skrzydłami. Igor podszedł do stelaża i spojrzawszy na kartoniki, na których oznaczało się serie doświadczeń, otworzył jedną z klatek. Leżało tam na sianie sześć zeszywniałych świnek morskich; jedna z nich wpadła do blaszanej skrzynki z wodą. Następnie, podniecony, zaczął oglądać kartoniki na innych klatkach. Znalazł wreszcie tę, której szukał. Otworzył drzwiczki. Sześć łagodnych, śmiesznych stworzonek poru-

szyło się w klatce. Igor wziął jedną świnkę, która spokojnie, przyczajona, siedziała na jego dłoni, a potem nagle drapnęła go ostrym różowym pazurkiem.

— Ach ty rudzielcu mały — powiedział, gładząc jej jedwabisty grzbiet.

I zamknął z powrotem zwierzątko w klatce.

Poszedł spieszenie do gabinetu Bałandina i zapukał do drzwi.

— Proszę — usłyszał jego głos.

Golił się, zdzierając skalpelem zarost. Skóra w niektórych miejscach była pozacinana. Przed nim leżała gazeta, na której schły białe pęcherze mydlanej piany. Bałandin spojrział pytająco na Igora.

— One są żywe — powiedział Igor, dostrzegając, jak w tym momencie na twarzy Bałandina pojawiła się krwawa plamka.

Bałandin wytarł skalpel o gazetę, na której zjawił się jeszcze jeden czerwony pęcherzyk.

— Żyją — powtórzył Igor. — Wakcynowana seria. A kontrolne zdechły. Wszystkie!

Plamka powiększyła się, po policzku Bałandina pocięła cienka nitka krwi. Podeszedł ciężkim krokiem do Igora.

— Żyją — zapewniał znowu Igor. — Sam widziałem.

Pobiegli do wiwarium. Bałandin chwycił świnki, potrząsał nimi z całej siły i wrzucał do klatki.

— Za wcześnie... — powiedział ochryple. — Jeszcze za wcześnie się cieszyć. Jeszcze jedna doba. No, ale to już coś... Żeby jeszcze tylko tę dobę diabłątko pożyły.

Złotaworudy kogut piał na całe gardło. Bałandin w roztargnieniu rozmazał krew po całej twarzy; wyglądał teraz jakoś bezradnie i niedorzecz-

nie. W spodniach od pizamy i niebieskiej koszulce sportowej stał przy klatce, wyciągał i wrzucał z powrotem małe świnki. Wreszcie zamknął klatkę i otworzył drzwi wiwarium. Stali przez chwilę w progu, wpatrując się w coraz wyraziściej ciemniejący kontur góry.

Kurzyło się z niej. Gorzkawe dymy barwy marchorki unosiły się w górę w niemej ciszy, przywodząc nie wiadomo dlaczego wspomnienie świeżo udojonego mleka, studnię, matkę...

Wreszcie przez dymy przebiło się z trudem słońce. Wyłoniło się gdzieś z jesiennych zadnieprzańskich przestworzy jak wydobywająca się z głębin morskich batysfera. Słońce chlusnęło zimnym światłem na kijowskie wzgórza i na gród ogromny, co rozsiadł się na nich, na lewobrzeżną gąbczastą skorupę piasków, na ciemne, śliskie smugi przybrzeżnych plaż, obmytych wodami Dniepru; nagle przez jej fale przebiegła marszczona pomarańczowa ścieżka, zaśniła na zwilżonym porankiem gudronie, przemknęła po siwych dachach, rozjaśniła złote kopuły, pod którymi kiedyś głoszono wieszczę słowa Monomachowego kazania: „Nie bójcie się śmierci, dzieci, ni od wojska, ni od zwierza, jeno twórzcie swoje męskie dzieło”.



Autor powieści urodził się w Kijowie w 1934 r. W 1958 kończy kijowski Instytut Medyczny. Jest naukowym pracownikiem Kijowskiego Naukowo-Doświadczalnego Instytutu Epidemiologii i Mikrobiologii.

Już podczas studiów drukuje opowiadania, szkice, felietony, zamieszcza też rysunki satyryczne. W r. 1966 debiutuje powieścią *Jak na wojnie*. Przygotowuje do druku pierwszy tom poezji oraz tom felietonów literackich z własnymi ilustracjami. Pracuje też jako scenarzysta filmowy.

Akcja *Kwarantanny* dzieje się współcześnie w środowisku kijowskich mikrobiologów i epidemiologów, ukazując moralne konflikty grupy naukowców.